

JERRY AHERN

REBELIA

CYKL: KRUCJATA TOM 12

(PRZEŁOŻYŁA: IWONA ZAKRZEWSKA)

JERRY AHERN

REBELIA

CYKL: KRUCJATA TOM 12

(PRZEŁOŻYŁA: IWONA ZAKRZEWSKA)

PROLOG

John Rourke siedział w otwartych drzwiach ładowni helikoptera. Miejsce przy sterach zajmowała Natalia Tiemierowna. Wyraźnie widzieli rysującą się na horyzoncie sylwetkę. "Edena 2". W odległości mili od nich leciał drugi helikopter, pilotowany przez Kurinamiego. Krople gęstego deszczu nie ograniczały już widoczności, tak że bez trudu mogli go dojrzeć. Przy trzecim śmigłowcu, znajdującym się na ziemi, stał dowódca statku kosmicznego "Eden 1", a zarazem głównodowodzący "Projektu Eden" - kapitan Christopher Dodd.

Pasy przewieszane przez lewe ramię Johna podtrzymywały karabin M-16. Dwa podobne, zabezpieczone przed przesuwaniem się, leżały w zasięgu ręki.

W słuchawkach zabrzmiał głos Natalii:

- John, ani śladu jednostek Władymira. Nie ma też innych śmigłowców.
- To dzięki nazistom - skomentował Rourke. - Oby tak pozostało.

"Eden 2" był coraz bliżej zaimprovizowanego pasa startowego. Wyglądało na to, że tym razem obojdzie się bez przykrych niespodzianek - jak dotąd żaden sowiecki śmigłowiec wyposażony w nowoczesną broń pokładową nie próbował im przeszkodzić, nikt nie usiłował ich zestrzelić. W pobliżu nie krążył płonący helikopter z uwięzionym we wnętrzu najbliższym przyjacielem Johna, Pauliem Rubensteinem.

Zarówno John z Natalią jak i Kurinami znajdowali się na pokładach helikopterów skradzionych Rosjanom. Nie było to podyktowane względami bezpieczeństwa - użyli ich bardziej dla zasady niż z konieczności. Tuż po wyładowaniu "Edena 1" Karamazow zniknął, jakby rozpułnął się w powietrzu. Od tego czasu nie odnotowano jakichkolwiek wrogich akcji.

Rourke nie przytrzymał rękami leżącego na kolanach karabinu. Dłonie Johna wciąż krwawiły, a każde poruszenie sprawiało mu dotkliwy ból.

Wstrząsnął nim dreszcz. Strumień powietrza wytwarzającego siłę nośną był lodowaty. Skórzana kurtka lotnicza nie chroniła przed zimnem. Nie zdążył wcześniej się przebrać; przemoczone ubranie schło na nim teraz, potęgując uczucie chłodu. Uśmiechnął się nieznacznie - jako lekarz powinien bardziej dbać o swoje zdrowie.

Skupił uwagę na "Edenie 2". Ogłuszający huk wskazywał, że statek zwalnia, przekraczając barierę dźwięku.

Spojrzał w dół. Dostrzegł podskakujące i wymachujące rękami figurki ludzi. To przebudzony personel "Edena 1" pozdrawiał nadlatujący prom. Z ziemi nie dochodziły żadne odgłosy, ale domyślał się, że rozbrzmiewają tam liczne okrzyki. Pewnie też modlili się w duchu o szczęśliwe lądowanie statku.

"Eden 2" sunął teraz tuż nad linią horyzontu. "Czy nie jest za nisko?" - zaniepokoił się Rourke.

- Powoli... - wyszeptał.
- Co, John? - odezwała się Natalia. - Nic takiego. Mówiłem do siebie.
- Mam nasłuch z "Edena 2". Przełączę ich na inne pasmo.

Usłyszał trzaski, gdy Natalia zmieniała częstotliwość, potem w eterze rozległ się głos Christophera Dodda mówiącego z ziemi:

- W porządku, Ralph. Powinieneś unieść dziób o parę stopni.

- Roger, Chris, już poprawione. Zmniejszani obroty. Schodzę.

Rourke zdał sobie sprawę, że wstrzymuje oddech. Z wysiłkiem odwrócił wzrok od lądującego promu. Rozejrzał się po niebie, szukając śladów nieprzyjaciela. Na "Edenie 2" znajdowały się dwadzieścia trzy osoby. Oprócz trzech obsługujących prom wszyscy byli pogrążeni w kriogenicznym śnie, w który zapadli dokładnie w chwili nastania Nocy Wojny, pięć wieków temu.

"Dwadzieścia trzy osoby".

Nadal wstrzymywał oddech. Nieomal czuł zgrzyt wysuwanego podwozia, chociaż nie mógł go słyszeć.

Znowu popatrzył na ziemię. Wydawało mu się, że widzi Sarah machającą niebieską chustką. Zobaczył wyraźnie Elaine Halwerson. Jej czarna twarz odcinała się od reszty tłumu.

"Eden 2" zwalniał. Pas startowy był wolny. Wcześniej odholowano "Edena 1", robiąc miejsce dla następnego statku.

Zwalniał...

Koniec. Zatrzymał się. John głęboko odetchnął. Kolejna grupa wylądowała bezpiecznie. Prawie bezludna Ziemia znowu zyskiwała mieszkańców. Może uda się coś odbudować.

- Po wszystkim - usłyszał szept Natalii w słuchawkach.

Nie odezwał się.

ROZDZIAŁ I

Jim Hixon, lekarz pokładowy "Edena 1", z pewnością znał swój fach. Gdy tylko powrócił do życia po długim okresie hibernacji, błyskawicznie zorientował się w sytuacji. Zarządziwszy dodatkową transfuzję dla Michaela, natychmiast zajął się Paulem Rubensteinem. Sarah pełniła obowiązki pielęgniarki. John, mając zabandażowane obie ręce, nie mógł pomóc doktorowi. Służył mu jedynie jako konsultant.

Hixon zdjął bandaż z jego rąk. Obejrzał oparzenia i otarcia. John uśmiechnął się, widząc rumieniec na twarzy Natalii, gdy Hixon chwalił sposób, w jaki opatrzyła jego rany. "Ja nie zrobiłbym tego lepiej" - powiedział, po czym poprosił Natalię o ponowne zabandażowanie, co rozbawiło Johna. Sam, będąc lekarzem, wiedział, że słowa te, choć wypowiedziane szczerze, zabrzmiały jak pusty komplement. Lekarze rzadko wykonywali opatrunki i nigdy tak dobrze, jak pielęgniarki.

Deszcz ustał. Rourke wyszedł poza obręb obozu. Usiadł na szerokim, płaskim kamieniu, obok położył karabin. W umieszczonych pod pachą kaburach Alessi miał dwa nierdzewne pistolety typu Detonic kaliber 45 - zwane popularnie detonikami. Jego dłonie nie były w pełni sprawne, wątpił więc, czy w razie potrzeby zdoła w porę wydostać broń z kabury. Za to maszynowy karabin C AR-15 znajdował się w zasięgu ręki.

"Eden 2" wylądował w godzinę po tym, jak deszcz przestał padać. Przybycia czterech pozostałych promów kosmicznych spodziewano się w ciągu najbliższych dwu dni. Wskutek nalegań Johna Dodd, Lerner i Styles zajęli się zorganizowaniem patroli mających zapewnić bezpieczeństwo. W ich skład wchodził budzący się stopniowo pasażerowie promów. John, który jako jedyny spośród członków "Projektu Eden" przebywał już wcześniej w kriogenicznym uśpieniu, zdawał sobie sprawę z ograniczonych możliwości i nie najlepszej kondycji fizycznej niedawno obudzonych. Nawet Jim Hixon, operując Paula, musiał co jakiś czas przerywać, żeby usiąść i odpocząć.

Pięć wieków zatrzymania funkcji życiowych organizmu, beczynności i bezruchu - ludzkie ciało wymagało czasu, aby powrócić po tym do pełnej sprawności.

Rourke zapalił cienkie, ciemne cygaro. Trzymał je w zaciśniętych zębach, podrzucając zapalniczkę Zippo. W świetle księżyca można było prawie odczytać wygrawerowane na niej inicjały JTR. Chowając zapalniczkę do kieszeni, zaciągnął się głęboko dymem z cygara. Było dobre, jak wszystkie, które robiła dla niego Annie wiedząc, że nie może się bez nich obyć. Chyba dlatego tak bardzo mu smakowały, że stanowiły dzieło rąk jego córki. Niezależnie od tego postanowił ograniczyć palenie. Nie wpływało to najlepiej na jego zdrowie, a przecież idealna kondycja fizyczna jest mu niezbędna, szczególnie teraz, w nadchodzącym czasie.

John zamyślił się. Próbował uporządkować fakty.

Michael powracał do sił dzięki transfuzjom, a także, co musiał przyznać, jego własnym chirurgicznym umiejętnościom. Rany Paula powinny się również szybko zagoić, mimo że był osłabiony znaczną utratą krwi. Obaj zresztą mieli doskonałą opiekę. Michaela nie odstępowała Madison - dziewczyna, którą ocalił przed ludożercami, gdy ci otaczali Arkę. Dziś nosiła w łonie

wnuka Johna. Nie mógł marzyć o lepszej pielęgniarce dla Michaela. A Paul? Uśmiechnął się w myśli. Najlepszy przyjaciel Johna zostanie wkrótce jego zięciem. Annie pozostanie przy Paulu, nawet jeśli miałoby to kosztować ją życie.

Jego dzieci - Annie i Michael - były teraz prawie w jego wieku. Dwadzieścia osiem i trzydzieści lat. Biologicznie Rourke był za młody na ich ojca, jednak w rzeczywistości... Użycie komór kriogenicznych pozwalało na takie igraszki z naturą i czasem.

Zwrócił się myślą ku żonie. Od czasu, gdy asystowała przy operacji Paula, widział ją tylko raz, z daleka. A Natalia? Niegdyś torturowana przez męża, dziś dręczona widmem Karamazowa. Teraz starała się doprowadzić do porządku karabiny

M16 i 1911A1 z dwóch promów wchodzących w skład "Projektu Eden". Należało zapewnić im prawidłowe funkcjonowanie po pięćsetletnim przebywaniu w czymś o konsystencji kosmolinii.

Myśl o karabinach nasunęła mu pytanie, dlaczego autorzy "Edenu" wyposażyli załogi promów w broń starszego typu, kalibru 45. Przecież w okresie bezpośrednio poprzedzającym Noc Wojny dokonano istnego przewrotu w dziedzinie uzbrojenia, szeroko zresztą propagowanego. Skonstruowano wówczas doskonały pistolet Beretta, kaliber 9 mm. Im jednak dano do dyspozycji stare "czterdziestki piątki". W gruncie rzeczy był z tego zadowolony. Miał zapasy amunicji ACP 45, poza tym zawsze wołał większy kaliber.

Bliscy ludzie, środki przedsięwzięte dla ich obrony... Starzy i nowi nieprzyjaciele...

Przypomniawszy sobie uzbrojone helikoptery naznaczone swastykami. Pojawiły się, gdy wraz z Sarah, Kurinamim, Madison i Elaine usiłował wybawić z opresji Natalię. Przyniosły nowego wroga. Chociaż tak naprawdę pochodził on z przeszłości.

Lecz największym i zarazem najstarszym wrogiem był ten, który zgodnie z wszelką logiką powinien już dawno nie żyć.

Rourke nigdy nie przebaczył sobie tego niedopatrzenia. Władimir Karamazow wydawał się martwy pięć wieków temu, po strzelaninie na ulicach tego, co niegdyś było Atenami w stanie Georgia. Nie mógł sobie darować, że nie posłał jeszcze jednej serii w głowę Karamazowa. Miałby wtedy pewność.

Sam fakt, że Karamazow żył, stwarzał zagrożenie. Lecz to, że zdołał zgromadzić wokół siebie silne wojska, niezmiernie zwiększało niebezpieczeństwo. Stąd straż, jakie wystawili Lerner, Dodd i Styles. Ale jeżeli siły powietrzne diabolicznego pułkownika miałyby powrócić, cóż John mógł im przeciwstawić? Jeden helikopter prowadzony przez niego, drugi - pilotowany przez Kurinamiego i trzeci - Natalii. Trzy. Przeciwko ilu wrogim maszynom?

Spoglądając w pochmurne niebo, zastanawiał się, tak samo jak pięćset lat temu, czy człowiek wszędzie musi niszczyć samego siebie w takim szaleńczym zatraceniu.

Obcy dźwięk zmącił ciszę. Nieznajomy głos zapytał:

- Czy pan jest tym, którego słyszałem na falach eteru, Rourke?

John odczuł palący ból w rękach, gdy błyskawicznym ruchem rzucił się na ziemię i jednocześnie poderwał karabin maszynowy, mierząc w kierunku dochodzącego z ciemności głosu.

- Poza pistoletem nie mam żadnej broni, sir.

Spoza skał można było dostrzec jedynie zarys wyłaniającej się sylwetki. Twarz mówiącego skrywał cień.

- Przychodzę w pokojowych zamiarach, sir.

- Kim, u diabła, jesteś? - syknął John.

- Wasze obozowisko otaczają moi ludzie. Jeżeli odda pan choćby jeden strzał, nie unikniemy walki. Będą niepotrzebne ofiary. Porozmawiajmy najpierw, a potem, jeśli uzna pan to za konieczne, proszę użyć swej antycznej broni.

- Pytałem już raz: kim jesteś? Trzeci raz nie będę powtarzał. - John przygryzł koniec cygara, nie spuszczać z muszki postaci stojącej między skałami.

- Pułkownik Wolfgang Mann, oficer Ekspedycyjnych Sił Narodowo-Socjalistycznych Wojsk Obrony. A pan? Kim pan jest oprócz tego, że jest Johnem Rourke'em?

John z trudem przełknął ślinę, po czym odpowiedział:

- Po prostu John Rourke. Lekarz. Ja i moja rodzina znaleźliśmy się tutaj, żeby pomóc powracającym statkom kosmicznym.

- Ile ich jest?

- Więcej niż te dwa na ziemi.

- Lubię ludzi ostrożnych. Czy mogę podejść, sir?

- Niech pan trzyma ręce tak, abym mógł je widzieć - ostrzegł John. Chciał odłożyć karabin. Czuł, jak bandaże nasiąkają krwią.

Zbliżający się mężczyzna był wysoki. Poły długiego płaszcza sięgały mu za kolana. Na głowie miał baseballową czapkę.

Chmura przesunęła się, odsłaniając księżyc, którego blade, szaroniebieskie światło padło na sylwetkę Manna, tak że John mógł widzieć ją wyraźnie. Twarz Niemca wyglądała jak wykuta z kamienia twardszego niż granit. Nie dało się rozróżnić koloru oczu. Na bluzie munduru, widocznej spod ciężkiego trencza, połyskiwały dystynkcje.

- Powiedział pan, że jest pułkownikiem, a ja widzę standartenfuhrera SS - warknął Rourke.

- Jak to możliwe, że rozpoznał pan tę rangę? Kim naprawdę pan jest?

- Człowiekiem, który kiedyś już ją widział. - Ręce Johna drętwiały z bólu, a bandaże nasiąkały krwią.

- Żaden żyjący człowiek nie mógł tego widzieć. Chyba że jest jednym z nas.

- Myli się pan - łagodnie odpowiedział John.

- Te statki kosmiczne... Czytałem o nich w książkach o historii dwudziestego wieku. Skąd one przybywają?

- Z nieba - odrzekł John z uśmiechem.

- Utrudnia pan sprawę, pan doktor. - Jest pan nazistą. Nie lubię nazistów.

- Ale to właśnie my ocaliliśmy was, atakując sowiecką bazę. Skąd pochodzicie?

- Z tego samego miejsca, co wy. Choć może należałoby raczej powiedzieć: "z tego samego czasu".

- To niemożliwe. Miałby pan pięćset pięćdziesiąt lat. Rourke znów się uśmiechnął.

- Nie ma to jak sprawność fizyczna, witaminki i regularne wypróżnienia.

- Proces kriogeniczny, jak się domyślam. Więc naprawdę jest pan...

- ...sprzed Nocy Wojny.

- A pozostali?

- Wszyscy, oprócz jasnowłosej dziewczyny.

- A komuniści? - zapytał Mann.

- Jeden z nich pochodzi z mojego czasu. O reszcie nie mogę nic powiedzieć. A pan? Skąd pan przybywa?

- Przed ostateczną wojną supermocarstw nazywało się to Argentyną. Przez pokolenia

ukrywaliśmy się pod ziemią, dopóki nie nadawała się do ponownego zamieszkania.

- Stanowiąc kolebkę narodowego socjalizmu. Ślicznie! Czego pan chce? - zapytał John.

- Dlaczego pan nie lubi nazistów?

- Sześć milionów Żydów, miliony Polaków, Rosjan, Cyganów, którzy znaleźli się w niewłaściwym czasie i niewłaściwym miejscu, w wojnie, która doprowadziła do użycia broni nuklearnej.

- Ten interes z sześcioma milionami Żydów? To syjonistyczne kłamstwo. Tak mnie nauczono.

- To nie jest syjonistyczne kłamstwo. Żle pana nauczono - wyszeptał Rourke.

- Nie mogę uwierzyć...

- ...że pochodzi pan od nieludzkich rzeźników?

- Grzechy ojców... - zaczął standartenfuhrer.

- ...spadają na ich dzieci - dokończył za niego Rourke.

- To prawda? Wierzy pan w to?

- Mój ojciec walczył przeciwko pana przodkom. Kiedy dorosłem i stałem się mężczyzną, spotkałem innych mężczyzn. Uważali się za nazistów. Prowadzili groteskowe gry, rodem z opery komicznej, które były pretekstem do wyrażania fanatycznego rasizmu, rasowej nienawiści.

- Pana ojciec - zaczął Mann - walczył przeciw nazizmowi?

- Nazwano to drugą wojną światową. Po niej nastąpiła trzecia wojna światowa. Tak, walczył w drugiej wojnie. Był w OSS.

- W jednostkach specjalnych amerykańskiego wywiadu?

- Można je tak nazwać.

- A pan? - zapytał Wolf gang Mann. W jego głosie nie było już takiej pewności jak na początku. -

Jak to możliwe, że pan walczył przeciw narodowemu socjalizmowi? Skoro pański ojciec...

- Pracowałem w CIA. Słyszał pan o tym?

- Tajna policja Stanów Zjednoczonych do zadań specjalnych poza krajem, czyż nie tak?

- To była Centralna Agencja Wywiadowcza - poprawił Rourke. - Byłem jej funkcjonariuszem.

Przeważnie zajmowałem się zwalczaniem komunistów, ale czasem...

- Ależ komuniści byli sprzymierzeńcami Stanów Zjednoczonych, dopóki supermocarstwa nie rozpoczęły między sobą walki o dominację nad krajami zamieszkałymi przez niższe rasy...

- Niezupełnie tak było - niemal szeptem powiedział John. - Po zakończeniu drugiej wojny światowej nastąpił długi okres nieufności i ochłodzenia stosunków. Wzrastał arsenał broni nuklearnej. Sowieci udoskonalili nowy system, znany pod nazwą "technologia strumienia cząstek". Zamierzali użyć go jako systemu zaczepno-obronnego przeciw zachodnim satelitom komunikacyjno-szpiegowskim. Nasz rząd uznał zainstalowanie tego systemu za krok w kierunku wojny termonuklearnej. Postawiliśmy ultimatum. Ktoś nacisnął guzik. Chyba oni. Przynajmniej tak zrozumiałem. I wszyscy zginęli. Poza pana przodkami w tej podziemnej dziurze w Argentynie przetrwali nieliczni. Wiem o jednej małej grupie. Domyślam się, że ocaleli jacyś Sowieci. Może paru Chińczyków.

- Dlaczego mówi pan w taki sposób?

- Po co przyszedł pan do mnie? Jeśli jesteśmy otoczeni i dysponujemy większą siłą, posiadacie lotnictwo. Na co czekacie?

- Jeśli pańskie słowa są prawdą, mój przodek był ludobójcą.

- Moje słowa są prawdą. Przykro mi, jeśli myślał pan inaczej, ale tego nie da się zmienić.

- Tam, skąd pochodzę, herr doktor...

- Tak, herr standartenfuhrer? - John wypuścił cienki strumień szarego dymu. Rozproszony w świetle księżycy dym wydawał się zupełnie biały.

- Nasz wódz, spadkobierca Adolfa Hitlera... - zaczął Mann, z trudem dobierając słowa. - Od tamtej pory przeminęło więcej niż dwadzieścia pokoleń... Są wśród nas tacy, którzy nie zgadzają się z ideą nazizmu. Chcą demokracji, gdzie człowiek może rządzić samym sobą, gdzie grupa politycznych fanatyków nie dyktuje szaleńcych poczynań. - Mann przerwał na chwilę. - Przyszedłem, żeby zaoferować panu przymierze przeciwko naszym wspólnym wrogom, Sowietom. Pragnę dać nowy rodzaj wolności moim ludziom. - Ja...

- Trzydziestego stycznia obchodzimy Dzień Zjednoczenia.

- Tysiąc dziewięćset trzydziesty trzeci rok - szepnął Rourke.

- Pan zna tę datę?

- Każdy ją zna lub powinien znać. Dzień, w którym Hitler został kanclerzem, dzień, w którym zapanowało zło.

- Tego dnia wódz ogłosi nasze nowe zdobycze terytorialne. I wezwie naród do czynu oświadczając, że są wśród nas zdrajcy.

- Czyż nie są zdrajcami? - John nadal mówił bardzo cicho. Cygaro zgasło. Rzucił je w zgęstniałe błoto pod stopami, miażdżąc obcasem.

- Są dobrymi ludźmi. A on każe ich publicznie rozstrzelać. Jeden z nich, Dieter Bern, pragnie, aby nasza nauka i technologia przemieniły świat, by uczyniły zeń miejsce, gdzie wojna, taka jak ta między supermocarstwami, nigdy się nie wydarzy.

- Nazista-idealista?

- On jest przede wszystkim człowiekiem, herr doktor. Jeżeli poprowadzę teraz ludzi, którzy myślą jak ja, na Complex...

- Complex? - powtórzył Rourke.

- Nasz dom - głos Manna ochrypl. - Jeżeli wystąpimy otwarcie przeciw Complexowi, przeciw wodzowi, rozpętamy walkę, która pochłonie mnóstwo niepotrzebnych ofiar. Ale jeżeli paru zdecydowanych ludzi zdołałoby przedostać się do Complexu i uwolnić Berna, gdyby któryś z tych ludzi był lekarzem, wtedy...

- Dlaczego akurat lekarzem? - spytał John, opuszczając karabin.

- Zapali pan papierosa?

- Nie, dziękuję - odparł.

Patrzył, jak Mann wyjmuje papierośnicę z kieszeni trenca i wyciąga papierosa. W świetle płomienia ujrzał wreszcie oczy mężczyzny - intensywnie niebieskie, przejrzyste i stanowcze. Dostrzegało się w nich jednak także zmęczenie.

- Dieter Bern znajduje się pod działaniem narkotyków. Nie docierają do niego sygnały z zewnętrznego świata. Nie może odpowiedzieć na oskarżenie. Na wolności, wyzwolony z narkotycznego transu, zdołałby może przedostać się do Centrum Komunikacji i opowiedzieć wszystko. Wówczas ludzie mogliby dokonać wyboru... Ale dzisiaj mamy...

- Za cztery dni moja córka skończy dwadzieścia osiem lat. Dzisiaj jest dwudziesty drugi stycznia.

- John spojrzął na oświetloną tarczę rolexa. - Za dziesięć minut będzie dwudziesty trzeci.

- Więc Dzień Zjednoczenia wypada za siedem dni. Publiczna egzekucja Berna oznacza wojnę zamiast wolności.

- Mówi pan o wojnie z niechęcią, a przecież jest pan wojskowym.
- Niektórzy ludzie służą swej ojczyźnie, rasie, narodowi. Inni pełnią służbę w obronie pokoju.
- Co otrzymam w zamian za pomoc, której pan potrzebuje? - spytał Rourke.
- Moi ludzie będą chronić ten obszar przed atakami komunistów. Są przecież inne statki na niebie, czyż nie? - powiedział Mann.

- Cztery - przytaknął John.
- Pozostałe oddziały wysłałem w pogoń za Sowietami.
- I tym samym będą daleko od Complexu, gdy pan urządzi tam przewrót?

Mann zaśmiał się głośno.

- Czyż nie łatwo mnie przejrzeć? - Rzucił papierosa, zgniatając go butem.
- I zostawił pan niewielkie siły, żeby utrzymać łączność radiową z kwaterą główną i rozproszonymi oddziałami?
- Więc jednak nietrudno mnie rozgryźć.
- Wiedza medyczna pana ludzi musi być bardziej zaawansowana niż nasza. Po co jestem potrzebny?

- Pan ma rannych. Ja lekarza, który może im pomóc i wprowadzić pana w arkana naszej medycyny. Mój problem polega na tym, że w Complexie rozpoznano by zarówno mnie, jak i któregoś z oficerów, także lekarza. Natomiast pan nie zwróci na siebie uwagi. Mógłby pan poruszać się swobodnie po Complexie, dopóki nie uzna pan, że nadszedł odpowiedni moment do uderzenia.

- Nie trzeba być lekarzem, żeby wyprowadzić kogoś ze stanu odurzenia narkotycznego. Pański lekarz mógłby z pewnością poinstruować któregoś z pana ludzi. Dlaczego to, że jestem lekarzem, ma takie znaczenie?

- Kiedy uczyłem się o tych promach kosmicznych, wyobrażałem sobie, że są one czymś w rodzaju elementów projektu przetrwania zagłady. I dlatego technicy medyczni musieli się na nich znajdować. To, że właśnie pan jest lekarzem to, pozwolę sobie powiedzieć, szczęśliwy, ale zwykły zbieg okoliczności.

- Nadal nie rozumiem...

- Wielu z nas gotowych byłoby uwolnić Berna. Ale żaden nie może tego zrobić. Widzi pan, doktorze, Bern jest więziony w szczególny sposób. Nie siedzi za kratami. Jego szyję otacza obręcz, przytwierdzona łańcuchem do ściany. Przepływa przez nią prąd elektryczny. W ciało Berna wszczepiono elektrodę i kapsułkę wypełnioną syntetyczną kurrarą. Jakikolwiek zakłócenie przepływu prądu spowoduje wysłanie natychmiastowego impulsu elektronicznego do elektrody i w tej samej chwili nastąpi uwolnienie trucizny z kapsułki. To oznacza śmierć Berna w ciągu czterech sekund. Nie istnieje antidotum, które wcześniej wstrzyknięte, zneutralizowałoby truciznę. Kapsułka znajduje się w arterii obok czegoś, co moi lekarze określają mianem venule fistula.

- Świetnie włada pan angielskim.

- Oficerowie naszego korpusu muszą spełniać wysokie wymagania, także jeśli chodzi o znajomość języków obcych. Wracając do rzeczy, moi komandosi ustalili ponad wszelką wątpliwość, że do miejsca, w którym przetrzymują Bema, prowadzi tylko jedno wejście. Aby zmniejszyć szansę uwolnienia więźnia, umieszczono tam instalację wysyłającą identyczne sygnały jak te w obręczy. Zakłócenie sygnałów da efekt przypominający rezultat działania pocisków rozpryskowych, używanych przed wojną supermocarstw. Tysiące nieskończenie małych igiełek rozlokowanych w

strategicznych punktach pomieszczenia zostanie wystrzelone i, lecąc z ogromną prędkością, będą one w stanie przebić nawet sześciomilimetrový pancierz ochronny.

- Hmm... Ćwierć cala - mruknął Rourke.

- Każda igiełka zawiera syntetyczną substancję, pochodną kurrary. Trzy ukłucia wystarczą, aby uśmiercić przeciętnego mężczyznę w czasie krótszym niż trzydzieści osiem sekund.

Rourke znów usiadł na kamieniu. Ręce bolały go niemiłosiernie.

- Czy istnieje możliwość przerwania połączenia między obręczą a wszczepioną elektrodą? - zapytał.

- Zdaniem mojego lekarza, tak. Jeżeli usunie się z ciała Berna elektrodę.

- Wobec tego uwolnienie Bema wymaga jedynie przedostania się do miejsca, gdzie go przetrzymują, pod strażą i przykutego do ściany, oraz wykonania tam zabiegu chirurgicznego, nie zakłócając przy tym przepływu prądu?

- To jedyny sposób. Podobno ludzie wierzyli kiedyś w istotę zwaną Bogiem?

- Niektórzy jeszcze wierzą.

- Zanoszono modły do Niego. Pan zjawił się tu, jakby w odpowiedzi na moją modlitwę. Widziałem brawurę, jaką wykazał pan tam, w obozie sowieckim, i później, ratując człowieka z płonącego helikoptera.

- Paul Rubenstein jest moim przyjacielem, a w tym obozie były moja żona, córka i kobieta, która wiele dla mnie znaczy, a także dziewczyna nosząca w łonie dziecko mego syna

- Bern to człowiek, który szuka wolności. Ktoś, z kim, myślę, miałby pan wiele wspólnego. Moje oddziały będą ścigać Sowietów niezależnie od pańskiej decyzji, ale osobiście nie chciałbym wydawać wam wojny. Jeżeli Bern zostanie stracony, nikt nie zapanuje nad sytuacją. Annie wódza przewrócą świat do góry nogami. Wasza broń będzie bezużyteczna. John zaśmiał się.

- Nie musi mnie pan przekonywać. Wiem, że nie zdołamy wam się oprzeć.

- Ale myślę, że tak czy inaczej, będziecie stawiać opór. Swoją drogą, nasze dwa korpusy mogą nie wystarczyć do rozbicia komunistów. Wybór należy do was. Albo pomożecie nam ocalić pokój, albo podejmiecie przeciw nam walkę, tylko po to, by w końcu ulec staremu wrogowi. A potem, wydając ostatnie tchnienie, będziecie mogli beczynnie przyglądać się zmaganiom waszych dwóch nieprzyjaciół. A po tej walce może z naszej planety zostać jedynie pył. I wtedy nie da się już ocalić niczego.

John zapalił następne cygaro, ważąc w dłoniach poobijaną zapalniczkę.

- Rozumie pan, że nie mogę mówić w imieniu ludzi z "Projektu Eden"...

Mann przerwał:

- Ten projekt...

- Projekt Eden jest rzeczywiście misją na wypadek zagłady. Taki był zresztą kod operacji. Więc, jak już powiedziałem, nie mogę wypowiadać się w imieniu członków "Projektu Eden". Jednak, jeśli chodzi o mnie, herr standartenführer...

- To ranga w SS. Jestem pułkownikiem. Nie zaliczam się do typowych członków Partii, takich, jakimi wyobrażają ich sobie ludzie. Czytałem zakazane książki.

- Nie ma zakazanych książek, są jedynie takie, które nie odpowiadają indywidualnym upodobaniom.

- Przypomina mi pan, doktorze, niektórych bohaterów tych książek.

- Więc może powie pan, pułkowniku, swoim dwóm przyjaciołom czającym się za skałami, żeby

zeszli? A pan zatrzyma swój pistolet, głównie dlatego, że chcę go mieć na oku. Teraz proponuję panu mały spacer.

- Mój pistolet, podobnie jak pański karabin, jest przestarzały. To P-38. W Complexie mieszka człowiek, który wyrabia do niego amunicję. Z dawnych czasów pozostało jej niewiele i jest bardzo droga. Ale tego walthera nosił mój ojciec i jego ojciec, i wiele pokoleń moich przodków.

- Musi to być niezły pistolet. - Rourke uśmiechnął się. Wskazał na bliźniacze detoniki i dodał: - Też mają pięć wieków. Ale nie nazwałbym ich przestarzałymi.

Zsunął się z kamienia. Na plecach ciągle jeszcze czuł ciężar Paula. W całym ciele pulsował ból. "To nie była brawura, jak sądził pułkownik. To była konieczność" - pomyślał.

Wyciągnął do Manna prawą rękę:

- Na imię mi John, pułkowniku.

Uścisk dłoni Manna był twardy - taki, jaki powinien być uścisk mężczyzny.

- Wolfgang. Przyjaciele mówią mi Wolf.

- Nie zapominaj o swoich kamratach. Muszą czuć się tam straszliwie samotni, gdy my tu sobie gwarzymy. A gdyby ktoś z ubezpieczających patroli Dodda natknął się na nich...

- Dodd?

- Dowódca "Edena" i głównodowodzący całego Projektu. Więc, to mogłoby się źle skończyć.

Twarz Wolfganga Manna rozjaśnił uśmiech.

- Zaczekajcie na mnie na obrzeżach naszego obwodu - zawołał po niemiecku.

- P-38 to dobra broń, wiem - rozpoczął Rourke, idąc obok pułkownika w kierunku perymetru obozu rozłożonego wokół dwóch statków "Projektu Eden". - Jest ze mną kobieta, którą musisz poznać. Byliśmy już kiedyś w tym miejscu. To się wtedy nazywało Arka. Ze wszystkich pistoletów, jakie tu składowano, wybrała tylko jeden. I dodatkową broń krótką. Właśnie P-38. Osobiście nigdy nie byłem zwolennikiem kalibru dziewięć milimetrów. Ale w schronie, to znaczy tam, gdzie mieszkam, mam walthera P-38. Cholernie dobry pistolet, pomimo dużego kalibru. W dawnych czasach, przed Nocą Wojny, nie zawsze miałem dostęp do "czterdziestki piątki". Wiesz, jak to bywa na wojnie. Parę razy używałem walthera P-5. Widziałeś go kiedyś?

- Nie.

- Szkoda - wymamrotał John. - Założę się, że by ci się spodobał. - Rourke zatrzymał się na chwilę. - Nie wiem, czy to nie przedwcześnie, ale... Ktoś, kto mówi o wolności i pokoju, cóż... Nie mów o sobie "nazista". Jesteś po prostu Niemcem.

Wolfgang Mann nie odpowiedział.

ROZDZIAŁ II

Helikopter właśnie wylądował. Karamazow zeskoczył na piaszczystą ziemię zachodniego Texasu. Zranione ramię ciągle krwawiło, a prowizoryczny opatrunek ograniczał ruchy pułkownika. Podmuch śmigła zerwał mu czapkę, zanim zdążył uchylić głowę. Poszedł dalej, nie przejmując się tym. Któryś z podwładnych na pewno mu ją przyniesie. Rzeczywiście, przy jego boku natychmiast znalazł się Antonowicz z czapką w ręku. Karamazow zmrużył oczy, chroniąc je przed piaskową zawieją, wywołaną obrotami łopatek śmigła. Przekrzykując hałas pracującego helikoptera, zawołał:

- Nie ma czasu do stracenia, Mikołaj. Wykonasz rozkazy.
- Tak jest, towarzyszu pułkowniku.

Władimir Karamazow skierował kroki w stronę szałas, który miał mu zastąpić kwaterę główną. Następne samoloty siadały na pasie startowym. Podczas nieobecności pułkownika jego ludzie wykonali solidną robotę - syпки piasek niełatwo było przekształcić w lądowisko. Na pokładach lądujących maszyn znajdowali się ludzie, zapasy żywności i syntetycznego paliwa.

- "Projekt Eden" na razie zostawimy w spokoju. - Karamazowowi brakowało tchu. Miał wyciętą część lewego płuca i zmiana wilgotności powietrza utrudniała mu oddychanie. Po chwili podjął: - Nie mówiłem ci tego wcześniej, Mikołaj, w kontyngencie "Projektu Eden" mam swojego agenta.

- Agent, towarzyszu pułkowniku?
- Umieściłem go tam pięć wieków temu, na wypadek gdyby miało się okazać, że "Eden" umożliwi przetrwanie zagłady. Przewidywałem to i nie myliłem się.
- Ależ, towarzyszu pułkowniku - odezwał się major Antonowicz - kazaliście przecież zniszczyć sześć promów "Projektu Eden" wiedząc, że na pokładzie jednego z nich jest...

- Mój agent wiedział, czym ryzykuje. Zobaczmy, co wymyśli, żeby uniemożliwić realizację "Projektu Eden". Chcę być informowany o poczynaniach ludzi z "Edenu". Przeprowadzisz zwiad lotniczy. Weź samoloty latające na wysokim pułapie. Zajmij się tym i to szybko. - Dopiero teraz odebrał Antonowiczowi czapkę. Trzymał ją w lewej ręce i otrząpywał z kurzu. - Odwołaj też jednostki majora Krakowskiego, które pacyfikują dzikie plemiona Europy. Naziści bezczelnie przeszkadzają nam w realizacji naszych planów strategicznych. Musimy skoncentrować nasze siły. Krakowski będzie nam potrzebny - dodał.

- Ci naziści, towarzyszu pułkowniku, dysponują...
- Zdziwiająco wysoką techniką - wpadł w słowo Karamazow. - Ty, Antonowicz, zbierzesz małą grupę...
- Tak, towarzyszu pułkowniku?

Karamazow zatrzymał się przed wejściem do szałas. Właśnie przejeżdżał konwój z posiłkami i zaopatrzeniem. Coraz więcej ładunków napływało z podziemnego miasta na Uralu.

- Zbierzesz małą grupę i zdobędziesz wszelkie informacje dotyczące kwatery głównej nazistów, dane o jej rozkładzie i możliwościach obrony. Musimy mieć pewność co do struktury i wielkości sił rezerwowych. Gdy tylko przybędzie Krakowski, a może i wcześniej, ja sam poprowadzę większość

naszych wojsk przeciwko ich fortecy. Po zniszczeniu kwatery głównej i źródeł zaopatrzenia likwidacja nazistowskich sił ekspedycyjnych będzie fraszką.

- Ale...

Karamazow miał właśnie wejść do szałas. Zatrzymał się w progu.

- Towarzyszu pułkowniku, co z...

- Rourke'em? - wyszeptał. - Co z nim? Jego rodziną i moją żoną? - Śmiech Karamazowa zabrzmiał nieprzyjemnie. - Prawdopodobnie zabiłem mu syna. Ten Żyd, Rubenstein, też pewnie nie żyje. Naziści, którzy nas atakowali, próbują nawiązać kontakt z naszym dzielnym doktorem. Ja tylko go drasnąłem, na razie. Niech sobie trochę pocierpi. Jak dotąd, wszystko układa się po mojej myśli. Damy mu trochę czasu. Niech razem z moją żoną przygotowują się na to, co ich czeka. "Projekt Eden" nie stanie nam na przeszkodzie. Kiedy tylko rozprawimy się z nazistami, bardzo powoli zaczniemy zaciskać pętlę wokół "Edenu". Bardzo powoli. Nie zasłużyli na szybką i bez-bolesną śmierć. Zniszczymy Rourke'a, Natalię, zniszczymy wszystkich. I wtedy pozwolimy Krakowskiemu dokończyć dzieła tam, gdzie niegdyś były Niemcy, Francja, Włochy. Zniszczymy dzikie plemiona lub uczynimy je naszymi niewolnikami. - Wargi Karamazowa wykrzywił grymas szyderczego uśmiechu. Pułkownik poklepał Antonowicza po ramieniu. - Będę władcą Ziemi! Albo nie będzie w ogóle Ziemi!

Zostawił majora Antonowicza. Znał go dobrze. Nie musiał zaglądać mu w oczy. Wiedział, że może w nich wyczytać jedynie podziw.

ROZDZIAŁ III

Iwan Krakowski obserwował cień karabinu ślizgający się po spękanej ziemi. "Zupełnie jak cień śmierci" - pomyślał. W każdym szczególe doszukiwał się poezji. Zawsze była jego największą miłością. Czasy, w jakich żył sprawiły, że minął się z powołaniem. W innej epoce mógłby zostać jednym z najwybitniejszych rosyjskich poetów. W głębi duszy był o tym przekonany i nigdy do końca nie wyrzekł się pisania wierszy. Podbijając nowe ziemie i mordując zamieszkujące je istoty ku chwale bohaterskiego pułkownika Karamazowa, marzył o dniu, kiedy jego dowódca obejmie władanie świat, a on sam będzie mógł oddać się twórczości literackiej. Opíše dzieje tego okresu w kronice, a pieśń o zwycięstwie zabrzmii w triumfalnych strofach jego poezji. Wierzył, że przyszłe pokolenia docenią go nie tylko jako żołnierza, orężem współtworzącego komunistyczny ład, ale też uwielbią w nim poetę.

Cień śmierci. Wydawało się, że cień ten łagodnie spowija wszystkie rzeczy w swym zasięgu. Nie mężczyzn, nie kobiety - po prostu rzeczy.

"Jak opowiedzieć tę historię?" - zastanawiał się Krakowski. Dzikie plemiona Europy nie mogły rościć sobie prawa do przynależności do rasy ludzkiej. Francuska próba przetrwania holocaustu zakończyła się fiaskiem. Byli nieodpowiednio, a właściwie, nie byli wcale przygotowani na to, by przetrwać stulecia pod ziemią. Wyszli zbyt wcześnie, wystawiając się na działanie promieniowania. Na powierzchni ciągle jeszcze znajdowały się obszary, na których przez najbliższe tysiąclecia życie będzie niemożliwe. A nieszczęśni Francuzi opuścili schronienia, zanim stopień oczyszczenia atmosfery pozwolił na rozwój roślinności. Głód, prawdopodobnie kanibalizm, mutacje genetyczne powstałe w wyniku promieniowania... A jednak tysiące przetrwały. Strzępy prymitywnej odzieży okrywały zrogowaciałą skórę istot błakających się po równinach Europy. Wydzierali z ziemi resztki roślin, nocą kulili się w jaskiniach przy nikłym płomieniu tłącego się ognia, który nie mógł ich nawet ogrzać. Nie mówili żadnym ludzkim językiem. Wskaźnik śmiertelności był szokujący. Ale mimo to trwali.

Cień. Przemknął wzrokiem po jednej z owych istot. Kobieta - co można było poznać jedynie po brudnych, obwisłych piersiach i dziecku przyciśniętym do jednej z nich. Wpatrywała się w niebo. Cień śmierci.

Krakowskiego rozpierała duma na myśl, że jest tu wraz ze swoimi ludźmi, znosi te same trudy, co oni, spożywa ten sam pokarm. Ujął w dłoń mikrofon w kształcie łyżki:

- Nie oszczędzajcie naboju! - zawołał i dotknął lekko mechanizmu spustowego, uruchamiając karabiny maszynowe.

Kobieta i dziecko, tak mało podobne do istot ludzkich, upadły w cieniu jego karabinu, rozlewając wokół strugi lśniącej, czerwonej krwi. Dwa ciała zlały się w jedno. Cień śmierci.

Swoje wrażenia Krakowski opisał w dzienniku: *Dokonałem dziś likwidacji około stuosobowej grupy jednego z największych plemion. Natknęliśmy się na nich podczas rutynowej akcji zwiadowczej. Czterdzieści osiem osób - w pełni dojrzałych mężczyzn i kobiet - mniej*

zdegenerowanych niż reszta, zachowałem przy życiu. Otoczymy ich specjalną opieką. Mogą okazać się przydatni dla światowego komunizmu.

Owych czterdziestu ośmiu przedstawicieli dzikich plemion umieszczono wewnątrz ogrodzenia ze stopu tytanu. Wyglądem przypominało ono amerykańskie zagrody dla koni lub bydła, jakie można było oglądać na taśmach wideo, w westernach sprzed pięciuset lat. Ogrodzenie było oczywiście pod napięciem.

Krakowski zamknął dziennik. Uchylił klapę namiotu i wyjrzał na zewnątrz. Padał deszcz. Krople rozpryskiwały się na siatce, z której leciały iskry. Więźniowie stali stłoczeni jak gromada szczeniąt wokół wielkiej, niewidzialnej suki.

Iwan Krakowski pomyślał o Karamazowie. Pułkownik zwykł wykorzystywać kobiety z dzikich plemion do zaspokajania swych potrzeb seksualnych. A przecież tylko kształtem przypominały one kobiety. Z moralnego punktu widzenia było to równoznaczne z uprawianiem sodomii. Bohaterski Karamazow miał jeszcze jeden ohydny zwyczaj - katował swoje partnerki, zabijając je w trakcie stosunku albo tuż potem. Krakowski nie miał ochoty myśleć o okrutnych praktykach swego zwierzchnika.

- Towarzyszu majorze!

Krakowski nie pofatygował się, by wyjść z namiotu. Brasniewicz nie był oficerem. Odwrócił wzrok od czterdziestu ośmiu ciał zbitych za ogrodzeniem i usiadł przy biurku. Czekał, aż Brasniewicz zbliży się do namiotu. Usłyszał jego głos przy wejściu:

- Towarzyszu majorze?

- Wejdźcie, towarzyszu.

Krakowski zde gustowany spoglądał na ociekającego wodą żołnierza.

- Doprawdy, nie wyglądacie na wojskowego. Powinniście zostać zdegradowani za wasz niechlujny wygląd. Ale zdaje się, że nie istnieje już niższy stopień od waszego?

- Tak jest, towarzyszu majorze. Przepraszam, towarzyszu majorze.

- Przynosicie jakąś wiadomość. - Krakowski dojrzał informacyjny blankiet w ręku Brasniewicza.

- Przeczytajcie ją.

- Tak jest! - Szeregowiec wyprostował się służbiście. - To od towarzysza pułkownika Karamazowa. "Iwan..." - zaczął czytać. - Wybaczcie towarzyszu majorze, ale...

- Czytajcie, Brasniewicz.

- Tak jest. "Nowe plany. Wycofaj się natychmiast. Powtarzam: natychmiast. Dołącz do mnie jak najszybciej. Dowództwo Północnoamerykańskie. Odpowiedz ETA natychmiast". Podpis towarzysza pułkownika.

- Podyktuję wam odpowiedź. - Krakowski rozparł się wygodnie, nogi w wojskowych butach oparł o brzeg biurka i utkwiał w nich wzrok, dyktując wiadomość. - "Do pułkownika Władymira Karamazowa Zrozumiałem. ETA: Północnoamerykańskie Dowództwo". - Oderwał spojrzenie od butów. - Zszyfrujcie to. Nadacie, gdy porozumiem się z moimi oficerami. Jesteście wolni.

Krakowski wstał, przeciągnął się. Brasniewicz wykonał gwałtowny zwrot w tył i odmaszerował. Krakowski ziewnął. Zdjął z wieszaka trencz, założył go i przewiązał paskiem. Wziął czapkę. Wszedł z namiotu. W zetknięciu z błotnistym gruntem wyglansowane buty straciły połysk. Szedł w stronę ogrodzenia, wzbijając bryzgi błota. Dwaj strażnicy stanęli na baczność, prezentując broń. Krakowski dotknął dłonią daszka czapki.

- Podajcie mi broń - powiedział.

Przez chwilę ważył w rękach karabinek automatyczny. Zbliżył się do siatki.

- Kapralu, proszę wyłączyć prąd. I przygotujcie zapasowy magazynek.

- Tak jest, towarzyszu majorze.

W oczach mężczyzn obserwujących go zza ogrodzenia ujrzał strach. Buty zaczynały przemakać.

- Prąd wyłączony, towarzyszu majorze.

- Dobrze, kapralu. Zapasowy magazynek.

Palce stóp miał wilgotne. Potrafił znieść większe niedogodności. Uniósł karabinek. Odbezpieczył i przestawił na ogień ciągły. Strzelił. Karabin bluznął ogniem potrójnych serii. Idealnie nadawał się do tego rodzaju przedsięwzięć. Jedna seria wystarczała, by położyć trupem kilka osób. Odpowiedziało mu wycie. Jak zarzynane bydło” - pomyślał. Opróżnił czterdziestonabojowy magazynek. Nikt nie podał mu następnego. Odwrócił się. Kapral wymiotował.

- Powinniście się kontrolować, towarzyszu. Taka słabość jest nie do przyjęcia.

Mężczyzna wyprostował się na chwilę, prosząc o wybaczenie. Ale znów chwyciły go torsje. Wymiociny, wymieszane z grudami ziemi i brudną wodą, tworzyły coraz większą kałużę.

- Podam was do raportu. Jesteście zwierzęciem.

Krakowski załadował magazynek. Znowu pociągnął za cyngiel.

Jedna z istot, bardziej niż inne przypominająca prawdziwą kobietę, odczołgała się od grupy. Krzepnąca krew na jej lewej nodze mogła ukrywać otwartą ranę. Deszcz nie obmywał ciała. Nagie piersi dziewczyny żłobiły bruzdy w błocie. Krakowski nie lubił marnować amunicji, ale był litościwy. Strzelił jej prosto w twarz.

ROZDZIAŁ IV

Nadal było szaro. Rourke siedział na tylnej klapie forda. Rozmowa, która Dodd, Lerner i Styles prowadzili z Wolfgangiem Mannem, przypominała przesłuchanie.

- Trudno mi uwierzyć, pułkowniku, żeby ktoś w nazistowskim mundurze mógł szczerze prosić o pomoc w przywróceniu demokracji.

- Nie w "przywróceniu". Nigdy nie mieliśmy demokracji. To, co mogłoby nadejść, to świt nowej epoki, kapitanie Dodd.

- Z całym szacunkiem, pułkowniku - przerwał Jeff Styles, oficer badawczy "Edena I" - jeżeli udzielimy panu pomocy, może to zmniejszyć naszą szansę na przetrwanie.

- Mamy wystarczająco dużo wrogów - podjął Craig Lerner. - Jeżeli ktokolwiek z nas zaatakuje nazistów w Ameryce Południowej, musimy się liczyć z akcjami odwetowymi.

John obserwował oczy Manna - człowieka, który zapragnął dać światu wolność. Stał, ciężko oparty o spychacz, którego użyto do przygotowania lądowiska.

- Nie wiem, co jeszcze mógłbym dodać, panowie. Ale jeśli w Dzień Zjednoczenia zamordują Bema, jeżeli nikt nie przeciwstawi się wodzowi, wobec potęgi naszych armii żaden skrawek ziemi nie będzie bezpieczny. Mówicie o wrogach. Rosjanie są także naszym przeciwnikiem. Prosta logika nakazuje, aby ci, którzy wierzą w wolność, zjednoczyli się przeciwko tym, którzy w nią nie wierzą. Tylko to zapewni jej przetrwanie. Jeśli zaczniemy walczyć między sobą... - Mann urwał.

Zapadło milczenie. Dopiero po chwili odezwał się John: - Ja pierwszy rozmawiałem z pułkownikiem i ja go tu przyprowadziłem. Całą noc wysłuchuję waszych kłótni. Zrozumcie wreszcie, że kłamstwo nie leży w interesie pułkownika. Mógł użyć swoich przeważających sił. A jednak tego nie zrobił. Co więcej, zaatakował Karamazowa, gdy ja podążyłem za rodziną i przyjaciółmi. Nie przeszkadzał nam w ucieczce. Kiedy Karamazow...

- Ma pan obsesję Karamazowa - warknął Dodd.

- Bo to dziki i nieobliczalny facet - John uśmiechnął się. Uśmiech na jego twarzy powoli gasł. - Tak czy inaczej, Mann nie wykorzystał naszej bezbronności, żeby nas zabić, a mógł to zrobić.

- Nie owijając w bawełnę, ma pan kompleks bohatera, doktorze Rourke - zaczął Dodd. - Wyczułem to już wtedy, gdy po raz pierwszy usłyszałem pana przez radio, a szaleńcza odwaga, którą pan wykazał, ratując "Eden I" i swoich przyjaciół, tylko to potwierdziła. Proszę mnie źle nie zrozumieć. Jestem panu wdzięczny. Nie byłoby nas tutaj, gdyby nie pan.

- Proszę przejść do rzeczy. - Rourke zniżył głos.

- Dobrze. - Dodd chodził tam i z powrotem po zaschniętym błocie. - Do rzeczy. W żadnym z planów nie przewidywaliśmy, że po powrocie na Ziemię, która przecież została kompletnie zniszczona, wyjdzie nam ktoś na spotkanie i do tego ten ktoś okaże się byłym agentem CIA, a w dodatku doktorem medycyny. Że będzie miał przyjaciółkę, swego czasu będącą wysoko postawionym oficerem KGB i dzieci niewiele od siebie młodsze. Co do nich...

- Myślałem, że ma pan zamiar przejść do rzeczy. - Rourke wyciągnął cygaro, wsunął w lewy

kącik ust i zagryzł.

- Właśnie to robię. Chodzi o to, że nie myślałem, że istnieją dobrzy i źli naziści. Nie sądziłem, że będę musiał walczyć z pięćsetletnimi rosyjskimi megalomanami i przyjmować rady od Amerykanina, który przetrwał trzecią wojnę światową i pożar nieba. Nie, doktorze, mam obowiązki wobec tych, którzy dopiero się narodzą. Nasze komputery przechowują w swej pamięci całą wiedzę ludzkości, w ładowniach mamy embrionalne formy życia ptaków, zwierząt i roślin...

- Nie sądzę, aby rośliny występowały w embrionalnych formach, kapitanie Dodd - dobrodusznie powiedział John.

- Pan doskonale wie, o czym mówię. Mogę przywrócić Ziemi życie, a pan chce, żebyśmy zaczął od zabijania. Proponuje pan wojnę.

- Wojna już się toczy - odparł Rourke. - Pan może pomóc ją zakończyć. Oczywiście, może pan też zwyczajnie zagrzebać głowę w piasek. Nic nie widzieć, nic nie słyszeć. Zignorować sytuację i nie zwracać uwagi na to, że się pogarsza. Wiem, że kieruje panem troska o dobro "Projektu Eden". Mnie również nie jest on obojętny. Pierwsze dziecko, które się narodzi podczas realizacji Projektu będzie symbolem odradzającego się na tej planecie życia. Mój wnuk będzie pierwszym od pięciu wieków, który dorastając ujrzy kwiaty i usłyszy ptaki. I może będzie miał szansę dorastać w pokoju, a nie w atmosferze strachu i zagrożenia. Albo zrobimy dobry początek, kapitanie, albo zaczniemy od powtarzania starych błędów. Ktoś powiedział, że człowiek jest naprawdę wolny tylko wtedy, gdy inni są wolni. Ale przez wieki wolność istniała jedynie dla wybranych. I tak pozostanie, jeśli nie zniszczymy tyranii tu i teraz. - Rourke pochylił głowę, by zapalić cygaro. Buchnął niebiesko-żółty płomień. John zaciągnął się głęboko.

- To było piękne, herr doktor - mruknął Mann. John spojrział na pułkownika i uśmiechnął się.

- Jeżeli nazista może być idealistą, to były pracownik CIA, który zabił wielu ludzi... Ech, to głupie...

- Też może nim być? - podpowiedział mu Dodd. John znów się uśmiechnął.

- Tak, tak myślę.

- Zastanawiam się, w jaki sposób udało się panu przetrwać z takimi poglądami, jak pogodził pan to z życiem? - zapytał oficer lotnictwa Lerner, mrużąc ironicznie oczy.

- Dwudziesty wiek nie sprzyjał rozwijaniu cnót, panie Lerner. Jeśli się komuś zaufało, za chwilę można było już nie żyć. Przysiągłeś sobie, że nigdy więcej nie zabijesz i od razu znajdowali się tacy, którzy próbowali zabić ciebie, właśnie z tego powodu. Ale zrozumiałem, że jeżeli wierzy się w coś, co jest prawe, to nie wolno się poddawać. Można umrzeć i jedynie to zwalnia od ponawiania prób. Śmierć jest jedyną wymówką, którą skłonny jestem uznać. - Rourke zeskoczył z samochodu. Czuł się zakłopotany, jakby schodził z zaimprovizowanej mównicy. - A więc, kapitanie Dodd? - zapytał i, nie czekając na odpowiedź, zwrócił się do Wolfganga Manna: - Cokolwiek postanowi kapitan Dodd, może pan liczyć na moją pomoc. Dodd nerwowo oblizywał wargi.

- Pan, pan przecież... Rourke spojrział na Dodda.

- Pan zdecydował za mnie. Cokolwiek powiem, zrobi pan swoje - wydusił z siebie Dodd.

- Chyba tak właśnie jest. Nie miałem zamiaru wymuszać na panu czegokolwiek. Może powinniście głosować albo zdać się jedynie na kapitana. Ale to, co dotyczy mnie, już powiedziałem.

- Doktorze... - odezwał się Dodd. - Dobrze, zgadzam się, ale z pewnym zastrzeżeniem. - Dodd oglądał z uwagą swoje buty. - Biorę to na siebie, ja będę odpowiedzialny za wszystko. Może pan wziąć ludzi, którzy nie są tu niezbędni i którzy zgłoszą się na ochotnika. Głupotą byłoby proponować

panu pożyczenie jakiejś broni.

John roześmiał się. Faktycznie, był lepiej wyekwipowany niż cała flota "Edenu".

- Chciałbym - rzekł nagle Mann - rozpocząć nasze przymierze gestem dobrej woli. Widziałem ręce doktora, jego syn i przyjaciel także są ranni. Proszę pozwolić mi na skontaktowanie się z głównym oficerem medycznym mojego oddziału. W ciągu pięciu wieków udoskonaliliśmy nie tylko technikę zabijania, ale i sposoby leczenia. Zresztą, to o leczeniu właśnie mówiliśmy chyba tak długo?

Rourke oddalił się od rozmawiających. Bardzo potrzebował odpoczynku.

ROZDZIAŁ V

Johnowi udało się przespać kilka godzin. Ale był to sen zbyt krótki, by mógł w pełni zregenerować siły. Oczy piekły go niemiłosiernie, wciąż odczuwał ból mięśni. Szedł sztywno, prostując pozwijane pasy kabur. Ramiona uginały się pod ciężarem pistoletów. Przez ciemne szkła okularów spoglądał na wschód. Jeszcze godzina, a słońce stanie w zenicie. Było chłodno, ale przed zimnem chroniła go skórzana kurtka lotnicza. W nocy też było zimno. Sarah znowu z nim nie spała. Na zmianę z Annie i Madison czuwała przy Paulu i Michaelu.

Rourke spojrział na swoje ręce. Zaskakiwały go zmiany, jakie zaszły na powierzchni poparzonej skóry. Gdy lekarz Manna spryskał je preparatem w aerozolu, John poczuł najpierw ciepło wypierające ból, a w nocy budziło go kilkakrotnie dziwne swędzenie pod bandażem. Gdy rano zdjął opatrunek, zauważył ku swemu zdumieniu, że po paru godzinach ręce wyglądały tak, jakby goiły się przez kilka dni.

Ogolił się, wziął pysznie, umył głowę. Powtórnie rozpylił lek na ranach. Łagodny chłód, a później przyjemne ciepło rozeszło się po obolałych rękach. Zjadł lekkie śniadanie składające się z Tang; pamiętał kampanię reklamową sprzed pięciu wieków: "Astronauci naprawdę tego używają - granulowanej kaszy, suszonych owoców".

Powróciło swędzenie dłoni. Tym razem nie zdejmował bandaży.

Wizyta w szpitalu polowym nie była konieczna. Żona powiadomiłaby go niezwłocznie, gdyby stan któregoś z rannych pogorszył się. Doszedł do krańca obozu. Stał, wpatrując się w cętkowany kadłub "Edena 1". Tuż za nim znajdował się drugi prom. Wkrótce miał wylądować "Eden 3".

Znalazł duży, płaski kamień. Usiadł na nim myśląc, jak niewiele zmienił się świat. Nadal istnieją ludzie gotowi nieść śmierć i zniszczenie, by zrealizować własne, niekoniecznie chlubne cele. Inni nadal trwali w apatii. A on sam? Ciągle kochał dwie kobiety. Żadna z nich nie sypiała z nim. Sarah nie mogła mu darować, że użył kapsułek narkotycznych, żeby dodać lat dzieciom; Natalia zaś - podobnie zresztą jak on sam - za bardzo szanowała jego małżeństwo, by dopuścić się czegoś, co uważała za zdradę.

Dawno stwierdził, że rasę ludzką cechuje wrodzona głupota i nie uważał się za wyjątek pod tym względem.

- Doktorze Rourke?

Głos był kobiecy, słyszał go po raz pierwszy. Odwrócił się. Dziewczyna o włosach raczej rudych niż kasztanowych, bladej twarzy i trudnym do określenia kolorze oczu uśmiechała się do niego. Odpowiedział również uśmiechem.

- Chyba pani nie pamiętam. Proszę mi wybaczyć, jeśli zostaliśmy sobie przedstawieni, ale odkąd wylądowały "Eden 1" i "Eden 2" poznałem tylu ludzi...

- Nie zostaliśmy sobie przedstawieni. Dostrzegłam pana z daleka. Po pańskim ubiorze domyśliłam się, kim pan jest. Nie nosi pan kombinezonu NASA ani niemieckiego munduru.

Rourke widział dzisiaj w obozie kilku ludzi Manna: inżynierów, personel medyczny. Wyglądało

na to, że pułkownik miał zamiar dotrzymać przynajmniej części umowy.

- W czym mógłbym pani pomóc? - zapytał.

- Nazywam się Mona Stankiewicz. Jestem oficerem pomocniczym "Edena 1". Chciałabym z panem porozmawiać.

- Przecież właśnie rozmawiamy.

- Tak, ale to będzie dłuższa rozmowa. Teraz nie mam czasu. Za chwilę wyląduje "Eden 3".

- Panno Stankiewicz, dowódcą "Edenu" jest kapitan Dodd. Jeżeli ma pani jakiś problem, powinna się pani zwrócić do niego.

- Jednak tylko panu mogę o tym powiedzieć. Proszę! Więc po wylądowaniu "Edena 3"...

- Jeśli to takie ważne, dlaczego nie powie mi pani teraz?

- Już mówiłam. Zajęłoby to zbyt wiele czasu. Sporo należy wyjaśnić. Jeśli po tym, co pan usłyszy, uzna pan, że powinnam pójść do kapitana Dodda, zrobię to. - Spojrzała na zegarek i uśmiechnęła się zakłopotana. - Jestem już spóźniona. Znajdę pana, gdy "Eden" wyląduje, dobrze? John skinął głową.

- Jeżeli uważa pani, że tak trzeba...

Dziewczyna uśmiechnęła się raz jeszcze, odwróciła i uciekła.

Parzył za nią przez jakiś czas, paląc cygaro. Nie miał dziś zbyt wiele do roboty. Kurinami i Natalia wystartowali już na sowieckich śmigłowcach, podobnie jak dwóch Niemców oddelegowanych przez Manna Rourke nie miał do tej pory okazji, by porównać zalety sowieckich i nazistowskich maszyn. Przed startem powiedział do Natalii:

- Uważaj na Karamazowa, ale miej też na oku ludzi Manna. Myślę, że możemy im ufać, ale lepiej być ostrożnym.

Podniósł się wreszcie z kamienia i ruszył w kierunku obozu. Przybyło więcej Niemców. Podobnie jak międzynarodowa obsada obu promów, wylegli przed namioty. Wszyscy zadzierali głowy, wpatrując się w niebo w oczekiwaniu na ukazanie się "Edena 3".

Rourke szedł przez obóz do namiotu rekonwalescentów, Michaela i Paula, odwzajemniając po drodze skinienia głowy i uśmiechy. Spojrzał w górę. Helikopter Natalii znajdował się nad nim, John pamiętał numer na drzwiach ładowni. Zastukał w maszt namiotu. Brezent uchylił się. Zobaczył uśmiechniętą twarz Sarah. Szarozielone oczy promieniowały ciepłem, jakiego dawno już w nich nie widział. - Cześć.

- Cześć. Wyglądasz na zmęczoną. Ale jesteś piękna.

- To pierwsze na pewno jest prawdą. Wejdz!

Uniosła wyżej klapę namiotu. Był dokładnie taki, jak inne wojskowe namioty. Przez ściany i sufit przenikało blade żółte światło. Na stoliku między łózkami płonęła lampa Colemana

- Tata! - Madison posłała mu uśmiech. Klęczała przy łóżku Michaela, który chyba spał. - Wypoczywa. Cudowne niemieckie lekarstwa działają - powiedziała cicho.

Sarah stanęła obok Johna.

- Widać wyraźną poprawę u nich obu - wyszeptwała

- Nie rozmawiajcie o mnie tak, jakby mnie tu nie było. - John zwrócił wzrok w stronę, skąd dochodził głos.

Paul Rubenstein nie spał. Przy jego łóżku Rourke zobaczył zwiniętą w kłębek Annie. W śpiworze wydawała się dziecinnie mała.

- Śpi - szepnął Paul.

- Ty też powinieneś spać - odrzekł ze śmiechem John.

- Słuchajcie. - Sarah zniżyła głos. - Pójdę poszukać czegoś do jedzenia Madison i ja nie jadłyśmy od zeszłego popołudnia.

- Nie przyniesiono wam? Myślałem, że...

- Ależ owszem - przerwała Sarah. - Ale ja byłam zajęta Paulem, a Madison nie miała ochoty najedzenia. Annie spałaszowała wszystko.

- Co za dzieciak! - Rourke wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Zajmę się wszystkim. Idźcie się przewietrzyć.

Sarah zwróciła się do synowej:

- Chodź, stawiam śniadanie.

- Stawiasz?

- Nieważne, idziemy - Chwyliła młodą kobietę za rękę i pomogła jej wstać.

Rourke zauważył, że Madison porusza się sztywno. Dziewczyna odgarnęła włosy z twarzy i uśmiechnęła się.

- John, wracamy za dziesięć minut - powiedziała Sarah, wychodząc z namiotu.

- W porządku.

Usiadł przy stole. Począł, aż oczy przywykną do ciemności. Spojrzał na syna. Michael oddychał równo, regularnie.

- Dzięki za ponowne uratowanie mi życia - powiedział nagle Paul. - Nie potrafisz zerwać ze swymi nałogami. Ratowanie Rubensteina stało się jednym z nich.

- Niewielu mam takich przyjaciół, jak ty, stary.

- Sarah opowiadała mi o nazistach. - Paul zmienił temat.

- To Niemcy, Paul. Mówią o sobie "naziści" z braku lepszego określenia.

- Jestem Żydem. Przyznasz więc, że niełatwo mi być obiektywnym. Naprawdę ufasz temu Mannowi?

- Wydaje się być szczery. Ale moje plany uwzględniają też odwrotną sytuację.

- W jaki układ z nim wszedłeś?

John miał ochotę zapalić cygaro, ale powstrzymał się. Dym mógłby obudzić Michaela lub Annie.

- Mann jest zamieszany w swego rodzaju przewrót pałacowy - powiedział. - Chce obalić kogoś, kogo nazywa wodzem; taki hitlerowski typ przywódcy. Nie spodobałby ci się.

- Touche! - Paul zaśmiał się głośno.

- W każdym razie, w zamian za pomoc Mann obiecał nas wesprzeć w walce przeciw Karamazowowi. Zostałem wybrany.

- Argentyna?

- Tak. Słyszałem, że jest tam pięknie o tej porze roku.

- Nawet po tym cudownym leku, którym spryskali moje rany...

- ...nie będziesz mógł jechać - dokończył za niego Rourke.

- A Natalia?

- Prawdopodobnie - przytaknął John. - Może Kurinami i Halwerson dla osłony naszego odwrotu. Skośnooki Japończyk i czarnoskóra kobieta nie zdołają niepostrzeżenie wmieszać się w tłum Niemców. Natalia - to jedyne rozsądne rozwiązanie. Nie zdziwiłbym się, gdyby mówiła po niemiecku.

- Ty oczywiście znasz niemiecki?

- Na tyle, żeby sobie poradzić - John nadal mówił bardzo cicho, spoglądając na uśpioną Annie. Zazdrościł jej spokoju. Była śliczna. Patrząc na nią, promieniał zachwytem. - Wspaniała dziewczyna! Opiekuj się nią, gdy mnie tu nie będzie.

- Może Dodd mógłby udzielić nam ślubu, jako kapitan statku. Wiesz, kocham ją. - Paul zaśmiał się radośnie. - Będziesz moim teściem.

- Hmm... - mruknął Rourke.

- Coś nie tak?

John wpatrywał się w swoje dłonie. Zaczaj mówić, nie patrząc na Paula:

- Ty i Annie zrozumiecie mnie, kiedy będziecie mieć własne dzieci. Mężczyzna mający córkę zastanawia się, na jakiego faceta dziewczyna trafi. Myśli, co zrobi temu sukinsynowi, jeśli spadnie jej włos z głowy. Musisz poczekać ze ślubem, aż wrócę i sam oddam ci ją za żonę.

- Co mamy robić, czekając na ciebie? Budować nowy świat? - z uśmiechem zapytał Paul.

- Myślę, że ludzie z "Projektu Eden" już zaplanowali, jak powinien wyglądać nasz nowy wspaniały świat Ty miej tu po prostu na wszystko oko i pilnuj, żeby nie popadli w kłopoty. Za parę dni będziesz mógł się jako tako poruszać. Doktor Munchen i Hixon zaopiekują się tobą. Zatrzeszcz się też o Michaela. Niech wygrzebie się z tego jak najszybciej. I daj mu do zrozumienia, że masz więcej doświadczenia od niego. Michael bywa niepoprawny, odziedziczył to po mnie. Trzymaj rękę na pulsie i nie wtrącaj się, chyba że zaczną robić głupstwa. I zajmij się Madison. Trzeba nauczyć ją prowadzić samochód i lepiej strzelać, a w tym wypadku nie można polegać na Michaelu. - John roześmiał się.

- Jedzie was tylko czworo. Nie podoba mi się to - zaczął Paul.

- Nic się nam nie stanie. Dbaj o siebie. Musisz być w formie, kiedy wrócimy. Wtedy, razem z Natalią, ruszymy za Karamazowem. Tylko my troje. Chociaż, z drugiej strony, wolałbym nie wciągać w to Natalii.

Paul Rubenstein powiedział, zniżając głos:

- To, że Karamazow wtedy przeżył, to cud. Powinien był zginąć tamtej nocy na ulicach Aten.

- Cud? - John spojrzał na przyjaciela - Nie jestem teologiem, ale Władymir Karamazow nie zasługuje na cud. Ale jeżeli dopadnę go tym razem, jedynie cud umożliwi mu pozostanie przy życiu. - Rourke wstał. - Tym razem będę miał pewność.

ROZDZIAŁ VI

Przez dłuższą chwilę John czekał na rudowłosą Monę, jednak zmęczenie wkrótce dało mu się we znaki. Powiedział do Kurinamiego:

- Ma tu przyjść dziewczyna, żeby się ze mną spotkać. Zapytaj ją, czy ta sprawa może poczekać. Jeżeli nie, obudź mnie.

Kurinami, czytając jakieś techniczne opracowanie, siedział przed namiotem, który dzielił z sześcioma kolegami. Przetawiał płócienne krzesło przed namiot Johna.

- Oczywiście - powiedział.

John wszedł do namiotu. Odruchowo sprawdził koce - jak zwykle nic. Byłby szczęśliwy, gdyby znalazł w nich najmniejszego robaka czy żmiję. Przysiadł na krawędzi pościela, rozwiązał wojskowe buty, ściągnął skarpetki. Zrzucił kurtkę i odpiął kabury. Z ulgą wyciągnął się na łóżku.

Po splekanej powierzchni wyschniętego błota szła Mona Stankiewicz. Zauważywszy siedzącego przed namiotem Kurinamiiego, zawołała z daleka:

- Akiro! Nie widziałeś doktora Rourke'a? To jego namiot, prawda?

- Doktor śpi. Był bardzo zmęczony. Więc to na ciebie czekał? Mona podeszła bliżej. Z tej odległości mogła bez trudu przeczytać tytuł książki, którą Kurinami trzymał na kolanach.

- Chyba miał ciężki dzień. Powiedz mu, że wrócę.

- Obudzę go, jeśli to ważne, Mona.

- Nie trzeba. Mogę jeszcze trochę poczekać. Powiedz mu, że byłam. Może sam zechce mnie poszukać.

Posłała Akiro uśmiech i ruszyła z powrotem przez ogrodzony teren. Na ogół ludzie uważali Japończyków za istoty pozbawione poczucia humoru i zamknięte w sobie. Dla niej Kurinami był zabawny. Pamiętała, że kiedyś położył na krześle Dodda poduszkę, która ściśnięta, wydawała odgłos uchodzących gazów. Gdy Dodd wstał, aby przemówić, a potem usiadł, efekt był nadspodziewany. Akiro jako jedyny zdołał zachować powagę - przynajmniej przez trzydzieści sekund. Ale Kurinami potrafił być też niebezpieczny. Mona przypomniała sobie słowa Dodda: "Kurinami jest cholernie dobrym pilotem. Mieliśmy szczęście, że nie było go na świecie podczas drugiej wojny światowej".

Mona Stankiewicz nie wiedziała, dokąd pójść. Jednego miejsca postanowiła szczególnie unikać. Okolice "Edenu 3" stanowiły rejon, w którym wołała się nie pokazywać. Była co prawda zaręczona z jednym z przebywających na jego pokładzie astronautów i pragnęła ujrzeć go znowu. Jednak to, co długi czas ukrywała, a teraz zdecydowała się wyjawic, może sprawić, że jej chłopak nie zechce jej więcej widzieć.

Idąc oddalała się od obozu. Jakiś Niemiec, którego właśnie mijała, uśmiechnął się i pozdrowił ją salutując. Odpowiedziała uśmiechem i jedynymi niemieckimi słowami, jakie знаła:

- Guten Tag.

Niemiec zagadnął Monę, ale ona zrozumiała tylko zakończenie: Fraulein.

Szła dalej. Jej nogi szybko się męczyły, miała jednak nadzieję, że w ciągu kilku dni odzyska pełnię sił. Kapitan Dodd zorganizował już ćwiczenia, ale Mona, jak większość kobiet, nie brała w nich udziału. Po przebudzeniu wystąpiła obfita menstruacja, bardziej uciążliwa niż zazwyczaj. Wykonywanie niektórych ćwiczeń było po prostu niemożliwe.

Znalazła kamień, na którym siedział Rourke podczas ich pierwszego spotkania. Usiadła, odgarniając z twarzy włosy, które spadały jej na oczy.

- Doktor Rourke... - powiedziała do siebie.

John był bardzo przystojnym mężczyzną. Wysoki, muskularny, dobrze zbudowany. Ciemne, dobrze przystryżone włosy okrywały kształtną głowę. Kilka srebrnych pasm na skroniach można było zauważyć tylko dlatego, że kontrastowały z głębokim brązem reszty włosów. Mówiono o nim w obozie - głównie kobiety - że jest wyjątkowo przystojny. Komentowały jego spojrzenia rzucone na Natalię: "Zauważyłaś, jak patrzy na tę rosyjską kobietę? A ona na niego? No i ta żona, patrząca na nich oboje!" Czegóż to nie wymyślą kobiety! Mona musiała jednak przyznać, że na atrakcyjności mu nie zbywało. Miał ciepły głos, który odbierało się nieomal jak dotyk. I przyjemny blask oczu, gdy nie skrywały ich ciemne okulary.

Co właściwie wiedziała o nim? Chyba niewiele. Zgodnie z informacjami Dodda, Lerner a i Elaine Halwerson ukończył studia medyczne, potem pracował w Centralnej Agencji Wywiadowczej - słowa te przyprawiły ją o bicie serca. Po opuszczeniu CIA założył szkołę przetrwania. Uczył, jak przeżyć w ekstremalnej sytuacji, jak posługiwać się bronią. Pisał nawet książki na ten temat. Właściwie nigdy nie pracował w swoim zawodzie, ale zdaniem Hixona - biorąc pod uwagę sposób, w jaki przeprowadził operację Michaela - był naprawdę doskonałym chirurgiem. Musiał też być piekielnie odważny. Mona słyszała, czego dokonał, ratując przyjaciela, którego żydowskiego nazwiska nie mogła sobie przypomnieć.

Zdecydowała więc, że najlepiej będzie porozmawiać z nim. Człowiek pokroju Rourke'a na pewno łatwiej ją zrozumie niż Dodd. Usłyszała za sobą szmer, jakby odgłos kroków. "Może to..."

- Ach! To ty. Gdzie, gdzie jest..

Przed oczami błysnęła jej lufa pistoletu. Uświadomiła sobie, że powinna była słyszeć strzał, który właśnie oddano. Ale nie słyszała niczego. Nie mogła usłyszeć, gdyż cała jej uwaga skoncentrowała się na palącym bólu w klatce piersiowej. Zaraz potem doznała uczucia, jakby jej głowa miała za chwilę wybuchnąć.

ROZDZIAŁ VII

- Doktorze Rourke!!!

John otworzył oczy. Nasłuchiwał. Krzyk... To chyba kobieta. Wskoczył z łóżka. To nie mógł być sen - nie miewał już snów.

- John! - To był Kurinami. - Krzyczała jakaś kobieta. Ja...

- Tak. - Zwilżył językiem suche wargi. - Idź. Zaraz tam będę.

Gwałtownym ruchem wyszarpnął z kabur detoniki. Boso wybiegł z namiotu. Gnał naprzód, wciskając po drodze pistolety do kieszeni wytartych lewis'ów. Słońce raziło go. Zmrużył oczy. Widział Kurinamiego, który biegł przed nim. Zauważył, że zatrzymuje się w niewielkiej odległości od ciała kobiety.

Rourke stanął. Wiatr igrał z włosami leżącej na ziemi dziewczyny. Rozwiewał pasma, których kolor trzeba było określić raczej jako rudy niż kasztanowy. Mona Stankiewicz.

Minął Kurinamiego, padając raptownie na kolana. Łagodnie uniósł głowę kobiety. Krew sączyła się cienkim strumykiem z dwóch ran w klatce piersiowej.

Powieki Mony zdrząły, gdy John oparł jej głowę o swoje kolana.

- Nie próbuj mówić.

Z wysiłkiem podniosła powieki. Miała bardzo piękne oczy. Nie było w nich widać bólu ani strachu. Jedynie spokój. Wargi Mony poruszyły się. Rourke pochylił głowę, by usłyszeć słowa

- Sowiecki agent... - wyszeptała.

Oczy pozostały otwarte, ale doktor nie wyczuwał już pulsu w tętnicy szyjnej.

- Sowiecki agent - wymamrotał Kurinami.

John rozejrzał się. Zdążyli nadejść inni. Dodd, Lerner, Sarah i Elaine Halwerson stanęli za jego plecami. Dodd odezwał się pierwszy. Cicho i miękko rzekł:

- Ten... rzucający się w oczy, automatyczny pistolet, który major Tiemierowna nosi przy sobie, czy on nie jest wyposażony...

- ...w tłumik - dokończył Rourke, podnosząc głowę. - Do Mony oddano dwa strzały, ale słychać było tylko jej krzyk. - Spojrzał Doddowi prosto w oczy. - Natalia nie zrobiłaby tego w ten sposób.

Popatrzył na twarz Mony. Teraz już wiedział, jakiego koloru są jej oczy - jasnobrażowe, jakby inkrustowane zielonymi cętkami. Zamknął je delikatnie.

ROZDZIAŁ VIII

Sekcja zwłok nigdy nie należy do przyjemności, ale w wypadku osoby znanej jest to wyjątkowo niemiłe. Rourke obserwował sekcję dokonywaną przez doktora Hixona z "Edena I" i doktora Munchena - lekarza wojsk podległych Wolfgangowi Mannowi. Uważając, że Munchen wniesie dodatkowe spostrzeżenia, oparte na bogatej wiedzy medycznej, John nalegał na jego udział w sekcji. Jednak gdy Hixon otworzył ciało, wszystko okazało się aż nadto oczywiste. Munchen nie mógł nic dodać.

Strzały oddano z bliskiej odległości. Wyjęte z ciała pociski - kaliber dziewięć milimetrów - były lekko zdeformowane. Zdaniem Johna, musiano je wystrzelić z broni o kalibrze 0,38. Sprawca nie omieszkął zabrać łusek.

Natalia zwykła nosić walthera 0,38. Jak słusznie zauważył Dodd, pistolet ten miał tłumik.

Kapitan Dodd, także obecny przy oględzinach, powiedział flegmatycznie:

- Czego więcej panu potrzeba, doktorze? Mona Stankiewicz wskazała na rosyjskiego agenta.

Zastrzelono ją z broni kalibru 0,38.

- Z krótkiego browninga dziewięć milimetrów - wyszeptał Rourke.

- A ponieważ nie słyhać było odgłosu strzałów, pistolet musiał mieć tłumik. Major Tiemierowna jest rosyjskim agentem...

- Byłym - warknął cicho John.

- Dobrze, byłym, ale Mona mogła nie pamiętać imienia. Zapamiętała tylko fakt, że jej zabójcą jest sowiecki agent, były czy aktualny - nie wiadomo. Jakim pistoletem zwykle posługuje się major Tiemierowna?

- Krótkim browningiem kaliber dziewięć.

- A więc jest to broń, z jakiej zastrzelono Monę Stankiewicz.

Patrząc na leżące ciało, Rourke poczuł *coś* w rodzaju zawstydzenia. Nagie piersi kobiety wystawiono na widok publiczny. Fałdy rozciętej skóry nie osłaniały więcej tajemnic ludzkiego organizmu. A jednak ciało to kryło zagadkę. Kto postanowił zgładzić Monę Stankiewicz?

Spojrzał na Dodda. W rozproszonym świetle, przenikającym przez płótno namiotu, dojrzał na jego twarzy wyraz, którego wcześniej nigdy nie widział. Jakby nienawiść i głupota, wynikające z braku logiki. Zwrócił się do kapitana:

- Niechże się pan zastanowi. Natalia jest wrogiem Sowietów. Zależy jej na realizacji "Projektu Eden". Nie zabijałaby nikogo z naszych ludzi. To nielogiczne!

- Do diabła z logiką, doktorze. Ta kobieta była lub nadal jest rosyjskim agentem. Jej bronią dokonano zabójstwa.

- Nie posyłajmy logiki do diabła, kapitanie. Mona Stankiewicz chciała mi coś powiedzieć, właśnie mnie. Czy zwróciłaby się do mnie z czymś, co obciążałoby Natalię? Wiedziała, że jesteśmy przyjaciółmi. Nie, Dodd. Gdyby chodziło o Natalię, Mona zwróciłaby się do pana. Pan przecież uwierzyłby w najgorsze, jeśli dotyczyłoby Natalii. Wiem teraz, o czym Mona chciała ze mną rozmawiać. Mamy tu sowieckiego agenta. Posłużył się bronią Natalii, żeby zabić Monę. Kogo możemy w tej chwili oskarżyć? - John pozwolił sobie na uśmiech. - Niewykluczone, że to pan, kapitanie. To wyjaśniałoby, dlaczego Mona nie poszła do pana.

- Uważaj, Rourke. - Dodd pochylił się nad ciałem zamordowanej dziewczyny.

John milczał przez chwilę, po czym podjął przyciszonym głosem:

- A może zaczęlibyśmy od sprawdzenia, gdzie znajduje się pistolet Natalii? Ona na pewno nie odmówi pomocy. Morderca nie bez przyczyny usiłuje ją zrobić w to zabójstwo. Może obawia się, że Natalia mogłaby go rozpoznać? Monę zabił właśnie dlatego.

- Sowiecki agent w "Edenie"? Rourke, jesteś stuknięty.

- Odpieprz się - skwitował ostro John. - Idę teraz porozmawiać z Natalią. Idzie pan ze mną, Dodd? - Spojrzał na martwą Monę. Wziął prześcieradło, żeby zakryć zwłoki. Nie wiadomo do kogo wyszeptał: - Nie ma już więcej sekretów do ujawnienia.

- Sam pogadam z major Tiemierowną - nagle odezwał się Dodd.

- Natalia źle spała poprzedniej nocy. Dałem jej środek uspokajający. Musi zregenerować siły przed wyprawą do Argentyny. To już jutro. Możliwe, że jeszcze śpi. Nie pozwolę jej przeszkadzać.

- Za godzinę ląduje "Eden 4". Nie ma czasu na pierdoły, Rourke. Musimy znaleźć mordercę.

- Więc może wreszcie spróbujemy go poszukać? - John ściągnął chirurgiczne rękawiczki, z impetem rzucając je na ziemię. Skierował się do wyjścia z namiotu.

- Jeżeli będzie pan przeszkadzał, Rourke, każę odebrać panu broń.

John, nie patrząc na kapitana, odparł:

- Ależ proszę, niech pan to zrobi. - Znalazłszy się w promieniach popołudniowego słońca, wyjął z kieszeni kurtki ciemne, lotnicze okulary. - A niech to cholera - syknął przez zęby.

Natalia Tiemierowną siedziała na kocu. Słońce padało na jej nogi. Ubrana w niebieską koszulę Johna, stanowiła ponętny widok. Poruszała się ostrożnie, aby nie ściągnąć ciekawskich spojrzeń. Zamyślona, bezwiednie czyściła broń. Umieściła wkret zabezpieczający w przedniej części szkieletu smitha. Dźwignia wróciła do prawidłowej pozycji, bębenek - na swoje miejsce. Cała broń Natalii wymagała czyszczenia po tym, jak przemokła. Deszcz nie był najlepszym środkiem konserwującym. Rosjanka musiała naoliwić skórzane pasy.

Położyła smitha na kocu obok bliźniaczego rewolweru. Srebrzystoszare smithy były pierwszą wersją posiadającą specjalne zabezpieczenia bębena i frezowaną komorę naboju. Te dwa podarowano niegdyś pierwszemu i zarazem ostatniemu prezydentowi Stanów Zjednoczonych II - Samowi Chambersowi. Natalia otrzymała je od Chambersa za pomoc w ewakuacji Florydy. Popatrzyła na amerykańskie orły wyryte na płaskiej części lufy. Pamiętała opowieści swego wuja, generała Izmaela Warakowa, o orle i niedźwiedziu walczących na śmierć i życie.

Jej wuj, podobnie jak i wszyscy inni, od dawna nie żył. Na myśl o tym w oczach Natalii błysnęły łzy.

Wzięła do ręki metalicznego walthera PPK/S w wersji amerykańskiej. Kciukiem nacisnęła przycisk zwalnający magazynek. Zarepetowała broń, wyrzucając nabój z komory. Położyła magazynek i nabój na naoliwionej szmatce. Coś ją zaniepokoiło. Mosiężna łuska lśniła, a przecież ładując broń, dotykała łusek niezliczoną ilość razy. Spojrzała na pierwszy nabój w magazynku. Powinien być zaśnieżony.

Używając walthera, Natalia zawsze miała pełny magazynek i dodatkowy nabój w komorze. W tym typie pistoletu nie istniała możliwość włożenia naboju do komory od zewnątrz. W tym celu należało zarepetować broń, co powodowało przejście pierwszego naboju z magazynka do komory. Po zabezpieczeniu walthera wyjmowało się magazynek, żeby dołożyć brakujący nabój. Tym sposobem dwa naboje podlegały ciągłej rotacji. Nie można ich było przy tym nie dotykać. Łuski oznaczone były rysami od nieustannego wkładania i wyjmowania.

Natalia przyjrzała się magazynkowi. Kiedyś, podczas strzelaniny upuściła go, od tego czasu denko miało charakterystyczne zadrapanie.

Chwyciła czarną, płócienną torbę, szukając zapasowych magazynków. Przez owalne otwory bocznej ścianki zauważyła brak dwu naboju w jednym z nich.

Rosjanka podniosła pustego walthera, powąchała przykręcony do lufy tłumik. Charakterystyczny zapach spalonego prochu. Od czasu ostatniego czyszczenia nie był przecież używany.

Odkręciła tłumik. Wyjęła zamek, wyciąg i sprężynę powrotną. Na końcu wyciora umieściła białą szmatkę. Wprowadziła wycior do lufy. Na szmatce pozostały czarne ślady gwintowania. To potwierdziło jej wcześniejsze obawy. Z jej pistoletu niedawno strzelano.

- Major Tiemierowna, proszę przestać czyścić broń. Oderwała wzrok od walthera. Przy niej stał kapitan Dodd.

Obok - John Rourke.

- John, co...

- Majorze, sądząc po tych zabrudzeniach na szmatce, z tego pistoletu strzelano.

- W moim zapasowym magazynku brakuje dwóch naboji. Myślę, że przełożono je do pistoletu.

- To kaliber 0,38, czyż nie? - spytał Dodd. - Tak, ale...

- A ten przedmiot na kocu to chyba tłumik?

- Tak - odparła. - I co z tego?

- Jako dowódca floty "Projektu Eden", w imieniu najwyższych władz cywilnych i wojskowych, aresztuję panią pod zarzutem zabójstwa Mony Stankiewicz.

John odwrócił głowę w kierunku Dodda:

- Odpieprz się!

- Rourke, jeżeli jeszcze raz usłyszę coś podobnego...

- Co wtedy? Śmiało, chciałbym się dowiedzieć.

- Zamordowano... Kogo? - spytała Natalia.

- Monę Stankiewicz, drugiego nawigatora "Edena 1". Zastrzelono ją z pistoletu kalibru 038. Niewątpliwie użyto tłumika. Jedyne, co było słychać, to jej krzyk. Przed śmiercią zdążyła wskazać na sowieckiego agenta jako swego zabójcę.

- A w obozie tylko ja mam pistolet kalibru dziewięć milimetrów. - Nie czekała na odpowiedź. - i tylko ja mam tłumik. I jedynie ja mogę być uznana za sowieckiego agenta. Więc muszę być zabójcą. Ale to nieprawda. - Sięgnęła do torby, lecz przypomniała sobie, że nie ma papierosów. Zerwała przecież z nałogiem. Spojrzała prosto w oczy Dodda. - i pan w to wierzy? - zapytała.

John wtrącił się, zanim Dodd zdążył cokolwiek powiedzieć:

- Czy miałaś walthera ciągle przy sobie?

- Nie wzięłam tabletki nasennej, ale trochę się przespałam. Potem poszłam na spacer. Wzięłam tylko te dwa - Gestem wskazała smithy z wygrawerowanymi orłami. - Po powrocie poszłam pod prysznic. Walthera zostawiłam w namiocie. Ubrałam się i wyszłam na zewnątrz czyścić broń.

- Gdzie dokładnie znajdował się pistolet?

- W torbie, schowany w kaburze. Miałam go, gdy lądował "Eden 3". Potem już nie.

Rourke odwrócił się do Dodda.

- A zatem, ktoś wiedząc, że Natalia ma pistolet z tłumikiem, przeszukał jej rzeczy, gdy była na spacerze albo pod prysznicem. Znalazł walthera, posłużył się nim, by zabić Monę i podrzucił broń na miejsce. Podmienił naboje, żeby Natalia nie spostrzegła od razu ich braku.

- Czy ktoś panią widział na spacerze lub podczas kąpieli?

- Mój namiot stoi na skraju obozu. Zajmuję go razem z Elaine Halwerson, ale nie widziałyśmy się od lądowania "Edena 3". Nie sędzę, aby ktoś mnie zauważył na spacerze. A jeśli chodzi o drugie pytanie, zwykle kąpię się sama. - Uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Dlaczego zabójca miałby użyć właśnie pani broni? Nie jest pani jedyną osobą, która posiada pistolet. Doktor Rourke, jego żona, dzieci, Paul Rubenstein... Wszyscy są uzbrojeni.

- Może z powodu tłumika. Nic innego nie przychodzi mi do głowy.

Dodd uderzył pięścią w otwartą dłoń.

- Podtrzymuję to, co powiedziałem. Jest pani aresztowana. Może mi pani zaufać. Zbadam

dokładnie tę sprawę. Jeżeli okaże się pani niewinna, nie omieszkać przeprosić za swój błąd. -
Sięgnął do kabury. - Proszę ze mną.

Dwa detoniki, wymierzone w Dodda, błysnęły w dłoniach Johna.

- Jeden fałszywy ruch, a jest pan martwy - wyszeptał Rourke.

- Nie, John. - Natalia przykryła dłonią lufy detoników. - Nie w ten sposób. Jestem niewinna.

Wierzę, że kapitan Dodd potrafi udowodnić swe zarzuty.

- Mieliśmy jutro jechać do Argentyny.

Ciemne okulary przesłaniały oczy Johna. Natalia widziała w nich tylko odbicie swych własnych oczu. Wyciągnęła rękę i delikatnie zdjęła mu okulary.

- Nie bój się o mnie. Kiedy wrócisz, wszystko już będzie wyjaśnione. Nie zostaję tu sama, jest jeszcze Paul, Michael, Annie i Madison. Zabierz ze sobą Sarah. Poradzi sobie równie dobrze, jak ja.

- Nie, Natalio...

- Nauczę cię posługiwać się moimi wytrychami, chyba że kapitan Dodd zechce je zatrzymać jako materiał dowodowy. Dam wam walthera. Broń z tłumikiem zawsze się przydaje.

- Nie, nie chcę, żeby to tak było.

Dotknęła jego policzka. Był rozgrzany. Uświadomiła sobie, jak bardzo go kocha i jak beznadziejna jest to miłość.

- Potrafię o siebie zadbać, John. Wiesz o tym. I wiesz, że jestem niewinna. Przecież właśnie ty nauczyłeś mnie wierzyć w sprawiedliwość tego ustroju. Teraz będę mogła się przekonać.

Nie wierzyła, że Dodd odkryje prawdziwego mordercę. Ktokolwiek zabił tę kobietę o polskim nazwisku, postarał się, żeby wszystko wskazywało na Natalię: jej broń, brak alibi i słowa umierającej dziewczyny.

- Nie zostawię cię - cicho, lecz stanowczo powiedział Rourke.

- Zostawisz. Oboje to wiemy. Zamknął oczy. Opuścił lufy pistoletów.

- Czy Karamazow może mieć agenta w "Edenie"? - zapytał.

- Nie wiem, John.

- Niech pan nie będzie śmieszny, Rourke. Każdy człowiek był wielokrotnie sprawdzany. Wszyscy mają kryształowe opinie.

- I to jest najbardziej niebezpieczne. Nie ma ludzi czystych jak łąza, nawet jeśli tak mówią akta.

- Nawet pan, doktorze?

- Gdyby wyciągnął pan pistolet, już by pan nie żył.

- Pójdę się przebrać - odezwała się Natalia. - Potem będę do pańskiej dyspozycji, kapitanie.

Oddała Johnowi okulary, wspięła się na palce i pocałowała go w lewy policzek. Weszła do namiotu. Nie miała złudzeń. Dodd był przekonany o jej winie. Nic nie zmieni jego zdania. Ale nie mogła pozwolić, żeby John wystąpił przeciw niemu. To skazałoby go - i wszystkich, których kochała - na banicję.

Usiadła na brzegu łóżka. Ponieważ czekało ją nieuniknione, chciała wyglądać jak prawdziwa kobieta. Postanowiła ubrać się elegancko. Jakiś impuls kazał jej zabrać ze Schronu spódnicę i parę sandałów. Wkładając je, zastanawiała się, jak zdoła powstrzymać Johna przed zrujnowaniem życia sobie i rodzinie.

Jaką karę zechcą jej wymierzyć za zabójstwo - tego nie wiedziała.

ROZDZIAŁ IX

Michael już nie spał. Jego otwarte oczy były czujne, choć lekko zamglone. Rourke pomógł Paulowi usiąść, Annie i Madison usadowiły się na brzegu łóżek. Na Sarah padało światło ze stojącej na stole lampy Colemana. John stał przy wejściu do namiotu. Był zbyt wzburzony, by spokojnie siedzieć.

- Jutro powinienem udać się do Argentyny, ale nie mogę tak zostawić Natalii. Po Doddzie nie można spodziewać się niczego dobrego, czuję to przez skórę. Jeżeli jednak nie pojedę, zabiją Berna i frakcja Manna przegra. Zostaniemy sami w obliczu sił Karamazowa, a zapewne i naziści zwrócą się przeciw nam. W takiej sytuacji nigdy nie wygramy, przynajmniej na powierzchni.

- Na powierzchni? - powtórzyła jak echo Sarah. - Wiele przeszłam od Nocy Wojny i zrozumiałam, że miałeś rację w wielu sprawach. Nie wolno ci się teraz poddawać. Wiem, że jeżeli zaatakują nas Rosjanie i naziści, będziesz walczył do końca. Tak jak i my. Ale oni mają broń, z którą nasza nie może się równać. I są ich setki, jeśli nie tysiące. Przegramy. Kilkoro z nas pewnie przedrze się w góry i będziemy tam uprawiać partyzantkę, ale to beznadziejne. Musisz iść.

- Mama ma rację - powiedziała Annie.

- Musisz - potwierdził Michael.

- Nie powinnam się chyba wtrącać, tato...

- Ależ mów, Madison. To dotyczy nas wszystkich.

- Natalia jest bliska nie tylko tobie, dla nas też wiele znaczy. Ale jeżeli nie pomożesz pułkownikowi, wszyscy zginiemy.

- Nie ma co, będzie z niej wspaniała synowa - zaczął Paul. - My tutaj będziemy musieli sobie poradzić bez ciebie. Dużo o tym myślałem. Gdy słyszę o nazistach, dostaję gęsiej skórki. Ale wygląda na to, że Mann nie kłamie; nic by w ten sposób nie zyskał. Trzeba mu pomóc, skoro chce odsunąć od władzy

prawdziwych nazistów. Może wam się uda. Muszę na to stawiać, szczególnie w moim przypadku, czyż nie?

Rourke skinął głową, wpatrując się w cień swojej żony.

- A co do Natalii, jak powiedziała Madison, będzie bezpieczna - dodał Paul.

- W obozie znajduje się rosyjski agent - stwierdził Rourke. - Roźdiestwieriski, a przed nim Karamazow wiedzieli dzięki niemu o naszych posunięciach. Ktoś przekazywał informacje KGB. Kimkolwiek on jest, chce usunąć z drogi Natalię. Być może obawia się zdradzić z czymś, co tylko jej wydałoby się podejrzanym, albo boi się, że go rozpozna. Wątpię, żeby zabójstwo Mony Stankiewicz było po prostu ofiarą na ołtarzu zbrodni. Istniał konkretny powód. Cholera! Dlaczego nie zmusiłem jej do mówienia, kiedy pierwszy raz do mnie przyszła? - jęknął. - W każdym razie Karamazow na pewno zakłada, że jego agent wciąż żyje i prędzej czy później wymyśli jakiś sposób, żeby go wykorzystać przeciw nam. Musimy znaleźć tego człowieka. Udowodnimy niewinność Natalii i unieszkodlimy agenta. To jedyna szansa, żeby przetrwać.

Spojrzał na Sarah, która właśnie zdejmowała z włosów niebiesko-białą apaszkę. Patrzyła na niego z tajemniczym uśmiechem.

- O co chodzi, John? Nie lubisz tłumy?

Rourke usiadł na krześle naprzeciwko żony i wziął ją za rękę.

- Tak - roześmiał się. - Chyba się odzwyczyłem. A wszystko powtarza się od nowa. Czyżby historia rzeczywiście układała się cyklicznie?

- Masz na myśli to, o co walczyłeś? Nachylił się i dotknął ustami jej dłoni.

- Zawsze wiedziałem, o co walczę. Występowałem przeciw chorobliwej głupocie. A ona ciągle gdzieś się czai. Jest tak, jak dawniej. Ludzie gwałtem odpowiadają na wszystko. Życie ludzkie nie ma wartości, frymarczą nim jak drobną monetą. Już nie wiem - wyszeptał ze ściśniętym gardłem.

- Zawsze starałeś się robić to, co należy, John. Bardziej dla nas niż dla siebie. Kochasz Natalię, a mimo to pozostajesz mi wierny. - Chciał odpowiedzieć, ale zakryła mu usta dłonią. - Jesteś porządnym człowiekiem. Wspaniałym mężczyzną. Może nawet zbyt wspaniałym, zbyt szlachetnym. Niełatwo z tobą żyć. Jesteś perfekcjonistą. Osłaniasz się honorem jak pancierzem. Masz bogatą wiedzę. Jesteś doskonały i nie chcesz zrozumieć, że reszta ludzkości nie dorasta do ciebie. Walczysz z tą myślą i oddalasz się od ludzi. Jeżeli kiedyś przestaną się zabijać, co będziesz robił?

Popatrzył na dłoń Sarah, którą trzymał w swojej ręce.

- Może założę prawdziwy szpital? Wkrótce zaczną się rodzić dzieci, życie wróci do normy. - Oczy kobiety były ledwie widoczne w bladym świetle lampy. - Ale myślę, że to się nigdy nie skończy, Sarah.

- Wierzysz, że życie jest podłe, ale odmawiasz zgody na to, by takie pozostało. Choć widzisz je w czarnych barwach, walczysz do końca. Taki jesteś i takim cię kocham, bardzo.

Było tak, jakby siedzieli we własnym domu, w miejscu, którego już nie ma.

- Kobieta nie może pragnąć lepszego mężczyzny - ciągnęła Sarah. - Ale nigdy nie będę podzielać twego poglądu na życie. Może to nieracjonalne, jednak to mój świadomy wybór, John. I przykro mi, że ty miałeś rację. I ty także tego żałujesz. Nałożyłeś na siebie ciężar, jakiego ja sama nie zdołałabym udźwignąć. Nigdy. Trudno mi nawet dzielić go z tobą. Nie umiałam i chyba nadal nie potrafię. Pojadę z tobą do Argentyny. Istnieją miejsca, do których nie uda się wśliznąć mężczyźnie, mogę więc okazać się pomocna. Nie mówię po niemiecku, ale jeden z ochotników zwerbowanych przez Kurinamię - zdaje się, że nazywa się Forrest Blackburn - zna ten język. Zatem będzie was dwóch. To zabrzmiało głupio po tylu latach małżeństwa, ale, John, my tak naprawdę nie znamy się nawzajem. Mamy szansę teraz. I, cokolwiek się zdarzy, to myślę, że tak czy inaczej, będzie to nasza wygrana.

- Kochani cię - powiedział cicho, tuląc jej dłoń.

- Wiem. I wiem, że kochasz też Natalię. Na to nie mogę nic poradzić. Bo to nie romans, tylko prawdziwe życie, a ja umiałabym znaleźć jedynie powieściowe rozwiązanie. A przecież w ten sposób niczego nie załatwimy. Rourke roześmiał się.

- W tym przypadku na pewno nie pomogą nam książki. Myślę, że nie miałaś ze mną łatwego życia, co?

- Chociaż raz się mylisz, John. Zawsze byłeś lepszy niż otaczająca cię rzeczywistość. Ja nie. Ale jestem pewna, że nigdy nie żył na ziemi człowiek lepszy od ciebie.

Wstała i przytuliła jego głowę do swoich piersi. Poczul ciepło jej oddechu. Wargami musnęła jego czoło.

Wtedy ze świata, od którego zdołali na chwilę się odgrodzić, dobiegł ich pierwszy gniewny

okrzyk.

ROZDZIAŁ X

- Proszę tu pozostać. - U wejścia do namiotu na chwilę ukazała się głowa strażnika "Projektu Eden". Natalia zdążyła dostrzec M-16 w jego ręku.

Na zewnątrz słychać było podniesione głosy.

- Jest winna! Tak, to ona! Zabijmy ją i będziemy mieć to z głowy!

- Zabić tę cholerną komunistyczną dziwkę! Przysiadła na brzegu posłania, nogi przysunęła bliżej łóżka.

Nerwowo obciągnęła spódnicę. Bała się.

Usłyszała Dodda usiłującego przekrzyknąć tłum:

- W porządku. Major Tiemierowna jest Rosjanką, ale na razie me udowodniono jej winy. Jeżeli popełniła zbrodnię, zostanie ukarana, ale w majestacie prawa. Poniesie karę, lecz za zabójstwo Momy Stankiewicz, a nie za rozpętanie trzeciej wojny światowej!

- Do diabła, kapitanie! Mona i ja byliśmy zaręczeni.

- Haselton, wiem, co czujesz, chłopie, ale to nie jest... - Nie!

Rozległ się odgłos wystrzału, przypuszczalnie seria w powietrze z M-16.

Natalia podciągnęła spódnicę i beżową halkę. Sięgnęła po przywiązany chustką do uda bali-song. Rozwiązała apaszkę, nóż błysnął w jej ręku. Wstała. Spódnica opadła poniżej kolan. Przeszła w tył namiotu. Zmieniła chustkę i włożyła ją do kieszeni. Przesunęła dłonią po tylnej ścianie namiotu. Wbiła nóż w płótno. Patentowa klinga "Wee Hawk" rozcięła brezent. Natalia spojrzała w kierunku wejścia. Ponowny wystrzał. Wrzaski. Wyzwiska. Sięgnęła po leżący na łóżku niebieski sweter. Włożyła go i zapięła pod szyją. Trzymając otwarty nóż w prawej ręce, przełożyła jedną nogę przez rozcięcie. Przeciskając się przez wąską szczelinę, ugodziła nożem powietrze.

Znalazła się na dworze. Ciągle słyszała strzały i okrzyki:

- Z drogi, kapitanie!

Ruszyła biegiem, przeklinając w duchu pomysł z kobiecym ubraniem. Sandały nie nadawały się do biegania. Sweter i ażurowy bezrękawnik nie chroniły jej przed chłodem. Jeżeli zdoła dobiec do gór, spódnica będzie zaczepiać o krzaki i wystające korzenie. A jej jedyną broń stanowi bali-song.

Za sobą słyszała ludzkie głosy:

- Ta dziwka ucieka! Cholerna komunistka znów na wolności! Zabić ją!

Kobiocy okrzyk wybił się ponad inne: - Powieście ją!

Natalia poczuła, że zapiera jej dech w piersiach. Dobiegła do skraju obozu. Zwolniła i zatrzymała się.

- Jest! Jest tam!

- Uważaj! Ma nóż!

Dwaj uzbrojeni mężczyźni biegli za nią. Z tej odległości mogli trafić ją tylko przez przypadek.

Skręciła w lewo. Nabrała tempa. Nagle jej nogi zaplątały się w coś i upadła. Padając na oślep wymierzyła cios.

- Jezu! Pocięła mnie, pocięła!

Lewą ręką raz po razie uderzała nożem w ciemność. Ostrze trafiło na kość. Rozległ się jęk. Czyjeś ciało osunęło się na ziemię.

Zdażyła wstać, ale natychmiast pochwyciły ją silne ramiona mężczyzn. Przerzuciła nóż do prawej ręki. Wymierzyła kolejny cios. Odpowiedział jej okrzyk bólu. Coś zmierzało w kierunku twarzy Natalii. Zanim się uchyliła, otrzymała uderzenie w lewą skroń. Straciła równowagę. Prawe ramię miała wykręcone do tyłu. Poczwała, jak bali-song wypada jej z ręki.

- Sukinsyny! - wrzasnęła.

Podciągnęła do góry kolano, trafiając napastnika w krocze. Jednocześnie próbowała dosięgnąć ręką drugiego mężczyznę. Żelazny uścisk na lewym nadgarstku uniemożliwił jej to. Jakies ręce schwyciły nogi Natalii, ściągając ją w dół. Przygnieciona do ziemi ciężarem napastnika czuła, że jej prawe ramię za chwilę pęknie. Nie mogła oswobodzić nóg.

- Ten kabel jest tak samo dobry, jak sznur. - Natalia nie widziała twarzy mówiącego.

- Dodd. - Ten głos był znajomy, to Haselton. - Niech pan pozwoli, żebym ja to zrobił. Mona i ja mieliśmy się pobrać. Muszę to zrobić!

- Na co czekasz?! - krzyknęła Natalia.

Z napierającego tłumu doszedł ją stłumiony głos Dodda:

- Na miłość boską! Mieliście być elitą ludzkości. Zachowujecie się jak banda rozwydrzonych wyrostków. Na Boga, przestańcie!

Podniesiono Natalię. Jej prawe kolano natychmiast znalazło cel.

- Kurwa! - wyjęczał czyjś nabrzmiaty bólem głos. Uderzono ją w twarz. Nogi pod nią znów się ugięły. Ciągnięto ją po ziemi. Gdy tylko próbowała wstać, wzrastał ucisk na ramieniu.

- Przestańcie - krzyknęła.

Ucisk nie zelżał. Wokół jej szyi owinięto kabel.

- Przywiążemy końcówkę do ciężarówki Rourke'a. Nie gorszy sposób na wieszanie od innych!

- Koniec zabawy!

Natalia zamknęła oczy, czekając na najgorsze. Uniosła powieki. Światło dochodzące z obozu pozwoliło jej dojrzeć sylwetkę Johna i nieodłączne detoniki w jego rękach.

- Doktorze, myślę, że sobie poradzę...

- Zamknij się pan, kapitanie. Poczwała, że kabel na jej szyi rozluźniono.

- Podnieście ją. Niech tu podejdzie. Pierwszy, który się sprzeciwi, umrze.

- John... - wyszeptała.

Uwolniono ją. Pętla kabla opadła na piersi Natalii. Usiadła. Zerwała kabel i rzuciła na ziemię. Spróbowała wstać. Mechanicznym ruchem usiłowała otrzepać spódnice z kurzu. Nie mogła opanować drżenia.

- John, mam bali-songa Natalii - dobiegł ją głos Rubensteina.

- Powinieneś być w łóżku, Paul - odkrzyknął Rourke.

- Zamiast się wylegiwać, ubezpieczam was z tego końca moim schmiesserem.

Natalia usłyszała znany i jakże miły dla jej ucha odgłos odwodzonego zamka niemieckiej MP-40.

- Trochę miejsca dla mojej przyjaciółki! - z prawej strony dobiegł głos Sarah. - Przysuń się do Johna. Możesz chodzić, Natalio?

- Tak.

Bolało ją gardło, a prawe ramię pozbawione było czucia. Powoli zbliżała się do Johna,

spoglądają w twarze widoczne w światłach reflektorów prześlizgujących się po tłumie. Rourke stał w półcieniu. Pistolet połyskiwał w jego prawej dłoni, drugi był jeszcze matowy.

- Tato, jest samochód - odezwał się Annie.

Siedziała za kierownicą niebieskiego forda, tego samego, przy pomocy którego chciano powiesić Natalię.

- Wyciągnij mój rower i Natalii - głos Johna był ostry jak brzytwa. - Szybko, Sarah...

- W porządku.

Natalia zobaczyła nadchodzącą z boku postać. Widziała napięcie wszystkich jego mięśni i powolne rozluźnianie. Z mroku wynurzyła się sylwetka Kurinamięgo. Japończyk w ręku trzymał pistolet.

- Jestem tutaj, doktorze. Elaine Halwerson jest ze mną.

- Wskakujcie do ciężarówki. Wycofajcie ją. Światła niech będą nadal wycelowane w ten rozwydrzony tłum.

- Co pan, do diabła, robi, Rourke? - odezwał się Dodd. - Jestem w stanie opanować sytuację.

- Wybieram się do Argentyny. Czyżby pan zapomniał? Zabieram Natalię, Sarah, Akiro i Elaine. Nie mam zamiaru obrażać pańskiej inteligencji, uświadamiając mu, co zrobię, jeśli ktoś spróbuje nas zatrzymać.

- Ta kobieta jest morderczynią!

- Tak, kapitanie. A ja jestem pańską ciotką Emily, a wielkanocny zajac będzie tu za dziesięć minut, bo załapał się na przejażdżkę z zębowa wróżką na grzbiecie jednorożca. Niech pan nie będzie idiotą, Dodd. Paul i Michael zostaną tu, żeby reprezentować moje interesy. Nie radzę wywierać na nich presji. W przeciwnym razie módlcie się, żeby odnalazł was Karamazow, zanim ja to zrobię. Dla rozrywki możecie zająć się poszukiwaniem prawdziwego mordercy. Bo jeśli nie znajdziecie sowieckiego agenta, a Karamazow tu powróci, zostaniecie wzięci w dwa ognie.

- Będzie pan wyjęty spod prawa, doktorze!

Rourke tylko się roześmiał. Natalia była już blisko. Podtrzymał ją, żeby nie upadła.

- Madison spakowała twoje rzeczy, a Sarah znalazła pistolety. Są w ciężarówce.

- John, zdaje się, że zrobiłam z ciebie banitę.

- Zawsze nim byłem - wyszeptał.

Gdzieś w tłumie Natalia słyszała głos Paula. Chciała podejść do niego i uściskać. Był jej najdroższym przyjacielem.

- John, zróbcie swoje w tej Argentynie. Ja znajdę mordercę i zabiję go - obiecał Paul.

Natalia spojrzała na twarz Johna. Uczuła na skórze jego oddech, gdy Rourke szepnął: -Wiem.

ROZDZIAŁ XI

Antonowicz odczuwał pokusę sięgnięcia po steczkinę, ale opanował się. Jego ludzie mogliby pomyśleć, że się boi lub coś go niepokoi. Szedł powoli, patrząc uważnie na wszystkie strony. Żołnierze szli nieforemnym klinem. Oddział przedzierał się przez dżunglę.

Zwiadowcy potwierdzili wyniki obserwacji elektronicznej. Zamieszkały obszar otaczający górę nie miał umocnień. Strzegli go jedynie strażnicy, obserwujący teren z czterech wież skierowanych na cztery strony świata. We wnętrzu góry musiało znajdować się gniazdo nazistów. Siła ognia samych helikopterów mogłaby nie wystarczyć do jego zniszczenia.

Major Antonowicz chciał się upewnić. Musiał to zobaczyć na własne oczy.

Unikając hałasu, brnął naprzód. Upał panujący w dżungli wydawał mu się całkiem znośny, jakby tchnący wiosenną świeżością. Pamiętał wybijające tropikalne lasy, pełne zwierzyny i owadów. Ten las był inny. Dzikie owoce rosły wszędzie. Soczysta zieleń liści była wręcz groteskowa, nierealna, ale brakowało tu życia. Jedyne dźwięki, jaki mącił ciszę, dochodził z przodu, spoza płataniny drzew i krzewów. Antonowicz gestem wstrzymał pochód.

Teraz wyjął pistolet. Rozpoznał ludzki głos, mówiący prawdopodobnie po niemiecku. Nie był tego pewien. Pułkownik Karamazow znał niemiecki, Antonowicz - nie.

Trzymając w zaciśniętej pięści steczkinę, rozsunał gałęzie. Mógł rozróżnić głos dziecka i kobiecy śmiech. Rosjanin opadł na kolana. Pod osłoną krzewów posuwał się dalej. Zeschłe liście przyczepiały się do wojskowych spodni. Widok zasłaniała mu szerokolistna, niskopienna roślina. Rozsunał liście na boki. Zobaczył kobietę o blond włosach upiętych nisko i przewiązanych kokardą. Miała na sobie zwiewną, letnią sukienkę. Dziecko w podkoszulce i szortach koloru khaki biegło dookoła, bawiąc się piłką.

Z bliska kobieta wyglądała bardzo młodo. Złapała piłkę i posłała ją w kierunku chłopca, turlając po ziemi. Malec złapał piłkę. Oboje zaczęli się śmiać. Kobieta poprawiła sukienkę i klasnęła w dłonie, wołając coś melodyjnym głosem.

Antonowicz spojrział w prawo - oszklona wieża, niewątpliwie klimatyzowana.

Obserwował wieżę gołym okiem, w obawie, że odbłask szkieł lornetki mógłby zdradzić jego obecność. Znajdowało się w niej prawdopodobnie dwóch ludzi. Jeden stał przy najbliższym oknie, drugi chyba siedział. Antonowicz dostrzegł tylko czubek jego głowy, gdy tamten się poruszył. Wyglądali raczej na obserwatorów niż strażników.

Wieża po lewej stronie była tak oddalona, że stanowiła tylko nikły punkt na horyzoncie. Ale właśnie na lewo, nie opodal miejsca, na którym bawiła się kobieta z dzieckiem, wznosiła się góra. Odslonięty granitowy szczyt. U podnóża widać było masywne, chyba mosiężne drzwi, usytuowane między dwoma kolumnami, które przypominały pochodnie. Głowice paliły się równym płomieniem gazu.

Śmiech dziecka ponownie przyciągnął uwagę Antonowicza ku rozbawionej parze. Wówczas zauważył stojące w centralnym punkcie ogródka monumentalne popiersie z brązu. Bez trudu

rozpoznał tę twarz. Mogła należeć tylko do Adolfa Hitlera.

Zmusił się, by odwrócić wzrok. Znowu lustrował górę. Jej wierzchołek spowijały strzępy białej mgły. Na wysokości stu stóp ponad drzwiami widniały długie podesty. Uzbrojeni mężczyźni przemierzali je w regularnych odstępach czasu. U samej góry musiały być zainstalowane urządzenia przekąźnikowo-radarowe. Antonowicz mógł teraz pogratulować sobie zdolności przewidywania. Rekonesans przeprowadzał przy zachowaniu maksymalnej ostrożności, posługując się sprzętem elektronicznym, co eliminowało niemal zupełnie możliwość bezpośredniego rozpoznania.

Szczyt góry pokrywała sieć stanowisk przeciwlotniczych. Rodzaju dział Rosjanin nie mógł określić. Wyniki badań przeprowadzonych przy użyciu promieni podczerwonych kazały mu podejrzewać, że cała góra najeżona jest raketami "ziemia-powietrze".

Bez względu na to, że przeważające siły nazistów znajdowały się z dala od centrum, wykorzystanie helikopterów do zdobycia twierdzy było niemożliwe. Jedyne atak piechoty przy wsparciu z powietrza dawał szansę przedarcia się do wnętrza.

Antonowicz jeszcze przez chwilę patrzył na ładną, młodą kobietę i dziecko. Przypominali mu o rzeczach, o których nie wolno mu było myśleć, dopóki jego bohaterski pułkownik Karamazow nie opanuje całej Ziemi.

A jednak tak bardzo pragnął wyciągnąć rękę i delikatnie dotknąć roześmianej kobiety.

ROZDZIAŁ XII

Istniało na to jakieś francuskie określenie, które umknęło jej z pamięci. Delikatnie masowała nabrzmiały brzuch, bardziej obserwując frau Mann, niż jej słuchając.

- Heleno? Wszystko w porządku? Wydaje mi się, że...

- W porządku, pani Mann. Urodziłam już wiele dzieci, a to tutaj mówi mi, że nadejdzie niedługo, ale jeszcze nie teraz. - Helena Sturm uśmiechnęła się, kładąc ręce na dzielącym je stoliku.

Było to ulubione miejsce żon oficerów. Położone na najwyższym piętrze, obok kwater oficerów polowych. Z okien roztaczał się widok na cały Complex. Ulice tętniły życiem; ruch pieszych, kilka prywatnych pojazdów, natłok maszyn transportowych. W oddali widać było Centrum Edukacji, usytuowane na obrzeżach zabudowań rządowych.

Helena pomyślała o Manfredzie i jego bezwzględnej lojalności wobec Jugendu.

- Nie słuchasz mnie, Heleno. - Pani Mann uśmiechnęła się lekko.

- Przepraszam, pani Mann. Myślałam o swoim najstarszym synu.

- Obawiasz się, że cię szpieguje?

Filizanka w ręku Heleny zadrżała. Rozejrzała się po przestronnej sali. Sąsiednie stoliki zajmowały kobiety takie jak ona. Większość z nich знаła. Siedząca w pobliżu Maria - narzeczona jej brata, Zygryda, dostrzegła Helenę i pomachała ręką. Helena uśmiechnęła się i skinęła dłonią. Zygryd, podobnie jak jej mąż, walczył teraz w Ameryce Północnej, pod dowództwem Wolfganga Manna. Niepokoiła się o nich. Jeśli podwinie im się noga, spisek przeciw wodzowi wyjdzie na jaw. Aresztowaniom nie będzie końca.

Dotknęła swego brzucha, zmieniając pozycję. Małe krzesło z drewnianym oparciem było twarde i niewygodne.

- Heleno? - głos pani Mann przywołał ją do rzeczywistości.

- Nie, nie wiem na pewno. Myślę, że Manfred ma oczy i uszy szeroko otwarte. Przywiązuje dużą wagę do polityki. Czy szpieguje mnie na czyjeś zlecenie? Chyba jeszcze nie.

- Gdyby się dowiedział... - Pani Mann przerwała w pół słowa. Podeszła kelnerka z tacą kanapek, zapytała, czy życzą sobie czegoś i odeszła. Pani Mann podjęła na nowo: - Jeżeli Manfred się dowie, wszyscy zostaniemy zgładzeni.

- Nie mogę uwierzyć, że byłby zdolny złożyć donos na własną matkę - uparcie twierdziła Helena.

Nie miała ochoty na kanapki ze smażoną kiełbasą i jajkiem. Sam zapach przyprawiał ją o mdłości. Jednak ze względu na swój stan próbowała zmusić się do jedzenia. Wzięła kawałek i skubała go w zamyśleniu.

Pani Mann zgasiła papierosa i ciągnęła dalej:

- Mój mąż nie nawiązał wczoraj kontaktu radiowego, tak mi powiedziano. To znaczy, że albo coś jest nie w porządku, albo czas zbyt bliski, by ryzykować dekonspirację.

- Miejmy nadzieję, że to drugie. Pułkownik Mann wie, co robi.

- Rozmawiałam dziś rano z członkiem sztabu feldmarszałka Richtera. Oficjalne komunikaty wciąż

napływają. Znaleźli duże zgrupowanie wojsk sowieckich w południowo-zachodniej części byłych Stanów Zjednoczonych. Pierwsze starcie wygrali.

- To tylko umocni pozycję wodza. Sowietci staną się pretekstem do zwiększenia liczebności armii na wypadek wojny totalnej.

- W tym komunikacie Wolfgang przesłał też wiadomość dla mnie. "Znalazłem różę". Czyli znalazł sposób, aby ocalić Berna.

Helena Sturm rozejrzała się wokół niespokojnie. Wymawianie imienia Dietera Berna groziło natychmiastowym aresztowaniem pod zarzutem zdrady.

- Mam nadzieję, że ma pani rację, pani Mann.

- A jeżeli mój mąż i jego oddziały nie zdążą na czas, zrobimy to sami. Tak, jak ustaliliśmy.

Zgadzasz się?

- Tak. - Helena Sturm położyła dłoń na brzuchu. - Mimo wszystko.

- Jeśli zabiją Wolfganga, wszystko stracone - wyszeptała pani Mann.

Helena przyglądała się jej. Ta z kolei wpatrywała się w kanapkę - identyczną, jak zamówiona przez Helenę. Położyła serwetkę obok porcelanowego talerza, ozdobionego delikatnym chińskim wzorem.

- Zaraz wracam.

Pani Mann odsunęła krzesło i wstała, wygładzając spódnicę dłonią. Przewiesiwszy torebkę przez ramię, skierowała się do toalety. Helena śledziła ją wzrokiem. Żona Wolfganga Manna szła wyprostowana, wymieniając zdawkowe uśmiechy i powitania z kobietami, obok których przechodziła. Sposób poruszania się, fryzura, ubiór - wszystko było bez zarzutu, bliskie perfekcji. Jej mąż był wyższym oficerem liniowym. Po pierwszej fazie kampanii miał awansować na oficera sztabowego. Ale jeżeli próba uratowania Bema i odsunięcia wodza od władzy nie powiedzie się, następnym szczeblem kariery Wolfganga Manna będzie szubienica.

Helena zdjęła serwetkę z kolan. Teraz już naprawdę nie mogła nic przelknąć.

ROZDZIAŁ XII

Rozpoznanie z powietrza potwierdziło aktywność wojsk na pustyni w zachodnim Teksasie, gdzie na rozkaz standartenfuhrera Wolfganga Manna Helmut Sturm tropił sowieckie oddziały.

- Herr hauptsturmführer!

Sturm zwrócił się w stronę młodego żołnierza:

- O co chodzi, kapralu?

- Wiadomość od untersturmführera Blocha.

Sturm wyciągnął rękę po złożoną kartkę papieru. Odpowiedział na salut hitlerowskim pozdrowieniem, jednocześnie rozkładając kartkę. "Helmut - moi ludzie są na stanowiskach. Czekamy na sygnał. Zygryd."

- Kapralu, możecie odejść.

Żołnierz powtórnie zasalutował, zrobił zwrot w tył i truchtem ruszył przed siebie. Jego kroki dudniły głucho, wzniecając tumany piasku.

Sturm odwrócił się i zwilżył wargi wysuszone od słońca i wiatru. Spojrzał w kierunku zgromadzonych niedaleko helikopterów, szukając swego obersturmführera.

- Fritz! - zawołał. - Dawaj sygnał! Atakujemy!

- Tak jest, herr hauptsturmführer! Obersturmführer zasalutował. Sturm odpowiedział, wyrzucając

prawą rękę w przód gwałtowniej niż poprzednio.

Szedł, nie zwracając uwagi na wznoszący się huk obracających się coraz szybciej wirników. Poprawił rękawiczki i puścił się biegiem w kierunku otwartych drzwi swojej maszyny. Biegając sprawdził, czy jego pistolet znajduje się w kaburze.

Widoczne na ziemi siły powietrzne Sowietów oszacował jako zbliżone do jego własnych. Lądowały z zaskakującą regularnością, zupełnie jak podczas zakrojonej na szeroką skalę inwazji. Sturm mógł zaatakować z zaskoczenia.

Zwolnił kroku, pochylił głowę i wskoczył do wnętrza. Złapał sierżanta za ramię krzycząc:

- Herman, ku zwycięstwu!

Przesunął się do przodu i opadł na fotel obok pilota, przy centralnym pulpicie sterowniczym. Nałożył słuchawki i znaczącym gestem uniósł kciuk do góry. Pilot skinął głową.

Helikopter wzbił się w powietrze.

W oddali migotały sygnały świetlne wysyłane z najwyższej wydmy. Dla dowodzonej przez Zygryda piechoty był to znak do rozpoczęcia natarcia.

Sturm zarządził ciszę w eterze. Nie mógł pozwolić, żeby jakakolwiek wiadomość została przechwycona przez Rosjan, których już traktował jak swoją osobistą zdobycz. Tym samym standartenfuhrer Mann nie dowiedział się o ataku. Łączność przerwano.

Obserwując ziemię przez pancerną szybę w podłodze, Sturm rozmyślał o Wolfgangu Mannie. Standartenfuhrer pochodził z jednej z najlepszych rodzin, z elity, która pięć wieków temu założyła Complex. Od urodzenia miał zapewnione członkostwo w partii, chociaż nigdy nie starał się o awans w jej szeregach. Żona Manna była jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie Sturm widział w życiu. Wywodziła się z równie dobrej rodziny, jak jej mąż. Mówiono, że pobrali się z miłości, nie powielając wzorca małżeństw elity, zawieranych na zasadzie wcześniejszej umowy, co nie sprzyjało trwałości takich związków. Mann, będąc młodszym oficerem, zreorganizował lotnictwo. Napotykał zresztą przy tym na opory ze strony sztabu generalnego. Wkrótce sam zostanie członkiem sztabu i najmłodszym feldmarszałkiem w historii Complexu - pierwszym prawdziwym feldmarszałkiem od pięciu wieków. W pewnych kręgach mówiło się o nim: "młody Rommel". To właśnie niepokoiło Helmuta Sturma. Sprawa Dietera Bema. Za wymówienie tego nazwiska groziła śmierć. A Mann popierał Bema, sprzeciwiając się idei reazyfikacji Complexu, propagowanej przez wodza. Na razie chroniła go pozycja, którą zajmował. Rodzina, wpływy, błyskawiczna kariera - tego nie można było tak po prostu przeciąć. Znakomity strateg i taktik, sam opanował sztukę pilotażu tak dobrze, jak żaden z wyszkolonych pilotów. No i kochali go ludzie.

Dla Helmuta Sturma Mann był zarazem ideałem i zagrożeniem.

Z zadumy wyrwał go głos pilota:

- Znajdujemy się nad celem. - Wiem.

Nadszedł czas, by nawiązać zerwaną łączność. Nacisnął przełącznik na tablicy kontrolnej.

- Orły uderzają!

Z ziemi uniósł się dym. Oddano pierwszy strzał z moździerzy.

Władimir Karamazow wyprężył się jak struna. W uszach dudniło mu echo eksplozji. Poderwał się z łóżka, jednocześnie wsuwając nogi w wojskowe buty. Kolejny wybuch, tym razem bliższy. Karamazow był już na nogach. Z czarną, lotniczą kurtką w jednej ręce i kaburą w drugiej, wypadł przez drzwi. W jego kierunku biegł oficer. Słońce oślepiało. Karamazow zmrużył oczy. Przez myśl przemknął mu Rourke i jego ciemne okulary.

- Jesteśmy pod ostrzałem, towarzyszu pułkowniku!

- Śmigłowce w górę!

Pułkownik przebiegł obok mężczyzny. Nie było czasu na rozmowy. Rzucił się w prawo i przypadł do ziemi. Pocisk z moździerza uderzył w pobliżu, wzbijając fontannę piachu. Poderwał się. Biegł z kurtką w rękę, usiłując otrzepać ją z piasku.

Helikopter Karamazowa był gotowy do startu. Spojrzał w prawo - płomienie i ogień karabinów maszynowych. Przez wydmy na skraju obozu sunęły pojazdy, wyglądające jak miniaturowe czołgi. Karamazowowi przypominały volkswageny sprzed pięciu wieków. Wysokie zawieszenie, ciężkie uzbrojenie, niebieżnikowane opony. Pierwsza fala pojazdów przekroczyła wydmy, zmierzając wprost na niego.

Karamazow biegł. W pamięć wrył mu się obraz swastyki, znaczącej każdą z nadciągających tankietek.

Drogę do helikoptera odcięły Karamazowowi pojazdy nadjeżdżające z przeciwległego krańca obozu.

Słyszał karabiny maszynowe, niestety, nie sowieckie.

Spoglądając w niebo, uskoczył za stertę rozsypanych skrzynek. Odpryski posypały się pod ogniem z flanki. Część znajdujących się w górze helikopterów należała do Rosjan. Jednak większość - do wroga.

- Do diabła z wami! - zaklął po angielsku.

Podniósł się i biegł dalej. Musiał dotrzeć do swojej maszyny, inaczej... Bez niego nie zdobędą się na skuteczny kontratak. Wyszarpnął broń i odbezpieczył. Biegł.

Obejrzał się do tyłu. W centralnej części obozu jego ludzie stawiali opór tankietkom. Nie mieli jednak broni przeciwpancernej.

Teraz nazistowska piechota zagradzała mu drogę do helikoptera. Karamazow rzucił się na ziemię, obok trupa jednego ze swoich ludzi. Włożył rewolwer do kieszeni, podniósł karabinek automatyczny. Strzelano do niego. Karamazow otworzył ogień. Usłyszał, a po chwili zobaczył strzelaninę w otwartych drzwiach jego helikoptera. Upadło dwu nazistów. Trzeciego położył Karamazow. Miał wrażenie, że piasek wokół jego głowy wybucha. Przeturlał się w lewo, ciągle strzelając.

Jazgot karabinów maszynowych. Karamazow spojrział w górę. Jeden z jego śmigłowców. W bezpośrednim sąsiedztwie nie było już żywych nazistów.

Odrzucając karabinek, Karamazow wpadł w chmurę piasku, wznieconą ruchem łopatek wirnika. Wskoczył do kabiny helikoptera, krzycząc do pilota:

- W górę, szybko!

Przeczołgał się do przodu. Śmigłowiec drgał i szarpał. Karamazow zerknął na tarczę zegarka. Podnosząc się i starając zachować równowagę, zaśmiał się. Jeżeli samoloty Krakowskiego przybędą na czas... Jakby w odpowiedzi, usłyszał grzmot ponaddzwiękowych silników.

Wcisnął się w fotel obok pilota.

- Zawracaj, chcę to zobaczyć.

- Tak jest, towarzyszu pułkowniku.

Helikopter wykonał gwałtowny zwrot Karamazow przez chwilę obserwował linię horyzontu przez szybę w podłodze. Maszyna powróciła do lotu poziomego. Niebo było poznaczone ciemnymi smugami. W dole tankietki rozpadały się w kawałki. Czarno-pomarańczowe błyski pocisków "powietrze-ziemia" rozświetlały smugi na niebie, pozostawione przez nadlatujące odrzutowce.

Ostrzał z broni pokładowej odrzucił nazistów poza granice obozu.

Sowieckie helikoptery walczyły ze śmigłowcami nazistów. Karamazow z uśmiechem patrzył, jak część myśliwców bombardujących przyłącza się do zabawy. Widział już kiedyś nalot bombowy, rozrywające się w powietrzu pociski. Teraz było podobnie, z tym, że zamiast pocisków, wybuchały nazistowskie helikoptery. Dematerializowały się błyskawicznie.

Szybę, przez którą patrzył Helmut Sturm, pokrywały plamy oleju. Chlusnęło, gdy w przelatujący obok helikopter trafił sowiecki pocisk. Następne trafienie i z maszyny nie pozostały nawet szczątki. Po prostu wyparowała.

Sturm podłożył ręce pod uda. Nie chciał, żeby ktokolwiek zobaczył, że się trzęsie. Wojna przestała być przygodą, tematem książek i wieczornych opowieści. Stała się rzeczywistością.

Świadomość S turnia podpowiadała mu, że obecność Wolfganga Manna mogłaby odwrócić sytuację. Przemienić klęskę w zwycięstwo. Jego własne siły były zdziesiątkowane.

Widział cień nieprzyjacielskich myśliwców, kładący się na pozycje zajmowane przez Zygryda. I morze ognia.

Jak powie Helenie, że jej brat poległ, a on nie mógł nawet zabrać jego ciała z pola bitwy?

Zamknął oczy. Mężczyźni podobno nie płaczą.

ROZDZIAŁ XIV

Annie wycisnęła mocniej ręcznik. Woda kapłała do miski. Złożyła go i położyła na czole Paula Rubensteina, odgarniając rzednące już włosy. Pochylając się nad nim, szepnęła:

- Byłeś taki dzielny. Kocham cię.

Gdy otworzył oczy, pocałowała go lekko w usta.

- Co? Ach, cholera, ja... Przepraszam, ja...

- No, po tym, jak mama, tato i Natalia uciekli z Kurinamim i Elaine...

- Już sobie przypominam. - Paul uśmiechnął się z wysiłkiem. - Dodd, on...

- Dodd stał po drugiej stronie. To był Forrest Blackburn. Ten facet, który mówił po niemiecku i miał jechać z tatą do Argentyny. Uderzył cię kluczem i próbował zabrać karabin.

- No tak, a teraz boli mnie głowa.

- Postrzeliłam go w lewe udo. Niegroźnie.

- Co się tu dzieje? Jesteśmy pod ostrzałem, czy co? Annie położyła ręce na kolanach, pilnie przypatrując się wzorowi na sukience.

- Niezupełnie. Po tym, jak postrzeliłam Blackburna, Dodd, Lerner, Styles i Jane Harwood, która dowodzi "Edenem 3", wyciągnęli pistolety, odebrali wszystkim broń i zmusili tłum do rozejścia się. Dodd trzymał cię na muszce, więc musiałam oddać broń. - Westchnęła. - Teraz tylko oni posiadają broń. Nic nie mogłam zrobić.

Patrzyła na Paula. Powieki mu drgały, szczęki miał zaciśnięte - prawdopodobnie z bólu.

- Co będzie, jeśli Rosjanie zechcą nam złożyć wizytę?

- O to samo zapytałam Dodda. Powiedział, że wtedy odda wszystkim broń.

- Świetny pomysł. Och!...

- Doktor Munchen obejrzał cię. Powiedział, że wszystko w porządku. I że mamie i tacie udało się odlecieć do Argentyny z Natalią oraz pułkownikiem. Na razie są bezpieczni.

Paul wyciągnął do niej rękę. Annie ujęła jego dłoń i czekała, aż zacznie mówić.

- Annie, jak się czują...

- Michael śpi. Madison też. - Wskazała tylną część namiotu. Brzydki nawyk przewidywania pytań i udzielania na nie zawczasu odpowiedzi odziedziczyła po ojcu.

- Musimy coś zrobić w sprawie tego morderstwa, mając na karku zabójcę i Dodda, który wszystkich rozbija. O Boże, gdyby...

- Wiem, Paul. - Musnęła wargami jego dłoń. - Co mam zrobić?

- Musisz przekonać Dodda, żeby pozwolił ci pomóc. Mordercą jest ktoś z "Edena 1" lub 2. "Eden 3" był na ziemi zbyt krótko, by ktokolwiek z pasażerów się obudził - chyba, że ktoś z obsługi promu... Na pokładzie "Edena 1" znajduje się główny komputer z danymi personalnymi. Zebrano je na wypadek, gdyby obudzenie wszystkich okazało się z jakichś powodów niemożliwe lub niepraktyczne. Wybrano by wówczas ludzi do wykonania określonych zadań. Musi istnieć jakiś związek między Moną Stankiewicz a kimś z promów. Mógłby to być jej chłopak...

- Haselton?

- Tak, ale on przyleciał chyba "Edenem 3". Więc jeszcze spał. Jeżeli Dodd udostępni ci komputer, szukaj powiązań, choć z pewnością będą one bardzo subtelne.

- Pracowałam na Apple II taty, sama nauczyłam się basicu. Na pewno poradzę sobie z komputerem pokładowym.

- Zuch dziewczyna. - Paul uśmiechnął się.

Annie znów przycisnęła usta do jego ręki. Plan Paula pokrywał się z jej własnym. Ale cieszyła się, że wyraził swoje zdanie.

- Spróbuj znaleźć Dodda. I bądź ostrożna. Nawet jeśli sowiecki agent nie ma już broni...

- Wiem - przerwała Annie. - Nie zapominaj, że tatuś uczył mnie samoobrony.

- Kiedy wróci Natalia, powinnaś nauczyć się od niej jeszcze paru rzeczy. Jest świetna, a jej technika walki doskonale nadaje się dla kobiet

- Dobrze, Paul. Dasz sobie radę?

- Gdybym czegoś potrzebował, obudzę Madison.

- Doktor Munchen kazał ci pozostać w łóżku przez dwadzieścia cztery godziny. Mogłeś doznać lekkiego wstrząsu mózgu.

Paul zaczął się śmiać. Towarzyszył temu grymas bólu.

- Mam tylko dużego guza. Kiedy wstanę, poszukam tego typa, Blackburna. Nie chciałbym, żeby nasi dentyści byli bezrobotni.

Annie pocałowała go lekko w usta. Prawdę mówiąc, bała się poruszać sama po obozie. Obawiała się również zostawić Paula bez opieki. Ale coś jej mówiło, że jeżeli ona nie znajdzie mordercy, to on go poszuka.

Odrzuciła włosy do tyłu i wstała. Uśmiechnęła się do Paula.

- Postaraj się nie popaść w kłopoty - wyszeptała.

- Uważaj na siebie - usłyszała wychodząc.

ROZDZIAŁ XV

Dodd bardzo niechętnie wyraził zgodę na udostępnienie Annie komputera. To, że ją w ogóle wyraził, Annie zawdzięczała Jane Harwood.

Pierwszych dziesięć minut w kokpicie spędziła, przyglądając się poszczególnym instrumentom. Mgliście pamiętała starty promów kosmicznych oglądane w telewizji. Później widziała je wielokrotnie na kasetach wideo, które Rourke zabrał do Schronu. A niedawno była świadkiem lądowania floty "Edenu".

Zasiadła przy sterach promu. Nie umiała określić uczucia, jakie ją wtedy ogarnęło. Było to coś więcej niż fascynacja.

Po dość długim czasie zajęła się komputerem. Z pasją zaatakowała urządzenie.

Obsługa komputera nie należała do najtrudniejszych zadań. Annie usadowiła się wygodnie w fotelu Craiga Lenera. Jedyne, co musiała zrobić, to przywołać informacje. Komputer-matka był zaprogramowany także w języku angielskim.

Wrzuciła dyskietkę i wystukała na klawiaturze polecenie: "Przywołaj dane personalne z "Edenu I". Przycisnęła klawisz "Return". Na monitorze pojawił się napis "SYNTAX ERROR". Zorientowała się, że zrobiła niepotrzebny odstęp między literami w wyrazie "dane". Kursorem zlikwidowała zbędną spację. "JAKI SYSTEM" - na monitorze ukazało się pytanie.

Annie zastanowiła się. Powinna wybrać listę alfabetyczną, uwzględniając jednak wykonywany zawód. Zdecydowała się na alfabetyczną. Ale jej palce wystukały napis: "Systemy katalogowania".

Na końcu pojawił się spis: alfabetycznie, według wykonywanego zawodu, płci, grupy krwi, itd. Zaczekała do końca i wybrała listowanie alfabetyczne.

Pierwszy był Abromowicz, Arthur A.

Annie przymknęła oczy. To niewątpliwie potrwa...

Słońce zachodziło, gdy szła przez obóz. Wiatr rozwiewał jej włosy i targał spódnicę. To idiotyczne, że nie pomyślała o tym wcześniej. Oczywiście - rozwiązanie zagadki kryło się w osobie samej Mony Stankiewicz.

Annie znała już tajemnicę Mony. Nadal nie wiedziała, kto ją zabił, ale wiedziała, dlaczego.

Zatrzymała się przed namiotem, oglądając się za siebie. Nikt nie kręcił się w pobliżu. Nie była też obserwowana.

Weszła do środka i usiadła na niskim krześle, obok Paula Rubensteina. Paul poczuł jej wzrok na sobie, otworzył oczy. Annie wiedziała, że potrafi go obudzić samym tylko spojrzeniem i trochę ją to przerażało.

- Annie?

- Nie śpisz, Paul?

- Nie. Która...

- Zachodzi słońce. Posłuchaj, znalazłam coś w aktach Mony Stankiewicz. Nie mam pojęcia, kim jest morderca, ale znam motyw.

Paul chciał usiąść, lecz Annie łagodnie pchnęła go z powrotem.

- Odpoczywaj. Nie musisz wstawać, żeby wysłuchać tego, co mam do powiedzenia.

- Jeszcze się z tobą nie ożeniłem - Paul uśmiechnął się - a już próbujesz mnie wziąć pod pantofel.

- Gdybyś to ty mówił mi, co mam robić, na pewno bym to robiła, a przynajmniej udawała, że robię. - Pochyliła się na krześle. Spódnica omiatała podłogę. - A więc jestem Amerykanką w pierwszym pokoleniu; moi rodzice urodzili się w Polsce. Mówi ci to coś?

- Przed Nocą Wojny...

- Wiele lat przed nią Rosjanie napadli na Polskę. Czyż nie tak?

- Uhm - przytaknął Paul. - Pretekstem stała się działalność polskich związków zawodowych, ale faktem jest, że Polska wmykała im się spod kontroli.

- Załóżmy, że Mona miała w Polsce rodzinę. KGB mogło postawić jej ultimatum: albo dostarczy żądanych informacji, albo rodzinę spotka coś złego. Rozmawiałam z Jane Harwood i dowiedziałam się ciekawych rzeczy. Główne i pomocnicze załogi lotów spotykały się na specjalnych odprawach i sesjach treningowych. Mieli dostęp do tajnych materiałów. Cały personel był amerykański, z wyjątkiem nawigatora "Edena 6". Ten był Anglikiem. Jane twierdzi, że nie mieli pojęcia, do czego ich przeznaczono. Nie spodziewali się, że staną się kontyngentem na wypadek zagłady. Ale ćwiczenia specjalistyczne obejmowały posługiwanie się licznikami promieniowania, lądowanie różnymi samolotami na rozmaitych rodzajach nawierzchni i we wszystkich możliwych warunkach. Tak więc, Mona miała dostęp do szeregu tajnych informacji. Ale najlepsze zostawiłam na koniec...

- Ach, te kobiety... - zaśmiał się Paul.

- Dobrze, mądralo. Wracając do sprawy, tylko główne i pomocnicze załogi mogły uzyskać dane dotyczące procesu kriogenicznego. A sądząc po tym, co mówił tata, Karamazow posiadał informacje, których mieć nie powinien.

- Więc wśród załogi lotów znajdował się agent KGB, który wymuszał na Monie dostarczanie wiadomości, tak? - zapytał Paul.
- Właśnie tak powiedziałam. - Annie usłyszała, że Madison się poruszyła. Odwróciła się z uśmiechem do dziewczyny, która właśnie usiadła. - Cześć. Spałaś bardzo długo, Madison.
- Nie wiedziałam, że jestem taka zmęczona.
- Przysuń sobie krzesło. Rozwiązujemy zagadkę śmierci Mony Stankiewicz.
- Tej biednej Mony Stankiewicz?
- Tej właśnie. - Annie nadal się uśmiechała. Madison wstała, przeciągając się jak kot. Annie widziała koty na kasetach wideo i w należącej do ojca "Encyklopedii Brytyjskiej". Madison poprawiła ubranie, przechodząc na ich stronę namiotu. Opadła na krzesło stojące w nogach łóżka Paula. Wyglądała niezbyt przytomnie. Jej spódnica była straszliwie wygnieciona.
- Annie dowiedziała się - rozpoczął Paul - że Mona miała krewnych w Polsce...
- Co to jest Polska?
- To było państwo okupowane przez Rosjan przed Nocą Wojny.
- Tak, Rosjanie to źli ludzie. Oprócz Natalii, która jest bardzo dobra.
- Nie wszyscy Rosjanie byli źli. Tylko niektórzy, szczególnie ci z KGB - powiedział Paul.
- Ale to Ka-Gie-Be... czy Natalia nie była w Ka-Gie-Be?
- Ona jest wyjątkiem - stwierdził Paul. Annie przerwała im:
- Tak czy inaczej, możemy być pewni, że wobec Mony Stankiewicz zastosowano szantaż.
- Szan... szam... szamiec? To znaczy mężczyzna? Ale tu jest wielu mężczyzn.
- Ależ, Madison, nie "szamiec", tylko "samiec". A poza tym, wcale nie "samiec" tylko "szantaż"
- Annie próbowała wyjaśnić to Madison. - Zagrożono krewnym Mony, żeby zmusić ją do współpracy. Ale kiedy Mona się obudziła - Annie spojrzała na Paula i uśmiechnęła się - Noc Wojny należała już do przeszłości i panna Stankiewicz zrozumiała, że KGB straciło wszystkie atuty w tej grze. Mogła wszystko wyjawić. I z tego doskonale zdawał sobie sprawę ten, kto ją zabił.
- A czy zabił ją ten sza... samiec?
- Nie. Zrobił to ktoś pracujący dla KGB. Równie dobrze może to być kobieta.
- Aha, samica?
- Aaaa... - jęknęła Annie. Powinna poświęcić Madison więcej czasu. Michael nauczył ją tylko prowadzić samochód, strzelać i kochać się, najpilniej pracując nad tym ostatnim.
- Ktokolwiek ją zabił - podjął Paul - znajdziemy go przy pomocy komputera. Doktor Munchen był tu dzisiaj i powiedział, że mogę jutro wstać. Nie wolno mi jedynie się przemęczać.
- Nie chcę czekać. Pójdę tam teraz i sprawdzę tych, których opinie są nadto nieskazitelne.
- Najpierw opowiedz o przypuszczeniach Jane Harwood. Sądzę, że możemy jej ufać. Niech skontaktuje się z grupą ludzi, których jest pewna. Może się okazać, że zabójcą jest ktoś, za kogo Dodd ręczyłby głową.
- Zrobię tak - zgodziła się Annie.

ROZDZIAŁ XVI

Rourke pił z manierki. Woda miała nieco inny smak niż w północno-wschodniej Georgii. Słodkawa, ale dobra. Do zachodu słońca pozostało jeszcze kilka godzin. Wolfgang Mann skończył rozmawiać z hauptsturmführerem stojącym w pobliżu helikopterów. Idąc w kierunku Johna, zapalił papierosa. Wypuszczając kłęby dymu, zwrócił się do niego:

- Powinien pan być zabrać ze sobą kowbojski kapelusz, doktorze.

Rourke patrzył w przestrzeń ponad ramieniem Niemca. Dwaj ludzie zajęci byli siodłaniem koni. "Nie wierzyłem, że znowu je zobaczę - pomyślał. - Wprawdzie "Eden" posiada zamrożone embryony zwierząt, ale..."

- Z przysłowiową niemiecką pedanterią zachowaliśmy niektóre zwierzęta domowe. Nie mogliśmy wiedzieć, że zostanie wynaleziona syntetyczna paliwo. Dlatego część Complexu wydzielono dla zwierząt, konkretnie dla par zarodowych. Kiedy już można było powrócić na powierzchnię, postaraliśmy się zwiększyć ich liczbę. Niestety, nie mamy żadnych psów i kotów. Słyszałem, że to bardzo miłe zwierzęta. Trzymano je w domach.

- To prawda - przytaknął John. Pomyślał o psie, najlepszym przyjacielu swego dzieciństwa. Dawno nie wracał do niego pamięcią.

- Zatrzymaliśmy także bydło, ponieważ stanowiło bogate źródło protein. Również kurczęta. Oprócz tego tylko konie i pewne gatunki ryb.

- Jak udało ci się sprowadzić tu konie, nie zwracając niczyjej uwagi?

- Konie zawsze były cenne dla wojska. Przydzielono je więc armii. Dowódca jednostki odpowiedzialnej za ich rozród i szkolenie jest jednym z nas.

Rourke złapał się na tym, że mimowolnie obserwuje Natalię. Podeszła do okazałego gniadosza z białymi skarpetkami i takąż łatką na czole. Energicznie uderzał kopytem o ziemię.

- Zawrzyjmy umowę - powiedział John do Manna. - Jeżeli powiesz się nam i jeżeli znajdzie sposób, żeby przetransportować je stąd do Georgii...

- Konie? Oczywiście. Należą do najlepszych. To krzyżówka araba z amerykańskim koniem wojskowym. Tę odmianę cechują: wigor, szybkość i inteligencja. Dlatego je hodowano.

John upatrzył już konia, którego chciałby zatrzymać dla siebie. Podobny do Sama, tak dobrze służącego Sarah i dzieciom na początku ich ucieczki, jeszcze przed Nocą Wojny. Ten był ciemniejszy, bardziej podobny do araba - czarne skarpetki, falująca, czarna grzywa i ogon.

- Czy któreś z tych zwierząt jest prywatną własnością?

- Już sobie wybrałeś?

- Ten siwek, czy on...

- Należy do ciebie. Dokonałeś właściwego wyboru. Co do pozostałych wierzchowców, dostarczymy te, które sobie wybierzesz dla całej rodziny.

John miał w Schronie siodło. Otrzymał je w podarunku od Meksykanina, z którym działał, rozpracowując siatkę terrorystów. Było to jeszcze przed Nocą Wojny. Siodło miało niezwykle

wysoki przedni łęk, typowo meksykański. Zrobione było z czarnej skóry, ozdobionej zawitym wzorem. Na siwym koniu prezentowałyby się doskonale.

- Przyjmuję i dziękuję - powiedział, podchodząc do konia.

Nie nazwie go Sam. Imię powinno wiązać się z indywidualnością tego, kto je nosi. Przyszło mu do głowy, że... Tak, nazwie go Wolf, na cześć człowieka, który podarował mu tego wierzchowca. Ale nie chciał głośno wymówić imienia. Jeszcze nie.

Wylądowali w znacznej odległości od Complexu. Strzegący ośrodka elektroniczny system radarowy był bardzo czuły. Nie mogli ryzykować.

Natalia świetnie trzymała się w siodle, podobnie jak jadąca obok niej Elaine Halwerson. Przed nimi znajdował się Kurinami, nieco dziwnie wyglądający w baseballowej czapce z daszkiem i białym kombinezonie.

Rourke i Mann zamykali pochód. Tuż przed nimi jechała Sarah, rozmawiając z jednym z ludzi Manna. Niemiec był najwyraźniej zadowolony z tego, że znał angielski. Sarah dotykała czule grzywy klaczy, bliźniaczo podobnej do Tildie, którą straciła podczas pęknięcia tamy. Wtedy też utracili Sama. John przypomniał sobie opowieści Sarah i Annie o postawie Michaela. Okazał się wówczas taki dzielny!

Głos Manna wyrwał go z wspomnień:

- Od wczesnej młodości interesowałem się historią Complexu, jego początkami, konstrukcją. Jak większość oficerów, mam dyplom inżyniera. Wokół Complexu biegnie tunel. Przebywanie w nim było zabronione ze względu na możliwość wystąpienia zawału. Ale jak zwykle młodzi, przedkładałem przygodę nad bezpieczeństwo. Tak więc, w tajemnicy przed wszystkimi, wędrowałem korytarzami, aż stałem się niemal ekspertem w sprawach tunelu. Znalazłem wyjście z Complexu. Planując uwolnienie Berna, brałem pod uwagę możliwość ewakuacji tą drogą. Nie sądziłem, że wódz tak szybko rozpocznie kampanię. Chyba w pewnej mierze przyczyniła się do tego moja osoba. Walcząc daleko stąd, nie mogłbym w żaden sposób przeszkodzić w egzekucji Berna.

- Miły facet, ten wasz wódz - zauważył John.

- Jest sprytny. Gdyby zorientował się, że zamierzam przedostać się do Complexu przez tunel, na pewno by go nie zamknął. Zainstalowałby natomiast system niewinnie wyglądających pułapek. Wy, Amerykanie, nazywacie je "booby-traps", prawda?

- Zgadza się - przytaknął Rourke. Siedział w niewygodnym, angielskim siodle. Nie lubił tego typu uprzęży. - Te tunele, gdzie one się kończą? W którym miejscu Complexu wyjdziemy?

- To wymaga kilku wyjaśnień. Zrobię dzisiaj szkic. Ułatwi ci zrozumienie.

Rourke patrzył przed siebie. Słońce powoli znikało za linią horyzontu.

ROZDZIAŁ XVII

Młody sierżant zagotował wodę i zajął się przygotowywaniem posiłku. Był to ten sam człowiek, z którym Sarah rozmawiała w drodze. Rourke dowiedział się, że Conrad Heinz - tak brzmiało jego nazwisko - pragnął dołączyć do korpusu oficerskiego. Nic dziwnego, że tak ochoczo rozmawiał z Sarah po angielsku. Wszak znajomość tego języka stanowiła jeden z warunków uzyskania awansu.

Johnowi pochlebiała estyma, jaką niemieckie dowództwo darzyło jego rodzimy język.

Heinz wraz z dwoma podoficerami objął pierwszą wartę. Pozostali skupili się wokół służącej do przygotowywania posiłków kuchenki Colemana, w ulepszonej, niemieckiej wersji. Dawała nikłe ciepło i odrobinę światła.

Hauptsturmführer o nazwisku Hartman odezwał się wysokim jak na mężczyznę głosem. Jego angielski był poprawny, choć zabarwiony silnym akcentem niemieckim.

- Chciałbym o coś zapytać, herr doktor. Ale może powinienem czekać na swoją kolej.

- Możesz mówić. To chyba oczywiste - wtrącił Mann.

- Dziękuję, herr standartenführer. - Hartman zwrócił się do Johna: - Herr doktor, jak ocenia pan naszą szansę jako osoba z zewnątrz?

Rourke zaciągnął się cygarem. Zaczął mówić, wydmuchując cienkie strużki dymu:

- To, czy nam się uda, zależy od zbyt wielu niewiadomych. Dotarcie do Bema jest możliwe. Trudno mi w tej chwili określić charakter operacji, jaką będę musiał wykonać. Nie jestem pewny, co należy zrobić z urządzeniem, które usuniemy z ciała Bema. Wydaje mi się, że o wszystkim może zdecydować to, na ile dokładnie pułkownik ocenił publiczne poparcie dla sprawy Dietera Bema. Jeżeli jego uwolnienie wywoła rewolucję w Complexie, a siły posłuszne wodzowi uda się powstrzymać, wówczas mamy wszelkie szanse. Ale wszystko opiera się na tych "jeżeli". Musimy o tym pamiętać.

- Ale pan i major Tiemierowna nieraz już braliście udział w tego typu akcjach?

Włączyła się Natalia:

- Być może dlatego John nie precyzuje swojej opinii. Sarah przypomniała mi coś, co odpowiada naszej obecnej sytuacji.

Hartman spojrział na Sarah, siedzącą po prawej stronie Johna.

- Co to było, pani Rourke?

- Myślę, że Natalii chodzi o operację, w której brałam udział podczas powstania. Aresztowano wtedy wielu mężczyzn z ruchu oporu. Część kobiet znajdowała się wówczas na przybrzeżnych wyspach. Tego dnia szalała burza. Zorganizowałyśmy grupę, która opanowała więzienie. Udało nam się wówczas ocalić tych mężczyzn na chwilę przed egzekucją. Nie ponieśliśmy strat. Chodzi o to, że czasem nie wystarczą racjonalne działania. Potrzeba odrobiny szaleństwa, żeby zrobić to, co w danej chwili konieczne. I to pomaga utrzymać nerwy na wodzy.

John objął żonę ramieniem. Wolfgang Mann zaczął się śmiać. Akiro Kurinami powiedział:

- W Japonii krążyły legendy o samurajach. Porywali się z motyką na słońce i zwyciężali.

- Musimy wziąć pod uwagę obie strony medalu - odezwała się Elaine Halwerson. - To jest przede wszystkim walka o wolność. Nic nowego dla ludzi mojego koloni. Wolność ciężko jest zdobyć. Mam nadzieję, panie pułkowniku, panie Hartman, że wy swoją wywalczycie. A wtedy i my zdobędziemy naszą. Wspaniale byłoby żyć w świecie, gdzie wszyscy ludzie mogą cieszyć się wolnością, gdzie nie ma ani tyranów, ani niewolników. Stary świat umarł pięć wieków temu. Nie możemy pozwolić, żeby historia się powtórzyła.

- Amen - zakończył Sarah.

Rourke pomyślał o wyższości ogniska nad kuchenką. Nie było płomienia, do którego mógłby wrzucić niedopałek cygara.

Ludzie Manna ustawili osobny namiot dla Johna i Sarah. Rourke'a ogarnęło dziwne uczucie. Miał wrażenie, jakby w ten sposób zdradzał Natalię.

Od ostatniej wojny nie spędził nocy ze swoją żoną. Teraz leżeli obok siebie na dmuchanych materacach. John wpatrywał się w sufit. Słyszał oddech Sarah.

- John...

- Tak?

- Cokolwiek się zdarzy, cieszę się, że jestem z tobą.

- Ja też się cieszę - odpowiedział.

- Chyba wreszcie zrozumiałam, dlaczego tak postąpiłeś z dziećmi. Ciągłe nie umiem się z tym pogodzić, ale to stwarzało im szansę przeżycia. Gdyby "Eden" nie powrócił...

- Zrobiłem to, co uważałem za słuszne i konieczne.

- John, dlaczego... Dlaczego ty i Natalia nigdy...

- Nigdy się nie kochaliśmy? - Uhm.

- Jesteś moją żoną, Sarah. Nie wiedziałem, czy cię kiedykolwiek odnajdę, ale dopóki istniała najmniejsza szansa, że żyjesz, to nie byłoby w porządku. A teraz... Też nie czułbym się z tym dobrze. Trzeba być w porządku wobec siebie.

- Czy nadal... Czy nadal pragniesz mnie choć trochę? John patrzył w górę.

- Mój problem polega na tym, że od samego początku kocham was obie. Sama to powiedziałaś. Pragnę cię... Ale skłamałbym mówiąc, że nie pragnę Natalii. Natomiast nie podoba mi się pomysł...

- ...posiadania dwóch żon - dopowiedziała Sarah. - Właśnie.

Sarah wybuchnęła śmiechem.

- Zdajesz sobie sprawę, że nie kochaliśmy się od pięciu wieków?

John przysunął się do niej bliżej i objął ramieniem.

- To szaleństwo. Urodziliśmy się w dwudziestym wieku, a teraz jest dwudziesty piąty. Nie trzeba o tym myśleć.

W ciemności nie mógł dostrzec jej twarzy.

- Udawajmy, John - wyszeptała. Czuł oddech Sarah, jej palce wplątane we włosy na jego piersi.

- Udawajmy, że nic się nigdy nie wydarzyło.

Przyciągnął żonę do siebie, pochylając się nad jej ciałem. Nawet jako chłopiec nie potrafił udawać. Rzadko umiał utożsamić się z bohaterami dziecięcych książek.

Ale teraz - teraz było rzeczywiście tak, jakby nigdy nie nastąpiła Noc Wojny. Przycisnął usta do ust Sarah. Jego ręka wśliznęła się pod koc, napotykając ciało żony. Okrywała je cienka koszulka. Uniósł tkaninę. Najpierw dłoń, a potem usta odnalazły piersi. Wykarmiła nimi dwoje dzieci. On sam także kosztował jej mleka. Pieścił Sarah, na nowo poznając jej ciało. Ręka kobiety błędziła wokół zamka

jego spodni. John czuł narastające pożądanie. Nakrył ją swoim ciałem, wsuwając się między jej rozchylone uda. Nie było już miejsca na pozory.

ROZDZIAŁ XVIII

Przybycie myśliwców z Podziemnego Miasta uchroniło ich od zguby. Na szczęście wyruszyły, by połączyć się z Karamazowem, natychmiast po otrzymaniu wiadomości o wstrzymaniu działań przeciw dzikim plemionom Europy.

Dzięki eskadrom odrzutowców udało się przemienić klęskę w zwycięstwo, niestety, kosztowne. Osiem helikopterów zostało kompletnie zniszczonych, trzy inne wymagały poważnych napraw. Ekipy techniczne pracowały bez wytchnienia. Karamazow spojrzał na zegarek. Druga rano.

W walce straciły życie lub odniosły ciężkie obrażenia sześćdziesiąt trzy osoby.

Mechanicy naprawiali właśnie jeden z odrzutowców, który został lekko uszkodzony.

Zdołano nie tylko odeprzeć nazistów, ale i zadać im znaczne straty. Według szacunków Karamazowa zniszczono dziewięć helikopterów i dwanaście tankietek. Straty w ludziach pułkownik oceniał na około dwadzieścia procent

Doniesienia o stratach nazistów nie poprawiały mu humoru. Mimo wszystko czuł się rozgoryczony. I właśnie wtedy otrzymał zaszyfrowany raport Antonowicza o odnalezieniu głównej kwatery nazistów w równikowych lasach Argentyny.

Władymir Karamazow przemierzał obóz wzdłuż i wszerz. Miał już sprecyzowane plany. Niedługo przybędzie Krakowski. Ale nie będzie czekał na jego helikoptery i piechotę.

Odwołał odrzutowce ścigające Niemców. Rozkazał Antonowiczowi przygotować lądowiska do przerzutu żołnierzy i tankowania paliwa.

Karamazow zatrzymał się obok skleconego naprędce hangaru, gdzie naprawiano helikoptery. Ludzie pracowali wydajnie. Był z nich dumny.

Gdy zdobędzie kwaterę główną nazistów w Argentynie, powróci do Georgii. I do "Projektu Eden". Nie zostanie po nim nawet ślad.

Raz jeszcze pułkownik popatrzył na zegarek. Ekipy techniczne nie skończą przed świtem. Zaraz potem odbędzie się szybki pogrzeb poległych. A potem...

Zwycięstwem należy się rozkoszować. Władymir Karamazow chciał raz jeszcze poczuć jego smak.

ROZDZIAŁ XIX

- Nie ma go?!

- Nie, Helmut

- Więc gdzie jest? - Helmut Sturm patrzył twardo na sturmbanfuhrera Axela Kleista, nie zważając na to, że rozmawia ze starszym rangą oficerem.

Był brudny, zniechęcony i zmęczony, a musiał jeszcze wystosować listy kondolencyjne do rodzin poległych.

- Standartenfuhrer Mann - Kleist starał się ukryć zmieszanie - był zmuszony powrócić do Nowej Ojczyzny.

Sturm zapalił papierosa, wpatrując się w swoje zabłocone buty. Po drodze musieli zatrzymać się w jakiejś dziurze w Luizjanie, żeby opatrzyć rannych.

- Dlaczego, henr sturmbannfuhrer?

- Te sprawy nie dotyczą młodszych oficerów. Nie muszę panu o tym przypominać, herr hauptsturmfuhrer.

Helmut Sturm oderwał wzrok od butów i rozejrzał się po obozie. Zniknęło dwanaście maszyn i cała kompania ludzi. Dalsze dwadzieścia cztery helikoptery szykowały się do odlotu.

- I potrzebny był mu cały legion?

- Helmut, standartenfuhrer wie, co robi.

- Sowieci nie zaatakują teraz Complexu. Nie są jeszcze przygotowani. A ci Amerykanie? Na swoich przedpotopowych promach kosmicznych? To śmieszne! Jest tylko jeden powód, dla którego Standartenfuhrer pozwoliby wrócić takiej liczbie ludzi do Nowej Ojczyzny.

- Nie mów tak, Helmut - wyszeptał Kleist.

Niewielkiego wzrostu, drobnej figury - zdawał się być miniaturką oficera. Zwężonymi oczami wpatrywał się w górującego nad nim Sturma.

- Mam nie mówić o zdradzie, Axel? O tym, że poszedł uwolnić Berna, zanim go zabiją? Dobrze. Jeśli mi powiesz, że to nieprawda...

- Standartenfuhrerowi chodzi o dobro całego narodu niemieckiego.

- Wolfgang Mann nigdy nie był nazistą. Ty także. Obaj nie wierzyliście w ten sen o potędze, co, Axel?

- Przekraczasz swoje kompetencje. Mógłbym kazać cię rozstrzelać.

- A ja, Axel, mógłbym zastrzelić was obu. I zastrzelę. - Wyciągnął zza pasa walthera. Dawno temu, w Starej Ojczyźnie używał go przodek Sturma.

Odbezpieczył broń i zarepetował.

- Helmut!

Nacisnął spust raz i drugi. Oba pociski trafiły prosto w pierś Kleista.

Krzyknął do obersturmfuhrera, który stojąc w odległości stu jardów, wpatrywał się w niego z otwartymi ustami:

- Przejmuję dowodzenie. Zbieram wszystkich lojalnych ludzi. Niech atakują startujące helikoptery. Szybko, człowieku!

Trzymając w dłoni odbezpieczony pistolet, ruszył pędem w kierunku lotniska na skraju obozu.

Śmigłowce już startowały. Wypalił w stronę najbliższego, zdając sobie sprawę, że nie jest w stanie mu zaszkodzić. Znajdował się za daleko, a kule z pistoletu i tak nie przebiłyby pancerza.

Wystrzelał naboje do końca.

Stał wpatrzony w niebo. Prawa ręka zwisała mu bezwładnie. Zdradzono go. Zdradzono Nową Ojczyznę. Wódz...

Zbierze pozostałe, lojalne siły i ruszy w pogoń za renegatami. Ale wcześniej zniszczy amerykańskie statki kosmiczne i zabije wszystkich znajdujących się w obozie.

Opanowała go żądza niszczenia.

Wrzasnął do obersturmführera, przekrzykując ryk silników:

- Sieg heil!

ROZDZIAŁ XX

Siedziała przy zastawionym stole. Miejsce u szczytu było wolne - jak zawsze, kiedy jej mąż znajdował się daleko od domu. Naprzeciwko niej siedział Manfred, najstarszy syn. Helena Sturm przyglądała się jego ślicznej twarzy.

- O co chodzi, Manfred? - zapytała. - Niepokoję się...

- Martwisz się o ojca... Cóż, jestem pewna...

- Mój ojciec i jego żołnierze Nowej Ojczyzny powrócą jako zwycięzcy. Martwi mnie to, czego się dowiedziałem.

Łyżeczka, którą przed chwilą mieszała kawę, wypadła Helenie z ręki.

- Nie wiem, o czym...

- Ależ wiesz, matko. Doskonale wiesz.

- Nie powinienes w ten sposób odzywać się do matki. Będę musiała powiedzieć ojcu...

- Wątpię, czy się na to zdobędziesz. Śledziłem cię, jak być może wiesz, matko. Ciekawi mnie, o czym tak potajemnie rozmawiasz z żoną standartenfuhrera Manna.

- Pani Mann... - szepnęła Helena Sturm. - Przecież jesteśmy przyjaciółkami.

- Ależ, matko. Nie zajmujesz tej pozycji, co ona. Istnieje inny powód waszych spotkań.

Helena Sturm podniosła łyżeczkę. Widać było drżenie jej rąk.

- Nie rozumiem, Manfredzie.

- Mamo, chcę jeszcze płatków - poprosił Willi.

- Tak, kochanie, zaraz ci przyniosę. - Chciała wstać.

- Willi, poczekasz na swoje płatki. Helena Sturm spojrzała na niego przez stół.

- Nie waż się mówić tak do brata, a tym bardziej do mnie.

- W takim razie porozmawiam z opiekunem Jugendu. Opowiem mu o moich podejrzeniach.

Helena podniosła się. Nie dbała o to, że Manfred dostrzeże jej trzęsące się ręce. Czuła, jak w łonie tętni życie - może nawet dwa, co stwierdził lekarz. Popatrzyła prosto na Manfreda.

- Będziesz mi posłuszny. Mnie i ojcu. To, co robię, ciebie nie dotyczy. Jeśli nie podoba ci się moje zachowanie, będziesz mógł powiedzieć to ojcu, gdy wróci. Jesteś moim synem i to ja się tobą opiekuję. Masz obowiązki wobec mnie i swoich braci. I wobec ojca. To ja jestem twoją matką, a nie opiekun w Jugendzie. Czy wyraziłam się jasno?

- Pragnę ci przypomnieć, matko, że mam obowiązki głównie wobec partii.

Hugo, jej drugi syn, wstał.

- Manfred, nie powinienes odnosić się do mamy w ten sposób. Bertold wstał również.

- Tak, jesteś niegrzeczny, Manfred.

Willi, który zrezygnował z płatków lub zdążył już o nich zapomnieć, odezwał się dziecinnym głosem:

- Jak będziesz mówić tak do mamy, rozkwaszę ci nos. Słyszac to, mimo grozy sytuacji Helena nie mogła się nie uśmiechnąć. Upomniała jednak Williiego:

- Cicho, Willi. To twój starszy brat. Należy mu się trochę szacunku.

Willi zrobił zdziwioną minę. Sytuacja go przerastała. Manfred wstał.

- Zostawiam was. Idę do opiekuna Jugendu. Ta rozmowa potwierdza moje najgorsze przypuszczenia.

- Nie wyjdiesz z domu, Manfred.

- To apartament, matko. Pojęcie domu jest anachronizmem samo w sobie. Żyjesz przeszłością i nie chcesz przygotować się na chwałę naszej przyszłości.

- Manfred!

Rzucił serwetkę. Stał wyprostowany, poprawiając chustę na szyi.

- Wychodzę, a biorąc pod uwagę twój obecny stan, odradzam ci użycie przemocy. Jak wszyscy w Jugendzie, poważam kobiety, które spełniając swą biologiczną powinność, dostarczają istot dla przyszłej służby naszej Nowej Ojczyźnie. Ale muszę spełnić swój podstawowy obowiązek.

Odwrócił się i wyszedł z pokoju.

- Mamo?

Spojrzał na Hugona.

- Tak, kochanie?

- Bertold i ja moglibyśmy go zatrzymać.

- Nie, to jednak wasz brat.

- Mamo, czy mogę teraz dostać płatków?

Pochyliła się i pocałowała Williego w czoło. Jednocześnie zdała sobie sprawę, że zaciska ręce na ramieniu Hugona.

- Bertold, przynieś płatki dla swojego małego braciszka. Ja muszę zadzwonić.

Okrążyła stół. Weszła do małego przedpokoju. Manfreda już nie było. Podniosła słuchawkę, próbując opanować drżenie rąk. Pomyliła się, wybierając numer. Ponownie wykręciła.

- Pani Mann, przepraszam, że panią niepokoję. Niestety, Manfred...

ROZDZIAŁ XXI

Rourke zeskoczył z konia na skalisty grunt. Stanął obok Wolfganga Manna.

- Jesteśmy na miejscu - oświadczył Mann z uśmiechem. John rozejrzał się wokół. Rozległa dolina przykuwała oczy soczystą zielenią. Środkiem płynęła rzeka. Gdzieś tam przebiegały szare występy skalne. Tak mógł wyglądać raj albo bramy piekieł.

Rourke doznał niemiłego wrażenia, jakby za chwilę miał się o tym przekonać.

Kobiety zsiadły z koni.

- Gdzie jest wejście? - zapytała Natalia. - Zgodnie z planem gdzieś tutaj powinien być trójkątny kamień.

- Stąd go nie zobaczymy. Pójdziemy teraz bardzo wąskim szlakiem. Konie musimy zostawić. Przepraszam panią, major Tiemierowna. Powinienem być to narysować lepiej.

- Czy mamy iść z wami tunelem? - zapytała Elaine Halwerson. Siedziała na koniu, którego wodze trzymał Kurinami.

- Sądzę, że John obmyślił dla was *coś* innego - odpowiedziała Sarah.

- Rozmawialiśmy o tym wczoraj w nocy. Ponieważ waszą prezencję trudno byłoby uznać za germańską, nie możecie wejść do Complexu. Akiro zna już swoje zadanie. Ja, Sarah, Natalia i sierżant Heinz pójdziemy wraz z pułkownikiem Mannem. Ty, Elaine, i Akiro dołączycie do czwórki podoficerów. Kapitan Hartman otrzymał osobne zadanie. - Rourke popatrzył na czterech Niemców, z którymi miała pójść Elaine i Kurinami; nie zsiadli z koni, żaden z nich nie mówił po angielsku. - Zajmiecie strategiczną pozycję przy głównym wejściu do Complexu. W razie potrzeby będziecie nas osłaniać albo połączycie się z siłami pułkownika Manna, gdy te nadejdą. Pułkownik twierdzi, że tunele są zbyt wąskie i zdradliwe, aby mogła nimi przejść duża grupa ludzi. Szczególnie w pełnym rynsztunku. Ponieważ znasz trochę niemiecki, Elaine, powinnaś się dogadać z tymi ludźmi.

Nie przerywając wypowiedzi, Rourke zaczął wypakowywać sprzęt. Zdjął plecak. CAR-a 15 zostawił w obozie, biorąc ze sobą dwa M-16, ze względu na ich większą siłę rażenia. Natalia i Sarah były uzbrojone identycznie. Mieli ze sobą kilka pojemników z amunicją. W każdym znajdowało się po osiemset ostrych naboju, kaliber 5.56 mm. Przewiesił karabiny na ukos przez ramię, poprawiając chlebak, żeby nie zaplątał się w paski, na których zawieszona była broń.

- Gdyby coś się stało, będziecie nas ubezpieczać. Przytwierdził do pasa manierkę. Podniósł chlebak i przymocował go do siodła. Halwerson i Akiro mieli zabrać konie.

Popatrzył na Sarah i Natalię - również szykowały się do drogi. Sierżant Heinz jako jedyny zabierał plecak. Niósł także dwa niemieckie karabinki. Były wzorowane na G-3, z tą różnicą, że ładowano je nabojami bezłuskowymi, podobnie jak czterdziestonabojowe sowieckie karabiny maszynowe. Ale magazynki w niemieckiej wersji wykonano z innego materiału niż plastik i mogły służyć do wielokrotnego użytku. Johnowi bardziej podobała się niemiecka modyfikacja G-3.

Pistolet posiadał tylko Mann. Widocznie podoficerom nie dawano krótkiej broni. Większość pistoletów, jakie nosili naziści, przypominała walthera P-5, ale były wyposażone w dwukolumnowy

magazynek o większej pojemności. Miały kaliber mniejszy niż 9 milimetrów, raczej 0,30, podobnie jak karabin mauzer - zbliżony kształtem i typem amunicji.

Obok Heinza stał ładownik z nabojami. Rourke odebrał z rąk jednego z podoficerów drugi pojemnik. Uśmiechnął się, zadając sobie pytanie, czy egzaltowany standartenfuhrer zmieni Heinza, gdy ten będzie dźwigał oba pakunki. Gotów był założyć się, że tak.

- Jestem gotowa - oznajmiła Natalia, zakładając na plecy torbę, jak zakłada się tornister. Wzięła dwa karabiny M-16 i przewiesiła je przez ramię.

Sarah stała obok Heinza. John uściskał dłoń Elaine i Kurinamię, życząc im powodzenia. Nie czekając na odpowiedź, przeszedł obok Manna, wydającego rozkazy pozostałym żołnierzom.

Czekał teraz na szczycie wzgórza wznoszącego się nad doliną, mając z jednej strony Sarah, z drugiej Natalię.

- Możemy iść - oświadczył Mann, zabierając sierżantowi pudełko z amunicją i ruszając szybkim marszem.

Rourke z uśmiechem poszedł w jego ślady. Wygrał zakład.

ROZDZIAŁ XXII

Annie pamiętała słowa ojca: "Bądź przygotowana". Była. Przed opuszczeniem Schronu zapakowała trzy niezwykle przydatne rzeczy. Jedną z nich była długa do kostek spódnica, która teraz nie wydawała jej się już tak bardzo przydatna. Oprócz niej nie posiadała wielu ubrań. Pozostałe dwa przedmioty włożyła do zapinanej na zamek torby. Ukryła ją pod siedzeniem w ciężarówce ojca. W rezultacie ucieczki rodziców i Natalii, samochód gruntownie przeszukano, ale nikt nie natrafił na skrytkę pod fotelem.

Odczekała, dopóki się nie ściemniło. Po zachodzie słońca poszła do ciężarówki i wydobłała torbę ze schowka.

Siedziała teraz w małym namiocie, ustawionym obok tego, który zajmował Paul z Michaeliem. Była z nią Madison.

- Masz takie tajemnicze spojrzenie. - Madison uśmiechnęła się, zapinając bluzkę. Przysiadła na posłaniu, żeby założyć buty.

Annie podciągnęła halkę i zdjęła czarne, wełniane pończochy. Były ciepłe. Skutecznie chroniły ją przed zimnem ubiegłej nocy. Idąc dziś pod prysznic, owinęła się kocem, ale niewiele to pomogło. Omal nie zamarzała. Znowu nastąpiło gwałtowne ochłodzenie. Ciężkie, szare chmury zapowiadały niechybnie opady śniegu.

Wstała i halka opadła poniżej kolan. Annie roześmiała się.

- Tajemnicze spojrzenie?

- Tak, twoje oczy mówią: "Mam sekret". - Madison zawtórowała jej śmiechem.

Annie założyła szarą spódnicę, przez głowę naciągnęła czarny sweter. Potrząsnęła włosami, pozwalając im swobodnie opaść. Wyciągnęła spod łóżka parę wojskowych butów. Kupił je ojciec. Obuwie w rozmiarze Sarah, ale także w innych. Annie musiała przyznać, że okazał przy tym godną podziwu dalekowzroczność - mniejsze buty pasowały na Madison, większe - na nią.

- No, pokaż, co tam masz. - Madison wskazała na torbę. Annie położyła odzyskane przedmioty na łóżku.

- To jest kabura typu Bianchi. Dobrze służyła tacie, kiedy jeszcze w pracował CIA. Włożyłam wkładki do elastycznych opasek i teraz idealnie leży na mojej nodze. - Umocowała opaski w okolicy kolana. - A to - ciągnęła, podnosząc lśniący pistolet - to jest 0,45 ACP z American Derringer Corporation. Ma taki sam kaliber jak detonik. Umieścimy go tutaj. - Wsunęła broń do kabury. Zdjęła stopę z posłania, spódnica opadła.

- Teraz rozumiesz?

- Pistolet na nodze?

- Amerykańska pomysłowość, dzieciaku. - Dziewczyna roześmiała się. Usiadła na brzegu łóżka i zaczęła zakładać wojskowe buty.

Pracując przy komputerze, Annie jak dotąd nie natknęła się na żaden podejrzany szczegół. Wszyscy mieli doskonałe dossier. Nie wydawało się, żeby którekolwiek było sfalszowane.

Wchodząc do namiotu Paula i Michaela, otuliła się szczerzej płaszczem. Za nią szła Madison.

- Na litość boską, mogłabyś przynajmniej zapukać - wymamrotał Michael, siedząc na łóżku.

- Od razu widać, że poczułeś się lepiej. - Roześmiała się i pocałowała go w policzek.

Przeszła na drugi koniec namiotu, gdzie leżał Paul. Uśmiechnął się do niej, a ona pocałowała go.

- Jak się dzisiaj czujesz?

- Doktor Munchen powiedział, że mogę się już poruszać. Spryskał mnie swoim cudownym preparatem i swędzi jak diabli.

Annie wybuchnęła śmiechem, siadając na brzegu łóżka.

- Wyglądasz, jakbyś się wybierała na Biegun Północny.

- Gdybyś wychylił głowę z namiotu, nie dziwiłbyś się. Za chwilę ubierzesz się tak samo. Skoro możesz chodzić, zapraszam cię na spacer do "Edenu I". Po drodze leży pełno wygodnych kamieni. Będziesz mógł usiąść, jeśli się zmęczysz. Pomożesz mi rozpracować ten przeklęty komputer. Wczoraj siedziałam przy nim do północy. Każdy okazuje się chodzącą doskonałością. Trzeba wymyślić jakieś inne pytania dla tej maszyny.

- Na przykład: "Zagadki bytu" - zażartował Paul.

- Te już znamy. - Podniosła się. - Pomóc ci się ubrać, czy mam z Madison poczekać na zewnątrz?

- Ubiorę się sam, ale nie mogę się jeszcze schylać...

- Dobrze. Idę po twoje buty. Mężczyźni chyba uwielbiają oglądać kobiety na klęczkach. To jedna z waszych obsesji.

Złapała Madison za rękę i wybiegła z namiotu.

Na prośbę Annie kapitan Dodd wystawił straż przed "Edenem I". Przekonała go, że jeżeli w komputerze kryje się coś, co umożliwi zidentyfikowanie mordercy, zabójca może podjąć próbę zniszczenia maszyny.

Gdy zbliżali się do promu, Annie wyczuła, że Paul jest zdenerwowany. Strażnikiem był bowiem Forrest Blackburn, ten sam, który zaatakował Paula, za co nie omieszkała ukarać go wówczas celnym strzałem w nogę. Blackburn nie miał broni - widać Dodd utrzymał w mocy zakaz jej posiadania. W przypadku człowieka stojącego na warcie w newralgicznym miejscu zakrawało to na niebotyczną głupotę. Ale Dodd nie pytał jej o zdanie.

- Ten sukinsyn...

- Kiedy już wyzdrowiejesz - przerwała Paulowi - ja go nazwę tak samo. Będziesz mógł mu dołożyć, jeśli zechce zrobić mi krzywdę. Wyjdzie na jaw twoja rycerskość. Ale na razie weź pod uwagę swoje ograniczone możliwości.

- I tak jest sukinsynem - syknął Paul przez zaciśnięte zęby.

Znajdowali się na tyle blisko Blackburna, że mógł ich słyszeć. Lodowate podmuchy wiatru z północnego zachodu szarpały spódnicę Annie i targały włosy. Odgarniając je z twarzy, uśmiechnęła się do wartownika i powiedziała:

- Witam, panie Blackburn. Jak samopoczucie?

- Dzień dobry państwu. Nogę mam trochę sztywną, ale poza tym wszystko w porządku.

Paul zatrzymał się.

- Blackburn, mamy rachunki do wyrównania - powiedział.

- Przykro mi, że pan tak uważa, panie Rubenstein. Nie miałem osobiście nic przeciwko panu tamtej nocy.

- Gówno prawda. - Paul zrobił krok do przodu.

Annie nie odezwała się, przytulając się mocniej do jego ramienia. Wiatr wydawał jej się teraz jeszcze bardziej porywisty. Blackburn zastąpił im drogę.

- Kapitan Dodd nie wspominał nic o panu Rubensteinie. Obawiam się, że będzie musiał pan zostać na zewnątrz.

Paul otworzył usta, ale Annie go uprzedziła:

- Posłuchaj, mądralo: albo zmarnujesz nasz bezcenny czas, wysyłając mnie na poszukiwanie Dodda, albo wpuścisz nas bez gadania. Morderca znajduje się na wolności, niezależnie od tego, co ty i tobie podobni sobie wyobrażacie. Jeżeli go nie znajdziemy, a Karamazow tu wróci, wszyscy będziemy mieli się z pyszna. Więc jak?

Czekała na reakcję Blackburna. Sądziła, że chce się po prostu odegrać na Paulu i jednocześnie pokazać, jaki jest twardy. Mogła wymierzyć mu szybki cios w jabłko Adama, jak nauczył ją ojciec, ale to oznaczałoby dalsze pogorszenie stosunków między rodziną Rourke'a i jego przyjaciółmi a ludźmi z "Projektu Eden".

Minęła dłuższa chwila, nim Blackburn usunął się z przejścia. Uśmiechnął się.

- Zawsze dobrze radziłem sobie z komputerami, panno Rourke. Na tym tutaj odbywałem nawet szkolenie. Chciałbym państwu pomóc. Pilnować komputera mogę równie dobrze od wewnątrz, jak stojąc przed promem. Proszę mi wybaczyć, staram się tylko wypełniać swoje obowiązki.

Blackburn wyciągnął dłoń.

Annie dojrzała w oczach Paula przełomy błysk niechęci. Przełamał się jednak, co ją wyraźnie ucieszyło.

- Nie wiem, jak wy, chłopaki, ale ja prawie zamarzłam - odezwała się pojednawczym tonem.

Blackburn roześmiał się.

- Idźcie przodem - powiedział.

Starał się nawet pomóc Rubensteinowi wejść na schody. Samopoczucie Paula nie było najlepsze. Idąc tutaj, odpoczywał tylko dwa razy. Teraz przymknął oczy. Najwyraźniej zmęczenie brało nad nim górę. Po chwili powiedział:

- Naprawdę nie jestem jeszcze taki stary, chociaż tak właśnie się czuję. - Grymas bólu czy zmęczenia wykrzywił jego wargi.

Annie pocałował go w czoło, gładząc dłońmi twarz i szyję. Odwróciła się, by spojrzeć na Forresta Blackburna.

- Powiedźcie mi, czego szukacie. Postaram się wam jakoś pomóc. Komputery to moja specjalność.

Annie spojrzała na Paula Rubenstein potaknął.

- Chcieliśmy znaleźć osobę z personelu "Edena 1" lub 2, której akta byłyby lepsze niż innych. Niestety, wszyscy mają nieskazitelne opinie.

- Ja też? - zapytał z uśmiechem Forrest Blackburn.

- Tak, ale nie lepszą od innych.

- Więc zakładacie, że jakieś uosobienie wszelkich cnót występuje tu w roli sowieckiego agenta?

- Otóż to. - W głosie Paula brzmiało zmęczenie. - Więc jeśli uważasz, że nie mamy racji i że to Natalia jest mordercą, dowiedz tego.

- Dobrze, myślę, że potrafię zmusić komputer, aby sam przejrzał zbiór akt i wytypował podejrzanego w sposób logiczny i najbardziej subtelny.

Przeszedł przez pomieszczenie i usiadł na fotelu, który zazwyczaj zajmowała Annie.

- Nie uważacie mnie chyba za intruza? - zapytał, patrząc na nich.

- Nie, nie sędzę - odparł Paul.

- Dobra, zabieraj się do roboty - dodała Annie.

Upłynęły trzy godziny. Annie zastanawiała się, jak długo Blackburn miał pełnić wartę. Przeprogramowywał system katalogowania akt personalnych. Wydawało się, że trwa to całą wieczność.

Siedziała na oparciu krzesła Paula i miała właśnie napomknąć o czynniku czasu, kiedy usłyszała strzały.

- Co, u diabła? - Blackburn zerwał się z fotela.

Oboje rzucili się do wyjścia. Oprócz wystrzałów słychać było odgłosy eksplozji.

Annie spojrzała w niebo ponad muskularnym ramieniem Forresta Blackburna.

- Naziści - wyszeptała.

- Cofnij się - nakazał Blackburn.

Annie wróciła do Edena. Promy kosmiczne nie stanowiły przedmiotu ataku. Kilka helikopterów i niewielkie grupy piechoty ostrzeliwały centralną część obozu.

- Co się, u licha, dzieje? - Paul próbował wstać.

- To na pewno resztki pozostawionych nazistów. Musieli dowiedzieć się, dlaczego Mann wyjechał i teraz atakują.

- Muszę się stąd wydostać - powiedział Paul.

Annie chciała go powstrzymać. Ruszyła w jego kierunku, gdy usłyszała głos Blackburna. Odwróciła się.

W prawej ręce Forrest trzymał pistolet - odrapanego browninga, w którym rozpoznała broń Paula.

- Doprawdy, ci faceci nie mogli pojawić się w lepszym momencie. Winien im jestem podziękowanie. - Blackburn uśmiechnął się.

- Co do...

- Zamknij się, Rubenstein. Siedzicie spokojnie. Nie musicie już tracić energii na zabawę z komputerem. Ja udzielę wam niezbędnych informacji.

- Ty... - wyszeptała Annie.

- Nie wiem, czy komputer uznałby mój życiorys za wyjątkowy. Ale mógłby powiedzieć, że znałem Monę Stankiewicz. I że uczęszczałem do szkoły w Niemczech Zachodnich. A to na pewno dałoby wam do myślenia. Doszlibyście do wniosku, że będąc w Zachodnich Niemczech, mogłem nawiązać kontakty we Wschodnich. I nie pomyłilibyście się. Doprowadziło mnie to do KGB. Ale w ciągu ostatnich kilku godzin wprowadziłem taki zamęt w danych personalnych, że nikt się w tym nie połapie. Przynajmniej przez jakiś czas. Zamieszanie jest idealnym sprzymierzeńcem. Weźmy na przykład twój pistolet, Rubenstein. Parabellum dziewięć milimetrów. O ile wiem, niemieccy oficerowie mają do nich wyjątkową słabość. Do nich i tych chwalebnych dni pięć wieków temu, kiedy zabijali Żydów.

- Twoja matka...

- Zamknij się, Rubenstein. Dodd i reszta z pewnością pomyślą, że zabili was Niemcy. A zanim odnajdą wasze ciała między poległymi, ja będę już na przeciwległym krańcu obozu.

- Składając raport temu bękartowi, Karamazowowi - rzucił Paul.

- Niekoniecznie. Nie zabiłem Mony tylko po to, żeby ukryć swoją tożsamość. Ona chciała zgubić

samą siebie. Uznając ten czas za czas wojny, można by oddać mnie pod sąd polowy i rozstrzelać. Nie, nie pójdę do Karamazowa.

- Dlaczego wrobiłeś w to Natalię? - spytała Annie. - Teraz możesz nam już powiedzieć.

- Osobiście nie mam nic przeciwko niej. Nigdy wcześniej nie spotkaliśmy się. Była to kwestia właściwego wyboru. Tak czy inaczej musiałem zabić Monę. Natalia idealnie nadawała się na sprawcę. Wszyscy wiedzą, że była majorem KGB. Nic łatwiejszego niż skierować przeciw niej nienawiść tłumowi. Ani się spostrzegli, kto ich podburzył. Nie mam żadnych zobowiązań wobec Karamazowa. Był gotów zlikwidować mnie razem z całym "Edenem". Mam inne zamiary.

- Czyżby? - powątpiewająco zapytał Paul.

- Biedny kapitan Dodd ginie podczas ataku nazistów, a ja zostaję dowódcą Projektu. Umiem dostosowywać się do okoliczności. A teraz wyłaźcie na zewnątrz.

- Mam cię w dupie - warknęła Annie.

W odpowiedzi Blackburn chwycił ją wpół, ciągnąc w kierunku wyjścia. Annie okładała go pięściami, lufa pistoletu znajdowała się na wysokości jej twarzy.

- Dla mnie będzie lepiej, jeśli umrzecie na zewnątrz. - Głos Blackburna był ochrypły. - A sądzę, że i dla was. Na otwartej przestrzeni mogę chybić. A może Rubenstein zdąży mnie unieszkodliwić...

Paul powoli wstawał z krzesła. Rzucił się na Blackburna w momencie, gdy ten nieznacznie odsunął lufę od twarzy dziewczyny. Annie straciła równowagę i upadła. Korzystając z nieuwagi Blackburna, walczącego z Paulem o pistolet, wyciągnęła spod ubrania derringery i odwiodła kciukiem kurek, aby ustąpiła blokada mechanizmu spustowego. W tym momencie Blackburn kolbą browninga zadał Paulowi cios w głowę. Rubenstein upadł.

Annie wycelowała w niego broń. Blackburn wykonał gwałtowny obrót. Uniesioną nogą wytracił jej pistolet z ręki, po czym rzucił się ku niej. Dziewczyna przeturlała się po podłodze, usiłując dosięgnąć pistoletu. Blackburn przycisnął ją do ziemi, wykręcając ramię.

Ale derringer był już w zasięgu jej ręki.

ROZDZIAŁ XXIII

Rozświetlona tarcza rolexa wskazywała, że już dwadzieścia minut posuwają się tunelami. Szli gęsiego. Korytarz przypominał rozmiarami kanały ściekowe. Miejscami zwężał się, gdzieniegdzie blokowały go zwały błota i kamieni. Nie docierało tu światło. Do najciemniejszych tuneli i labiryntów zawsze przedostawało się jakieś światło. Tu panowała całkowita ciemność. Gdyby nie lampy zasilane syntetycznym paliwem, utonęliby w zupełnym mroku.

John Rourke szedł na czele, Mann - tuż za nim. Na każdym rozwidleniu Niemiec wskazywał drogę.

Rourke starał się zapamiętać trasę na wypadek, gdyby byli zmuszeni uciekać tędy bez Manna. Ściany tunelu znaczył strzałkami. Licząc się z tym, że ktoś inny mógłby znać tę drogę, rysował znaki wskazujące ślepe zaułki. Jeżeli z rozwidlenia wychodziły więcej niż dwa korytarze, zaznaczał ten właściwy. Miał nadzieję, że ktokolwiek spróbuje ich śledzić, szybko się pogubi.

Chwilami brakowało powietrza; płomienie lamp przygasały. Czasem wydawało się ono gęste i wydzielalo zgnity odór. Nie mogąc złapać oddechu, z wysiłkiem przyspieszali kroku, by wydostać się z tych rejonów. Po chwili wszystko wracało do normy.

Przemarsz przez kanały, jaskinie i szyby zajął im trzy godziny.

Znaleźli się w obszernej grocie. Stojąc na występie skalnym, zobaczyli otwierającą się w dole przepaść. Heinz przeniósł światło latarki z sufitu jaskini na jej dno. U podnóża uskoku, w odległości stu stóp, wiła się srebrna nitka strumienia

- Tu odpoczniemy - oświadczył John.

Sarah przeszła obok niego. Stała na skraju przepaści, świecąc lampą w otchłań. Gazożarowa koszulka wokół płomienia skupiała światło na kształt soczewki, czyniąc je wystarczająco intensywnym, by w jego blasku można było stwierdzić, iż w przepaści istnieje tylko pustka.

- To piękne. Ale i przerażające - powiedziała Sarah, a echo odbijało jej głos wśród skał. - i to też - dodała, echo zwielokrotniło jej słowa.

Natalia usiadła obok Johna w niszy skalnej. Na chwilę położyła mu głowę na ramieniu. Uśmiechnął się do niej. Miała wypisane na twarzy, że wie, co zaszło między nim i Sarah zeszłej nocy. On także me ukrywał tego. Wolał, żeby wiedziała. Dziś rano pocałowała go w policzek i powiedziała:

- Cieszę się, że tak się stało. Teraz zapytała:

- Daleko jeszcze, pułkowniku?

Mówili po angielsku ze względu na Sarah, która nie знаła niemieckiego. I z korzyścią dla sierżanta Heinza.

- Myślę, pani major, że dotrzemy na miejsce za jakieś dwie godziny. Będziemy teraz schodzić w dół ścieżką tak stromą, że nadaje się bardziej dla kóz niż dla ludzi. Czytałem o kozach. To musiały być fascynujące zwierzęta.

Rourke roześmiał się.

- Zdarzało nam się jadać kozie mięso - powiedział.

- Pewien starszy pan - Sarah podjęła opowieść - przynosił nam do domu tylne kulki kozy. W końcu nauczyłam się smażyć na grillu kozie żeberka, tak jak każde inne...

- Jedliście kozy? - dopytywał się Mann.

- Ich mięso smakuje całkiem nieźle. Jest kruche...

- Kruche? Nie znam tego słowa.

Natalia, której angielski był bezbłędny, wyjaśniła:

- To znaczy, że ma posmak dziczyzny, inny niż mięso zwierząt hodowlanych. Jak na przykład sarnina.

- Ach, łania. Rozumiem - powiedział Mann.

- "Jeśli sercu brak jest łani, niech poszuka Rosalindy"[1] - wyrecytował rozbawiony John. Widząc zakłopotaną minę Manna, dodał: - Nie przejmujcie się mną. Zawsze miałem dziwne skojarzenia związane z tym cytatem. To Szekspir.

- Ruszamy, przyjaciele?

- Czemu nie? - Rourke podniósł lampę i ładownik.

- Lepiej będzie, jeżeli wezmę lampę i pójdę przodem - powiedział Mann.

John skinął głową, przekazując mu latarkę.

Mann poszedł pierwszy kamiennym pokładem, kierując się w dół. Jego lampa była jedynym drogowym światłem w otaczających ich ciemnościach. Za Mannem podążał Heinz, Sarah i Natalia Rourke zamykał pochód. Widział kamienny chodnik w blasku lampy niesionej przez Natalię. Spoza kręgu żółtego, rozproszonego światła dochodziły odgłosy spadających kamyków. Sprawiało to dziwne wrażenie. Słychać było moment, w którym zaczynają się osuwać i dźwięk ten trwał bez końca. A przecież gdzieś musiały się zatrzymać.

Narastał szum podziemnej rzeki. Gdzieś tam ze skał z hukiem spadały kaskady wody.

Przed wiekami te jaskinie na pewno roiły się od nietoperzy.

Dziś nie istniało już żadne z tych stworzeń. Kiedy płomienie zalały świat w czasie Wielkiej Pożogi, wyginęły wszystkie zwierzęta - zarówno te piękne, jak i te budzące odrazę.

Tunel ciągle opadał w dół. Droga stawała się coraz bardziej stroma. Natalia zachwiała się. John pochwycił ją, światło latarni zatoczyło krąg.

Przejście było teraz tak wąskie, że mogli posuwać się naprzód jedynie bokiem. Plecami przywierali do ścian, nieomal wtapiając się w nie, by zyskać dodatkowe milimetry. Każdy metr tunelu ciągnął się w nieskończoność.

Wydawało się, że idą już dobrą godzinę. John spojrzął na zegarek - upłynęło zaledwie pół.

Wreszcie chodnik rozszerzył się. Wyżłobiona w skale ścieżka pozwoliła im oderwać się od skraju urwiska.

Droga stawała się prawie wygodna. Mann stanął. John, wpatrzony w falujący płomień jego lampy, wpadł na Natalię.

Wolfgang Mann wprowadził ich w zagłębienie w skale, zbliżone kształtem do muszli. John obserwował, jak światło lampy rozprasza się i ginie w ciemności.

- Może odpoczniemy? - zaproponował Mann.

- Czemu nie?

Uformowali niezgrabne koło, skupiając się wokół ustawionych na ziemi lamp.

- Wkrótce pokonamy zakręt. Stamtąd ścieżka biegnie poziomo, czasem wznosi się do góry. Jest

bardzo wąska. Ale to nie wszystko. Na szczęście, jako chłopiec odkryłem ten szlak w taki sposób, że nikt się nie dowiedział o jego istnieniu. Otóż skały tworzą tam, naturalną szepczącą galerię. Na szczycie ścieżki efekt jest najsilniejszy. Zjawisko to zanika około sto jardów za wierzchołkiem. Szepczącą galerię musimy przebyć, zachowując całkowite milczenie. Nawet nasze oddechy będą tam doskonale słyszalne. Jeden głośniejszy dźwięk i wszystko przepadnie. W sklepieniu galerii występują pęknięcia, przez które wzmocnione odgłosy wydobywają się na powierzchnię. A tam znajdują się posterunki straży. Sam kazałem je ustawić kilka lat temu. Przewidywałem, że nieprzyjaciel mógłby je wykorzystać. Obsada placówki słyszy wszystko, co jest głośniejsze od szeptu. Sądzę, że zaczną strzelać przez szczeliny. Możemy dostać rykoszetem. Ale to nie jest najgroźniejsze. Odgłos strzelaniny na pewno nas ogłuszy i prawdopodobnie spowoduje lawinę, która straci nas prosto w przepaść.

- Nareszcie rozumiem, dlaczego te jaskinie nie zostały zaliczone do atrakcji turystycznych. - Rourke uśmiechnął się.

- Widzę, że zrozumiałeś mnie doskonale. - Mann odwzajemnił uśmiech. - Proponuję krótki wypoczynek przed dalszą drogą. Kiedy już miniemy szepczącą galerię, będziemy prawie u celu, do Complexu pozostanie niecała mila. A droga jest szeroka i biegnie poziomo.

Rourke zdjął z ramion karabiny. Kobieca dłoń przesunęła się po jego udzie, szukając ręki. Uścisnął ją. Nie był pewien, czy należała do Sarah, czy może do Natalii.

ROZDZIAŁ XXIV

- Proszę mi powiedzieć, panie Rubenstein, jak pan sobie radził w życiu z taką skłonnością do obrywania po głowie? -zapytał doktor Munchen z uśmiechem.

Paul próbował się podnieść.

- Nie wstawaj, młody przyjacielu. Nie było potrzeby pana operować, ale to nie znaczy, że nie musi pan odpoczywać.

- Nie, on mnie nie uderzył, to znaczy, tak, uderzył... Blackburn, gdzie... - Paul odepchnął rękę Munchena i usiadł. - Gdzie, do cholery... Och! - Dotknął głowy, przypomniał sobie wszystko. - Gdzie jest Annie? - zapytał.

- Trwa jeszcze walka. Pozostawione tu oddziały standartenfuhrera Manna razem z waszymi ludźmi odpierają ataki hauptsturmfuhrera Sturma. Zabijanie własnych towarzyszy nie jest łatwe. Zorientowałem się, że nigdzie nie ma pana ani fraulein Rourke. - Smutno się uśmiechnął. - Niestety.

- Niestety co? - Rubenstein próbował wstać, ale Munchen położył mu ręce na ramionach. Paul ugiął się pod ich ciężarem.

- Brakuje jednego z sowieckich helikopterów. Gdy znalazłem pana nieprzytomnego, zrozumiałem, że przypuszczenia panny Rourke ujrzały światło dzienne.

Przed Nocą Wojny Paul zarabiał na życie, redagując teksty, teraz więc zastanawiał się nad niefortunną metaforą Munchena.

- Co pan powiedział?

- Fraulein Rourke... Obawiam się, że została porwana przez zabójcę nieszczęsnej fraulein Stankiewicz.

- Ja... - Tym razem Munchen nie przeszkadzał Paulowi, gdy wstawał.

Paul zatoczył się i opadł na przepierzenie. Doktor podtrzymał go. Rubenstein uzmysłowił sobie ironiczną wymowę tej sceny: mężczyzna w nazistowskim mundurze pomagający Żydowi. Zrozumiał, że John Rourke miał rację. Ci Niemcy nosili po prostu niewłaściwe mundury, a i to chcieli teraz zmienić.

Rubenstein spojrzał w niebieskie oczy Munchena.

- Doktorze, to był Forrest Blackburn. Jeśli skradł śmigłowiec, to znaczy, że zmienił plany. Nie zabije Dodda i nie zostanie dowódcą "Projektu Eden". - Potrząsnął bolącą głową. Zdał sobie sprawę, że mówi nielogicznie. Oczy Munchena wyrażały zakłopotanie. - Czy ktoś, ktokolwiek...

Kolana ugięły się pod nim. Munchen złapał go, nim zdążył się osunąć na podłogę.

- Herr Rubenstein, pan musi wypocząć.

- Nie - wyszeptał Paul. - Nie rozumie pan, doktorze? Blackburn jest rosyjskim agentem. Ma Annie, zabije ją, ale... - Nagle rozjaśniło mu się w głowie. Ból osłabiał go, ale jednocześnie ożywiał. Rubenstein zmusił się do myślenia. - Proszę kontrolować, czy mówię z sensem. Blackburn chciał zabić nas oboje i zrzucić winę na waszych ludzi. Akurat zaatakowali obóz. Miał mój pistolet, taki jaki noszą niemieccy oficerowie. Zabiłby nas, oskarżył waszych ludzi, potem zabiłby Dodda i

przejął dowodzenie. Ale jeżeli ukradł śmigłowiec, musiało zdarzyć się coś nieprzewidzianego. Może Annie żyje, jest z nim.

- Na pewno żyje, herr Rubenstein. Doktor Hixon i ja opatrywaliśmy rannych. Niektórych przenieśliśmy w pobliże szosy, z dala od najcięższych walk. Wtedy zauważyłem sowiecki helikopter wzbijający się w powietrze. Nikt do niego nie strzelał. Kołował przez chwilę, po czym odleciał na północ. Szukając pana, doszedłem do promu. Natknąłem się tam na ranną Jane Harwood. Opatrzyłem jej ranę, wszedłem do środka i znalazłem pana.

- Widocznie Jane przyszła po nas, gdy zaczęła się strzelanina.

- Nic jej nie będzie. Jest pod dobrą opieką, panie Rubenstein.

- Czy ona...

- Tak, jest przytomna. Da pan radę wstać?

Paul zwilżył językiem wyschnięte wargi. Z pomocą Munchena podniósł się.

Dopiero teraz dotarły do niego odgłosy bitwy. Niepokoił się o jej wynik. Gdyby atakujący wygrali...

Szedł powoli, ciężko wsparty na ramieniu lekarza. - Jak przebiega...

- Trwa. I chyba nieprędko się skończy. Hauptsturmführer Sturm to lojalny nazista. Brak ludzi i broni nadrabia zaciekłością. Myślę jednak, że nie zdoła nas pokonać. Niestety, mamy ofiary wśród personelu "Projekt Eden" i ludzi standartenführera.

Zatrzymali się przed schodami. Zimno wpłynęło na Paula orzeźwiająco. Dostrzegł błyszczący w błocie przedmiot.

- Proszę, niech pan to podniesie. Dam sobie radę. - Oparł się o luk wejściowy.

Doktor Munchen popatrzył na niego, skinął głową i zbiegł po schodach.

- To jakiś pistolet, herr Rubenstein.

- Derringer, derringer Annie. - Paul rzucił się na schody, niewiele brakowało, żeby upadł.

Munchen podtrzymał go.

Stał teraz u podnóża schodów, bezmyślnie patrząc, jak kobieta ze służby medycznej opatruje lewe ramię Jane Harwood. Kula przeszła powyżej piersi. Paul osłabł. Opadł na kolana, wsparł ręce o uda. Nie może teraz zemdleć.

- Kapitan Harwood, czy widziała pani Annie, Annie Rourke? Błagam...

Wziął od Munchena pistolet Nacisnął dźwignię blokującą cyngiel. Przesunął dźwignię zabezpieczającą. Nie brakowało żadnego naboju.

- Cholera - zaklął.

Opuścił kurek i włożył rewolwer do kieszeni.

- Kapitan Harwood, o Boże, proszę coś powiedzieć.

- Annie, Forrest Bla... Blackburn... ona... - Żyje?

- Tak. - Głowa Jane Harwood opadła na poduszkę. Pielęgniarka odwróciła się. Miała ładną twarz o jasnej cerze oraz brązowe włosy. W zielonych oczach malował się spokój. Munchen już klęczał przy Jane.

- Przez jakiś czas, panie Rubenstein, nie będzie mogła rozmawiać.

- Co się tu, u diabła, dzieje? - ostro zabrzmiał głos Dodda.

- Kapitanie, Forrest Blackburn ukradł śmigłowiec i uprowadził Annie. To on jest komunistycznym agentem. Musimy go dopaść - mamrotał Paul, z trudem utrzymując się na nogach.

- Musimy zrobić wiele rzeczy, panie Rubenstein. Wygrać bitwę, na przykład. Co u...

Dodd padł na kolana obok Jane Harwood, odrzucając M-16.

- Słyszałem, że ją postrzelono. Czy...

- Powinna się z tego wygrzebać - powiedział Munchen. - Może wysłucha pan Paula. To może mieć znaczenie dla nas wszystkich.

Dodd spojrział przez ramię.

- Niewątpliwie dotyczy to panny Rourke. Gdyby nie pchała nosa...

- Zamknij się, do kurwy nędzy! - wrzasnął Paul. Niemal czuł, jak wzrasta mu poziom adrenaliny we krwi.

- Ty...

- Nie! Annie go zdemaskowała. Blackburn ją porwał. Gdyby nie kapitan Harwood, zabiłby nie tylko mnie i Annie, ale także pana. - Paul podniósł głowę, nie zważając na ból karku. - Czas wreszcie, żebyś wydorósł, Dodd. Chcę złapać Blackburna.

- Ten Blackburn - wtrącił Munchen - prawdopodobnie ukradł jeden z sowieckich helikopterów.

- Nie odleci nim dalej niż sto mil. Ciekawe, skąd wzięłby paliwo - Dodd zwrócił się do Rubensteina. - Na północ od dawnego St. Louis nie ma nic prócz lodu. Przykro mi z powodu panny Rourke. Winienem wam przeprosiny, całej rodzinie, panie Rubenstein. A głównie major Tiemierownej. Ale najpierw musimy pokonać napastników, pochować zmarłych i przygotować się do obrony. Nie mogę panu dać nawet pilota, nie mówiąc już o samolocie. Do tego paliwo. Od naszego przetrwania zależy przetrwanie cywilizacji, demokracji. Co się stanie, jeśli doktor Rourke i pułkownik Mann zawiodą? Kiedy już poradzimy sobie z tym, co się tu dzieje, zejdziemy do podziemnego schronu. Wkrótce możemy mieć wszystkich na karku. Przykro mi z powodu panny Rourke, ale nie mogę narażać moich ludzi.

Paul Rubenstein stanął chwiejnie na nogach.

- Skurwysyn!

Zemdlał.

ROZDZIAŁ XXV

Dotarli do szepczącej galerii. Rourke wyraźnie słyszał ciężki oddech Sarah, znajdującej się niedaleko niego. Własny oddech ogłuszał go.

Stukot kroków na kamiennej posadzce, uderzenia kamyków spadających w ciemność, głuchy ryk podziemnego strumienia, niewidocznego w otaczającym mroku.

W kręgu żółtego światła widział stopy Natalii idącej przed Sarah.

Nagle dał się słyszeć głośny, przejmujący dźwięk - to zamek jego kurtki otarł się o ścianę. Stał i - starając się zrobić to bezgłośnie - złączył zamek u dołu i zaciągnął go. W efekcie usłyszał jęk jakby rannego zwierza. Ruszył dalej.

Niósł na ramionach powiązane karabiny, tak żeby nie obijały się o siebie. Chlebak spełniał rolę buforu między bronią i manierką, do której był przywiązany parą zapasowych sznurowadeł.

Najgłośniejsz rozbrzmiewały kroki Manna. Szedł pierwszy, torując drogę. Spod jego stóp usuwały się kamienie, muł i piasek. Natalia uniosła lampę. W jej oczach John dostrzegł strach. Włosy i twarz Sarah. Determinacja na twarzy, jak wtedy gdy spotkali się, nim niebo stanęło w płomieniach. Nigdy przed Nocą Wojny nie widział u niej takiego zdecydowania.

Lampa wróciła do poprzedniej pozycji. Znowu widział tylko swoje stopy na zwężającej się ścieżce. Kierowali się nieznacznie w górę.

Mógł określić kąt, pod jakim wznosiła się droga. Lampa Manna znajdowała się na wysokości piersi Johna, czyli tam, gdzie nie powinno jej być.

Raptem prawa noga obsunęła mu się na krawędzi urwiska. Rourke przywarł do ściany. Kolano ugięło się pod ciężarem ciała, zanim zdążył złapać równowagę. Lawina małych kamyczków posypała się w przepaść, wydając zwielokrotniony odgłos, jakby staczały się wielotonowe głązy.

Nabrawszy oddechu, ruszył dalej. Ścieżka pięła się pod górę, zwężając się coraz bardziej. Patrząc przed siebie, widział blade światło. Przyćmione tumanami kurzu, było zbyt słabe, by oświetlić drogę. Kilka kroków dalej mógł ustalić jego źródło. Sączyło się ze szczelin, o których wspominał Mann.

Za każdym razem John przesuwiał stopę nie więcej niż o kilka cali. Nie można tego było nazwać chodzeniem. Broń niósł przed sobą. Z trudem utrzymywał równowagę, ale tylko w taki sposób mógł pokonać ten odcinek.

Mann przechodził właśnie przez pierwszy snop światła, gdy sierżant Heinz pośliznął się i zniknął w mroku przepaści.

Rourke wstrzymał oddech. Huk grzmotu był niczym w porównaniu z odgłosem spadających kamieni. W kręgu latarni Manna widział Natalię - klęczała nad otchłanią.

Wówczas strażnicy na górze otworzyli ogień.

Hałas wstrząsnął ciałem Johna. Otworzył usta, by wyrównać ciśnienie w bębenkach uszu. Posuwając się wzdłuż urwiska, widział Sarah z rękami przyciśniętymi do uszu i ustami otwartymi w bezgłośnym krzyku. Natalia jedną ręką opierała się o skałę, w drugiej trzymała lampę, próbując

oświetlić rozwierającą się pod nimi głębię.

Kule przelatywały nad głowami, odbijając się rykoszetem od ścian. Odłamki i pył pokruszonej skały zasypywały twarze.

Rourke dotknął ramienia żony, przyciągając ją do ściany i wskazując snop światła przed nimi.

Zrozumiała. Przywarła do ściany. Przeciskał się obok niej. Jedną nogę przesunął nad przepaścią, szukając oparcia za Sarah. Stojąc teraz w rozkroku, obejmował ją wpół. Sarah chwyciła jego nadgarstek, podtrzymując go. Oderwał drugą nogę od ziemi i stanął w ciasnej przestrzeni obok Sarah. Prawą rękę oparł o występ skalny.

Udało się. Zrobił nieznaczny krok do przodu, szurając karabinem po ścianie. Teraz nie miało to już znaczenia. Wszystko utonęło w spotęgowanym łoskocie ognia maszynowego.

W uszach grzmiało przeraźliwe wycie przypominające głos syreny alarmowej. Jeszcze kilka sekund, a wszyscy odniosą trwałe uszkodzenie słuchu, zaś za parę minut ogłuchną.

Pył zasypywał mu oczy. Przymrużył je i starał się dotrzeć do Natalii i Manna, wyężających wzrok w poszukiwaniu Heinza.

Nagle oślepiło go światło. Odwrócił głowę, nie mogąc znieść jasności. Gdy ponownie spojrzął w dół, zrozumiał, że to Heinz, najwidoczniej żywy, daje sygnały latarką o dużej mocy.

Pułkownik Mann miał przewieszoną przez ramię alpinistyczną linę. Rourke z goryczą pomyślał, że gdyby się nią obwiązali, Heinz nie znajdowałby się teraz na dnie przepaści. Albo leżeliby tam wszyscy.

Położył rękę na ramieniu Manna. Ten skinął głową. Podał mu linę. John poszukał jej końca, podał go Mannowi. Pułkownik owinał się wokół ramion i pod pachami, zawiązując podwójny refowy węzeł.

- To wystarczy - zaopiniował, stwierdzając jednocześnie, że Jugend, o którym wspomniał Mann, nie umywa się do skautingu.

Część liny podał Natalii. Zrozumiała natychmiast i sprawnie wywiązała pętlę. Resztę sznura opuścił w czarną otchłań.

Heinz sygnalizując używał nieznanego kodu. Trzy długie. Dwa krótkie. Jeden długi. Jeden krótki.

Rourke spojrzął pytająco na Manna. Pułkownik pokazał palcem w dół i skinął głową. John pociągnął za sznur. Lina nie drgnęła. Albo dotarła do Heinza, albo zaczepiła się o występ skalny. Popatrzył znowu na Manna. Gdyby mogli mówić... Na ich twarze ponownie posypały się kamienie.

Natalia zaczęła rozplątywać węzeł. Złapał ją za rękę. Zaciągnął pętlę. Pozbył się swojego bagażu, oddając go Sarah i Mannowi. Naciągnął zakrwawione rękawiczki. Zaciśnął dłonie na Unie, gestem dając do zrozumienia, że schodzi.

Ból rozsadał uszy.

Schodził, ślizgając się butami po powierzchni skały, zaciskając ręce na linie.

Zdał sobie sprawę, że strzelanina musiała na chwilę ustać. Przez kilka minut nie słychać było strzałów. Teraz odezwały się znowu. "Nie jestem więc całkiem głuchy" - pomyślał.

Spojrzął w dół. Latarka zapalała się i gasła. Mógłby pewnie odszyfrować sygnały, ale w tej chwili nie miał na to czasu.

Zsunął się po linie. Nogi coraz częściej traciły oparcie. Skała kruszyła się, a jej odłamki opadały w dół. Nieomal zataczał nogami koła, szukając stabilnych miejsc. Wahadłowy ruch przyprawiał go o mdłości.

Heinz ciągle wysyłał sygnały.

Rourke zdał się teraz wyłącznie na instynkt. Ogłuszający hałas odbierał mu przytomność umysłu, uniemożliwiał myślenie. Bez udziału świadomości podążał ku dochodzącemu z dna światłu. Nie rozróżniał dźwięków. Wszystko zlało się w jedną kakofonię, której źródło tkwiło w jego głowie.

To, że nadal strzelano, nie ulegało wątpliwości. Odpryski skalne spadały na niego, raniąc odsłonięte partie ciała.

Raziło go światło. Przesunął się w lewo. Schodził zygzakiem. Powierzchnia w jednym miejscu śliska, w innym była chropowata, czasem ostra.

Błysk. Rourke oparł stopy o szeroki występ, zwarł kolana, przesuwał się do tyłu.

Błysk. Przycisnął się do ściany, wyciągając rękę w jego kierunku.

Błysk. Prawą rękę zacisnął na linie, lewą zakrył latarkę. Prześwietlała teraz dziury w jego rękawiczce.

Pociągnął za latarkę. Odpowiedziało mu szarpnięcie. Heinz.

Znajdowali się na skalnej półce. Opadł na kolana, podczołgał się naprzód i trzymając się sznura, ostrożnie badał przestrzeń wokół siebie. Bał się spaść z krawędzi. W ciemności nie widział jej.

Potknął się o coś miękkiego. To był sierżant Heinz.

Wyszarpnął latarkę i skierował ją na rysujący się w mroku kształt.

Z lewej skroni Heinza sączyła się krew. Prawa ręka była zniekształcona w łokciu. Sierżant wskazał na swoje nogi. Rourke przesunął światło - lewa była złamana. Nie wydawało się jednak, żeby występowały jakieś szczególne komplikacje.

John wyjął zza pasa sztylet. Wyszarpnął nogawkę spodni z buta; stwierdził, że zrobiono go z tworzywa imitującego skórę. Nie lubił tworzyw.

Rozciął materiał wzdłuż szwu. Kość nie przebiła skóry, nie widać było zaczerwienienia.

Ponownie oświetlił twarz Heinza. Sierżant stracił przytomność. Z jego ramienia zwisały dwa niemieckie karabinki.

Rourke sprawdził oddech i puls. Heinz znajdował się w stanie omdlenia, ale jego życiu nie zagrażało niebezpieczeństwo.

Z nogą nie mógł nic zrobić. Przynajmniej na razie.

Wysłuchując się w odgłosy strzelaniny, doszedł do wniosku, że strażnicy nie odkryli ich obecności w tunelu. Strzelali, ponieważ usłyszeli odgłos lawiny skalnej. Bardziej po to, żeby rozproszyć nudę codziennej służby niż z konieczności. Sporadyczne, na chybił trafił oddawane strzały wskazywały, że nie żywili specjalnych podejrzeń.

Najdelikatniej, jak tylko mógł, zdjął karabinki z ramion Heinza. Wyrzucił magazynki i uważnie przyjrzał się broni, zastanawiając się, jak ją rozłożyć. Plastikowe łoża postanowił wykorzystać jako łupki.

Znalazł coś, co przypominało suwadło. Odwiódł je, odsłaniając komorę nabojoową. Była pusta. Zaczął rozkładać karabinek. Miał konstrukcję podobną do pistoletu. Funkcjonował w nim ten sam system, co w waltherze P-38, ale tu zapadka zabezpieczająca zwalniała sworzeń. Wyjął go. Lekko nacisnął mechanizm spustowy. Natychmiast wypadł. Nie było to skomplikowane. Ale też i nie tak solidne, jak w kolcie lub policyjnych czy sportowych strzelbach. Jeszcze jedna zapadka. Opuścił ją. Lufa i komora nabojoowa oderwały się od łoża. Odrzucił metalowe części, nie przejmując się hałasem.

Przysunął się do sierżanta. Zdjął jego brązowy, tkany pas. Przyłożył łoża do obu stron goleni. Naciągnął nogę, starając się ustawić kość. Heinz zwinął się z bólu. Rourke nie miał czasu na niego

spojrzeć. Umocował prowizoryczną szynę i ścisnął ją pasem.

Przeciósł się do ramion Heinza. Łagodnie zbadał wykrzywioną rękę. Stwierdził zwichnięcie barku. Łokieć był nie uszkodzony.

Sprawdził oddech. Równy. Fakt, że Heinz był nieprzytomny, ułatwiał mu zadanie. Jakiś czas po dyslokacji mięsień, który został oddzielony od kości, gdy wypadła ze stawu, zwykle wypełnia powstałą szczelinę. Jeżeli ciało nie jest rozluźnione działaniem znieczulenia lub narkozy, przywrócenie naturalnej pozycji bywa utrudnione.

Trzymając mocno ramię Heinza, szarpnął jego rękę, usiłując nastawić wywichnięty staw. Główna kości trafiła na swoje miejsce. Delikatnie złożył rękę Heinza na jego klatce piersiowej, zginając ją w łokciu.

Teraz należało unieruchomić rękę sierżanta. John mógł to zrobić jedynie swoim pasem. Musiałby wówczas upchnąć pistolety w kieszeni. Nie namyślając się wiele, podniósł nóż. Odciął rękaw bluzy Heinza i pociął go na pasma. Powiązał je. To powinno wystarczyć na prowizoryczny temblak. Upewnił się, czy ramię jest dobrze przymocowane.

Mógł, co prawda, użyć liny, ale nie chciał ryzykować. Nie wiedział, jaka długość będzie potrzebna, żeby bezpiecznie przetransportować Heinza na górę.

Zajął się tym teraz. Owijał sznur wokół ciała sierżanta uważając, by nie urazić ramienia. Związał mu nogi dla zapewnienia ciała stabilności.

Zawłókł bezwładnego Heinza na drugą stronę skalnej półki. Wcześniej sprawdził, czy nie ma obrażeń kręgosłupa. Rana na głowie okazała się powierzchowna. Krwawienie ustało samoczynnie.

Zgasił latarkę i przytroczył ją do pasa. Pociągnął za linę. Z góry odpowiedziano szarpnięciem. Chwilę jeszcze podtrzymał Heinza. Gdy tylko miał wolne ręce, zapalił latarkę. Sierżanta wciągnano do góry.

John Rourke nic nie słyszał. I nic nie widział. Poza kręgiem światła rozciągała się otchłań ciemności.

Dwanaście minut trwała podróż Heinza na górę. W końcu spuszczone linę. Rourke wdrapał się z powrotem.

Posuwali się wzdłuż występu. Wolfgang Mann niósł nieprzytomnego żołnierza. Po piętnastu minutach John zmienił pułkownika. Ze względu na ograniczoną przestrzeń nieśli go sposobem strażackim.

Minęła godzina. Przejmując Heinza po raz drugi z rąk Manna, John zauważył, że pogłos wystrzałów nieznacznie się zmniejszył. Nie wiedział, kiedy przestali strzelać. Ale za plecami ciągle słyszał ciężki oddech towarzyszy.

Zanotował w pamięci, że upłynęło dziesięć minut, odkąd minęli ostatnie pęknięcie skalne. Ciemność przecinało teraz tylko światło lamp.

Szli.

ROZDZIAŁ XXVI

Niespodziewanie chodnik rozszerzył się. Czerni wokół nich nie wypełniała już pustka. Szli teraz wykutym w skale tunelem. Widzieli jego ściany i sklepienie. Pod stopami mieli litą skałę.

Rourke niósł sierżanta Heinza. Natalia i Sarah podzieliły się jego ekwipunkiem. Mogli iść obok siebie. Droga była łatwiejsza. Opadała w dół.

Pierwszy odezwał się Mann. Jego głos wdarł się w głuchy ryk, dudniący w uszach Johna. Było to jak szum morza w znalezionej na plaży muszli.

- Przeszliśmy szepczącą galerię. Czy ktoś mnie słyszy?

- Tak - potwierdził John, skinąwszy głową.

- Słyszę pana, ale jakoś dziwnie - powiedziała Sarah.

- Dzwoni mi w uszach. Nie mogę temu zaradzić, ale nie jest najgorzej - stwierdziła Natalia.

- Sądzę, że Heinz miał szczęście, przynajmniej pod tym względem. Stracił przytomność. Jego narządy słuchu mogły łatwiej znieść hałas. Daleko jeszcze do wejścia do Complexu? - zapytał John.

- Jakies dziesięć minut. Musimy zachować ciszę.

Na razie nie można więc było zająć się Heinzem. Cel znajdował się już blisko.

Tunel skręcał ostro w prawo - trakt zwęził się. Droga opadała stromo. Rourke wydłużył krok. Niedługo skończy się ich podróż przez podziemia. Przyłożył lewy nadgarstek do ucha. Usłyszał cichutkie tykanie rolexa. Słuch mu wracał.

Zakręt w lewo - droga biegła poziomo. Mann wysunął się do przodu. Gestem nakazał, by się zatrzymali.

Stanęli. Natalia podtrzymywała ciało Heinza z prawej strony. Sarah znajdowała się blisko Manna. Wymierzyła jeden z niesionych karabinów w ścianę zagradzającą przejście.

Wyglądało to na ślepy zaułek.

Mann badał rękami ściany. Nagle skała usunęła się spod jego rozpostartej dłoni. Wyjął pistolet. Po chwili zniknął za kamienną płytą.

John spojrział w oczy Natalii - niewiarygodny błękit. Uśmiechnęła się.

Usłyszał coś. W przejściu pojawiło się dwóch niemieckich żołnierzy. Sarah podniosła broń. Natalia błyskawicznie obróciła się w kierunku wyjścia.

Był tam już Mann. Dał znak, że wszystko w porządku. Dwaj Niemcy minęli Sarah, podbiegli do Johna i odebrali z jego rąk Heinza.

Szeptem po niemiecku Rourke upomniał ich:

- Uwaga na złamaną goleń lewej nogi i zwichnięte prawe ramię. Nieście go ostrożnie.

- Tak jest, doktorze.

Gdy Niemcy zniknęli z Heinzem w głębi korytarza, Mann skinął na pozostałych, by przechodzili przez skalne wrota. Sam ruszył przodem. Rourke wziął od Sarah i Natalii karabiny oraz pudełka z amunicją. Wyprzedził wszystkich, podążając za Mannem.

Dotarli do ogromnej elektrowni. Sufit zasłaniały rury o niespotykanej średnicy. Ryk turbin

zagłuszał szum w uszach.

Rourke rozejrzał się. Nie było widać końca korytarza. Rury biegły także wzdłuż przeciwległej ściany. Ta, przy której stał, podobnie jak podłoga, była betonowa.

Niedaleko stał Mann. Trzymał w ramionach szczupłą, wysoką kobietę o urodzie rzymskiej patrycjuszki. Według wszelkich kanonów należało nazwać ją pięknnością.

Natalia i Sarah stanęły przy boku Rourke'a.

- Teraz już wiem, dlaczego tak się spieszył - powiedział John.

ROZDZIAŁ XXVII

Przez pięć wieków trwania pod ziemią Niemcy udoskonaliли system zasilania hydroelektrycznego na bazie reakcji termojądrowych.

Sarah, John, Natalia i pułkownik Mann dostali się do Complexu w beczkach przeznaczonych do transportu płynnych produktów ubocznych. Sierżant Heinz, ze względu na odniesione obrażenia, nie mógł skorzystać z tego środka lokomocji. Pozostał w elektrowni pod opieką lekarza wojskowego.

Elektrownia, jako punkt strategiczny, podlegała armii. Korpus oficerski składał się wyłącznie z SS. Ale większość oficerów, podobnie jak Wolfgang Mann, przejęła zeń jedynie mundury i oznaczenia.

Elektrownia znajdowała się pod kontrolą ludzi Manna.

Ciężarówka, do której załadowano beczki, podskakiwała na wybojach, co dla Johna, skulonego w pojemniku razem ze sprzętem bojowym, nie było zbyt przyjemne.

Na rampie wyładunkowej, położonej nieopodal oficyny wydawniczej Nowej Ojczyzny, przesiadli się do pojazdu przypominającego mikrobus. Karabinki ukryli pod podłogą. Czekali na nich niemieckie mundury. Rourke raz jeszcze miał okazję podziwiać przysłowiową niemiecką precyzję. Ubrania leżały jak ulał. Mimo to nie uważał, żeby Sarah i Natalii było w nich do twarzy.

Mikrobus nie miał okien. Przez przednią szybę zauważył, że zatrzymują się przed wysokim budynkiem. Szybko wysiedli. W pobliżu oczekiwała ich pani Mann. Gestem nakazała pośpiech.

Gdy stanęli przed urządzeniem o wyglądzie windy towarowej, Mann powiedział, uprzedzając pytanie Johna:

- Wysocy rangą oficerowie mają prawo do posiadania prywatnych pojazdów. Ich ilość jest ograniczona, ponieważ nie chcemy mieć problemów związanych z nadmiernym ruchem, szczególnie, że system oczyszczania powietrza ma ograniczoną wydajność. Stąd zresztą elektryczny napęd mikrobusu.

Weszli za panią Mann do windy. Natalia zdjęła wojskową czapkę khaki i wepchnęła ją do kieszeni spódnicy. Podobnie jak Sarah, Natalia miała przewieszoną przez ramię dużą torbę z bronią.

Drzwi zamknęły się z sykiem. Pani Mann włożyła klucz w otwór płyty rozdzielczej ustalający piętro.

Winda ruszyła i prawie natychmiast zatrzymała się. Pani Mann wyszła pierwsza. Rourke trzymał w ręku jeden z detoników, drugi znajdował się wraz z resztą uzbrojenia w worku na narzędzia.

- Bitte!

Wyszli na korytarz. Pani Mann wskazała ręką:

- Geradeaus.

Rourke skinął głową. Z ręką na pistolecie przeszedł obok drzwi z napisem "Ausgang". Skręcił. Obejrzał się za siebie. Pani Mann biegła w jego kierunku, w jednej ręce trzymając szpilki, w drugiej torebkę.

- Tędy, doktorze.

- Mówi pani po angielsku? - zapytał.

Korytarzem biegły Sarah i Natalia. Mann był ostatni. Zatrzymali się przed jakimiś drzwiami. Żona Manna przekreśliła klucz w zamku, spoglądając przez ramię.

- Schnell!

John odsunął się, przepuszczając Sarah i Natalię. Gdy wszedł, rozejrzał się po mieszkaniu. Był to przestronny apartament. W salonie z wysokim sufitem zaciągnięto zasłony w oknach. Najprawdopodobniej wychodziły one na Complex.

Usłyszał trzask zamykanych drzwi. Odwrócił się. Mann śmiał się radośnie, trzymając żonę w objęciach.

Rozgościwszy się w mieszkaniu Mannów, wszyscy kolejno wzięli prysznic. Rourke siedział teraz czysty, z mokrą głową, naprzeciwko pani Mann i jej męża, na jednej z dwóch niebieskich kanap. Wolfgang też się wykapał. Był w szlafroku, z ręcznikiem narzuconym na szyję.

Pani Mann przygotowała dla nich ubrania. Jak zwykle, pasowały. John założył niebieską koszulę, spodnie w tym samym kolorze i czarne buty na gumowej podeszwie. Obok leżała cienka, czarna kamizelka, podobna do bezrękawników klubu "Members Only", noszonych przed Nocą Wojny.

- Wygląda pan na zrelaksowanego, doktorze - odezwała się pani Mann.

Uśmiechnął się do niej:

- Pozory mylą, mówi pewne angielskie powiedzenie. Sądzę, że w języku niemieckim istnieje jego odpowiednik.

Przyglądał się jej pięknej twarzy, dostrzegając teraz szczegóły, których wcześniej nie zauważył.

- Pani natomiast jest czymś zdenerwowana.

Miał już przypasane kabury z detonikami. Ufał Mannom, ale zawsze zachowywał jak największą ostrożność.

- Ma pan rację. - Uśmiechnęła się. - Kiedy ubieraliście się, doszły mnie niepokojące wieści o jednej z kobiet z organizacji.

- Jakie, kochanie? - zapytał Mann, wycierając ręcznikiem włosy.

- Aresztowano Helenę Sturm.

- Mein Gott, ależ ona...

- Kto to jest Helena Sturm? - przerwał mu John. Pani Mann zwijała w palcach rąbek spódnicy.

- Ona... jest raczej ważna. Oprócz mnie tylko ona знаła dokładnie nasze plany...

- No, to wspaniale - zauważył Rourke. - Myślę, że nie zabraknie im sposobów, by zmusić ją do mówienia

- Jest w ciąży. Nie sądzę, żeby próbowali... - zaczął Mann.

- Ależ, Wolf - pani Mann objęła męża za szyję - oni użyją wszelkich środków. Nie będą mieli żadnych względów dla nie narodzonych dzieci. Może powinienesz przerwać ciszę radiową i powiadomić jej męża?

- On jest nazistą. Obawiam się, że kocha partię bardziej niż własną żonę. - Mann ucałował jej włosy, po czym delikatnie oswobodził się z objęć.

Podszedł do okna. Zasłony były już rozchylone. Rourke mógł zobaczyć wreszcie Complex.

Miasto było całkowicie wbudowane w górę. Zakres wiedzy inżynierskiej, potrzebnej do sfinalizowania takiego przedsięwzięcia, przekraczał jego wyobrażenia. Wykopać ogromny szyb, założyć taka ilość ładunków, żeby nie wysadzić całej góry w powietrze, a jednocześnie wydrzeć jej wielką przestrzeń pod zabudowę - to wszystko wydawało mu się nie do pomyślenia. Ale Niemcy byli

przecież najlepszymi inżynierami na świecie. Oceniał wysokość niektórych budynków na dwadzieścia pięter i więcej, chociaż ich podstawa nie przekraczała trzech mil kwadratowych.

- Musimy ją stamtąd wyciągnąć - oświadczył.

- Dokładnie tak, John. - Wolfgang Mann odsunął się od okna. - Dokładnie.

- Kogo?

Rourke odwrócił się w kierunku głosu. Sarah. Uśmiechnął się. Kiedyż to ostatni raz widział ją w spódnicy i nylonowych rajstopach? Pantofle na wysokim obcasie... Przypomniawszy sobie: w rocznicę ich ślubu, parę miesięcy przed Nocą Wojny. Stała przed nim teraz w szarej sukience do kolan, z długim rękawem i małym, skromnym dekoltem. Włosy miała zaczesane do góry, w uszach perłowe kolczyki i sznur pereł wokół szyi.

- Wyglądasz prześlicznie!

Zarumieniła się. Chrząknęła z zażenowaniem i zapytała ponownie:

- Kogo będziemy ratować?

Nie zdążyła odpowiedzieć. Przerwał mu głos Natalii:

- Jest piękna, John.

Spojrzał na Natalię. Ubrana na czarno, co było do przewidzenia Sukienka podobna w kroju do sukni Sarah, krótka kamizelka. Złote kolczyki i takiż łańcuszek były jej własne - pamiętał je. Gdy wiatr rozwiewał włosy Natalii podczas jazdy motorem, widać było właśnie te kolczyki.

- Zarówno pańska żona, jak i przyjaciółka są piękne. Miałam rację - ciągnęła pani Mann. - Bez najmniejszej wątpliwości mogą uchodzić za żony naszych oficerów, kobiety z elity.

John bez słowa odwrócił się i popatrzył na panią Mann.

- Kim jest osoba, której musimy pomóc? - dopytywała się Natalia.

- Helena Sturm - odpowiedział Wolfgang Mann. - Należy do przywódców naszej organizacji.

Oprócz nas, tylko ona w całym Complexie zna szczegóły planu. Jest w ciąży...

- Czas rozwiązania jest bliski - wtrąciła pani Mann. Sarah i Natalia usiadły na sofie.

- Czy wie pani, dlaczego ją aresztowano? - zapytał John. - i dokąd ją zabrano? - dodała Natalia.

Pani Mann nerwowo pocierała dłonie. Siedziała na oparciu kanapy, obok męża.

- Obawiam się, że to sprawka jej najstarszego syna, Manfreda. Helena ma jeszcze trzech innych. Ale Manfred oddany jest Jugendowi duszą i ciałem. Obawiam się, że zdradził matkę. Jeżeli tak, to Helena musi być teraz na przesłuchaniu i nie znajdziemy jej w izbie zatrzymań, lecz w nowo oddanym budynku rządowym, na powierzchni.

- Niech pani spróbuje potwierdzić te wiadomości, nie wzbudzając podejrzeń - powiedział Rourke. - Kiedy będziemy ich pewni, pójdziemy po nią. Dieter Bern musi poczekać.

Nie mieli wyboru. Nawet gdyby ich nie wydała, ze względu na jej stan nie mogli jej zostawić.

ROZDZIAŁ XXVIII

Annie Rourke dała za wygraną. Nie mogła rozwiązać sznurów krępujących jej ręce. Były z miękkiego, sztucznego tworzywa, potrójnie plecione.

Forrest Blackburn, zmusiwszy ją do wejścia na pokład sowieckiego helikoptera pod groźbą użycia pistoletu, bardzo zręcznie - musiała to przyznać - wymierzył jej cios w środek szczęki. Gdy się ocknęła, byli już w powietrzu. Annie siedziała przywiązana do fotela. Ręce miała spętane przed sobą.

Blackburn założył jej na uszy słuchawki. Zagrzmiął w nich jego głos:

- Postęp sowieckiej techniki jest zaskakujący.

- Paul cię zabije - powiedziała do maleńkiego mikrofonu, umieszczonego przy ustach. - Jeśli nie uprzedzi go Michael lub tata.

- Doprawdy? Będę ci mówił "Annie", zgoda? Twój kochany tatuś jest w Argentynie, braciszek nie czuje się najlepiej, a biedny pan Rubenstein, jeżeli w ogóle żyje po moim ciosie, nie będzie zdolny ruszyć w pościg. Zaś kapitan Dodd ma pełne ręce roboty, no, i nie będzie narażał swego bezcennego personelu, żeby wyzwolić niesforną dziewczynę z rąk ostatniego sowieckiego agenta. - Blackburn roześmiał się. - Ze mną będzie ci naprawdę najlepiej. Trzymaj się mnie, a dłużej żyjesz.

Wiedziała, że ojciec by się gniewał, nie mówiąc o matce, ale nie mogła się powstrzymać od okrzyku:

- Pieprzę cię!

- Cieszę się, że poruszyłaś tę sprawę. Właśnie tym się zajmiemy niedługo. Od pięciu wieków nie miałem kobiety. Pięć wieków...!

- Szkoda, że nie powiedziałaś "o Boże!"

- Może okażesz się podobna do mamusi i tatusia. To byłoby bardzo smutne.

- Dokąd, u diabła, lecimy? - starała się zmienić temat. - Do Karamazowa?

- Nie. To ostatni człowiek, którego chciałbym zobaczyć, przynajmniej na razie. - Forrest przełknął ślinę.

Annie patrzyła przez chwilę na łopatki wirnika, potem przeniosła wzrok na dół. Przez szybę obserwacyjną widziała skaliste podłoże. Przed nimi rozciągała się oślepiająca, jednolita biel. Lecieli na północ.

- Myślałam, że Karamazow jest twoim szefem. - Jej palce drętwiały.

- Był. Ale nigdy mu nie ufałem. Nawet pięć wieków temu. - Uśmiechnął się jakby do siebie.

Manipulował sterami. Patrząc przez wizjer, Annie widziała zbliżającą się ziemię. "Chyba będziemy lądować" - pomyślała.

- Kiedy pięćset lat temu Karamazow zaczął podejrzewać, że "Projekt Eden" istnieje, kazał mi przeniknąć do niego. Nie ufałem mu, więc chciałem mieć jakąś gwarancję na przyszłość. I dostałem ją. Nie od niego, chyba nawet o tym nie wiedział. Dostałem lokalizację Podziemnego Miasta.

- Czego? - Zakaszłała. - Czy my lądujemy?

- Podziemne Miasto to projekt, który moi mocodawcy zaczęli realizować na krótko przed tym, co wy nazywacie Nocą Wojny. Teraz jest już ukończony i samowystarczalny. Przeszedł dawno przez fazę eksperymentu. Tak, lądujemy. Jedno Karamazow dla mnie zrobił, sprawdziłem to zresztą: w stu miejscach na obszarze Stanów Zjednoczonych - bo nie mógł wiedzieć, gdzie wyląduje "Projekt Eden" - rozmieścił pojemniki z zapasami, specjalnie dla mnie. Hermetyczne kontenery z paliwem. Brort. I racje żywnościowe, na wszelki wypadek. Nie masz pojęcia, ile trzeba czasu na zapamiętanie stu zestawów współrzędnych.

Annie miała ochotę się roześmiać. Był przynajmniej dobrym pilotem. Podchodzili do lądowania. Spojrzała na Blackburna. Śmiał się.

- Pewnie myślisz, Annie, że po tym, co się stało, współrzędne magnetyczne zmieniły się. Masz rację. Ale zrobiłem odczyt z instrumentów "Edena I", wypisałem z pamięci współrzędne i znalazłem współczynnik korekcyjny. Jesteśmy na miejscu.

Skradziony - jeśli chodzi o ścisłość, dwukrotnie - sowiecki helikopter usiadł na ziemi. Prawie tego nie poczuła. Blackburn przyciskał guziki i pstrykał przełącznikami, gasząc silnik.

- Widzisz - mówił, nie patrząc na nią - jak znajdę te pojemniki, podlecimy bliżej i zabierzemy je. Potem polecimy do Podziemnego Miasta, gdzie zostanę bohaterem na miarę surrealistycznych wyobrażeń. Gdyby komuś przyszło do głowy nas ścigać... cóż... - Ściągnął swoje słuchawki i nachylił się, żeby zdjąć jej. Dziewczyna krzyknęła, kiedy pasmo włosów zaczepiło się o przewody. Zaczął wyplątywać włosy Annie. - ...Jesteś zakładniczką i niewątpliwie chcieliby odzyskać cię żywą.

Uwolnił jej włosy. Potrząsnęła głową, odrzucając je z twarzy.

Forrest Blackburn wyskoczył z maszyny, zabierając ze sobą klucz. Przeszedł na drugą stronę i otworzył drzwi.

Kawałkiem sznura skrępował kostki Annie, przywiązując ją do fotela.

- Uważasz, że dokąd pójdę? - zapytała.

- Nigdzie - odpowiedział z grzecznym uśmiechem.

Stał nad nią przez chwilę. Wysoki, przystojny, czarnowłosy, ubrany w dużą kurtkę z kapturem, niegdyś chyba wojskową. Zerwał szalik z jej ramion. Pochylił głowę Annie do przodu i zakneblował jej usta. Miała uczucie, że za chwilę się udusi.

- Teraz jesteś bezpieczna. A to nauczy cię myśleć, jak należy. - Rozpiął jej płaszcz, zadął spódnicę i halkę.

Chciała krzyknąć, ale knebel tłumił głos. Z jej ust wydobywały się tylko ciche jęki. Blackburn zdął z niej bieliznę. Spojrzał na Annie i roześmiał się.

- W ten sposób zmarzniesz trochę, więc nie pogardzisz odrobiną ciepła, gdy wrócę. Na razie.

Zatrzasnął drzwi helikoptera. Zostawił ją nagą od pasa w dół, upokorzoną i zalęknioną. Zaczęła płakać. Ale budziło się w niej już coś innego. Szukała odpowiedniego określenia. "Bunt."

ROZDZIAŁ XXIX

- Paul, odpowiedz mi, do jasnej cholery! - John?
- Michael. Co, u diabła, się stało? Paul Rubenstein otworzył oczy.
- Michael... - powiedział.
- Przynieśli cię tu nieprzytomnego. Czy to ma związek z Annie?

Madison wtrąciła cichym głosem:

- Mówiłam ci, żebyś nie wstawał.
- Nic mi nie będzie - odburknął Michael.

Oparł się o brzeg łóżka Paula. Od czasu operacji nie wstawał i mięśnie brzucha bolały go, kiedy się poruszał. Plecy, z których ojciec powyciągał mu kule, bolały również. Wyprostował się i oparł o maszt namiotu. Madison podeszła do niego, gubiąc po drodze szal. Wyciągnęła ręce, by podtrzymać Michaela.

- Nic mi nie jest, Madison - wyszeptał Michael Rourke. Wiedział, że jego głos przypomina głos ojca. Wszyscy tak twierdzili. Ale Johna tu nie było. Los Annie zależał od niego i Paula. I od Madison.

Paul uniósł się na łokciu. Twarz miał bardzo bladą.

- Co tu się dzieje, Paul? Doktor Munchen przyniósł cię, przy okazji zbadał mnie. Pożartował z Madison, powiedział, że po oczach poznaje się kobietę w ciąży.

Madison roześmiała się.

- Tego nikt nie potrafi. Ale on ma rację, że tutaj - dłońmi dotknęła brzucha - jest życie.

Paul potrząsnął głową. Usiadł mimo bólu. Prawą ręką wyciągnął z kieszeni derringera.

- Munchen jest w porządku. Wiedział, że go mam.

- O co chodzi, Paul? Gdzie Annie?

- Munchen ci nie powiedział?

- O czym?

- Annie... to znaczy, Forrest Blackburn jest sowieckim agentem. Porwał Annie i uciekł helikopterem. Dodd powiedział, że Blackburn nie uleci daleko, bo nie ma paliwa. Ale nie chciał wysłać pościgu.

- My pojedziemy. Równie dobrze mogę leżeć w ciężarówce - oświadczył Michael.

- Ja poprowadzę - zadeklarowała się Madison. Michael przyciągnął ją do siebie.

- Sądzę, że mogłabyś.

- Tak zrobimy. Ja wezmę to. - Paul wskazał na derringera Annie. - Ładujemy się na ciężarówkę.

Zostawiłem tam zapasowego high powera i parę magazynków. Znalazłem go w Arce - spojrzał z uśmiechem na Madison - i zabrałem, tak na wszelki wypadek. Wiemy, gdzie są rozmieszczone zapasy strategiczne, a Blackburn nie. Złapiemy go, gdy tej pieprzonej maszynie zabraknie paliwa.

- Madison zostanie. Sam mogę prowadzić. - Michael ledwie trzymał się na nogach.

- Nie. Twój ojciec, Michael, nie zostawiłby jej tu na pastwę losu. A wyprawa dwóch kalek, które

nie chciały wziąć ze sobą jedynej zdrowej osoby, też by mu się nie spodobała.

- Przecież ona jest w ciąży.

- No i dobrze. Na szczęście to nie dziewiąty miesiąc. Ma jeszcze trochę czasu.

Michael westchnął i osunął się na łóżko. Madison ułożyła mu nogi. Leżał płasko, wpatrzony w sufit.

- W porządku, Paul. Masz więcej doświadczenia.

- Owszem, ale to ty nazywasz się Rourke. - Zaśmiał się i natychmiast złapał za brzuch.

- Dobra. Co robimy?

- Na początek... - przerwała mu Madison.

”Coś mi się zdaje, że zaraziła się od Annie” - pomyślał Paul.

- Mogłabym wziąć derringera, zgadzasz się?

- Mogłabyś, ale nie weźmiesz - powiedział Michael.

- Nie przerywaj jej - wtrącił Paul.

Michael patrzył, jak Madison podnosi z podłogi szal i owija go wokół tułowia. Zaczęła przechadzać się tam i z powrotem. Spódnica w lewo, długie włosy w prawo. Raz, dwa, raz, dwa...

- Wezmę pistolet Annie i pójdę do ciężarówki taty Rourke'a. Jeżeli nie jest strzeżona, podjadę nią tutaj. Jeżeli jest, to już nie będzie.

Paul roześmiał się, a Madison odrzuciła do tyłu włosy, patrząc na niego.

- Wrócę tutaj i razem z Paulem pomożemy ci wsiąść, Michael. Pojedziemy do Dodda i poprosimy, żeby oddał nam broń. Jeżeli nie zechce, sami weźmiemy. Pasuje?

Twarz Paula rozjaśniła się w szerokim uśmiechu.

- Wiesz, Michael, John miał rację. Zrobimy z niej prawdziwą Rourke. - Włożył rewolwer w jej dłoń. - W porządku, Madison, jest twój. Pamiętaj, iglicę trzeba tak ustawić, by dolny pocisk wyszedł pierwszy. Wówczas celność jest największa. Rozumiesz?

- Tak, Paul.

ROZDZIAŁ XXX

John Rourke z teczką w ręku szedł ulicami Complexu. Wielu mężczyzn nosiło podobne. Jednak różniły się zawartością. Rourke miał w teczce pythona i amunicję. Znajdowały się tam również detoniki "Scoremaster", które swego czasu zabrał z Arki i do tej pory nie miał okazji ich zwrócić, oraz zapasowe magazynki. Pod pachą, w podwójnej kaburze "Alessi", spoczywały detoniki "Combat Masters".

Idąc nieskazitelnie czystym chodnikiem, widział przed sobą panią Mann, Sarah i Natalię. Ubrane, jakby dopiero wyszły z renomowanego salonu mód, zdawały się przechadzać bez celu.

W skórzanej torebce przewieszanej przez ramię Natalia ukrywała L-framy, PPK/S z tłumikiem też tam był. Rourke wiedział, że podwiązka na lewym udzie Natalii przytrzymuje nie tyle pończochę, co umieszczonego po wewnętrznej stronie nogi bali-songa.

W torebce Sarah, oprócz trappera scorpiona, do którego przyzwyczała się po Nocy Wojny, zanim John ją odnalazł, leżał też wysłużony i rdzewiejący 1911AL Sarah nigdy się z nim nie rozstawała.

Rourke zatrzymał się przed witryną sklepową. Wystawiono w niej książki. Nie trzeba było biegłej znajomości niemieckiego, żeby zorientować się, iż zostały napisane przez wodza lub o nim. Uśmiechnął się do swego odbicia. Może już niedługo dzieła te będą białymi krukami.

W szybie odbijała się twarz Wolfganga Manna. Jego obraz nałożył się na portret wodza, którego oblicze starano się upodobnić do twarzy Hitlera.

Gdyby John nie wiedział, że to Mann, nigdy by go nie poznał. Ubrany w garnitur, który pamiętał lepsze czasy, wyglądał na biznesmana XXV wieku. Siwa peruka, sztuczne wąsy, wymięta czapka i laska stanowiły atrybuty starości. Pod pachą Mann trzymał pogniecioną paczkę. Zawierała ona jego służbowy pistolet i zapasowe magazynki. Laska była zakamuflowaną szpadą - relikwiarz przeszłości, spadek po przodku, który walczył przeciw ludzkości u boku Hitlera. Dziś miała stać się bronią przeciwko dziedzicom Rzeszy fuhrera.

"W życiu zawsze znajdzie się odrobinę poezji" - pomyślał John.

Minął księgarnię i szedł dalej, patrząc przed siebie. Natalia, Sarah i pani Mann zbliżały się do wyjścia z Complexu.

Sarah Rourke poczuła się dziwnie, ujrawszy swe odbicie w szybie sklepu z sukniami. Oglądały właśnie najnowsze modele.

Gdy po raz pierwszy zobaczyła się w lustrze, ubrana w rzeczy dostarczone przez panią Mann, miała wrażenie, że śni. Droga suknia, wysokie obcasy, biżuteria, kunsztowne uczesanie, makijaż. Nie pamiętała już, jak to jest, kiedy ma się umalowane usta. Teraz miała także cienie na powiekach.

W tej chwili wydawało się to bardziej rzeczywiste niż czekająca je akcja, walka i przemoc - do czego przez długie lata była przyzwyczajona, a co zawsze napawało ją przerażeniem.

Jeżeli Johnowi się uda i wódz zostanie obalony, co wtedy? Czy na ulicach rozpocznie się walka? Czy kobietom takim jak pani Mann i Helena Sturm nie odbiorą sklepowych wystaw? Czy dalej będą

mogły podziwiać najnowsze kroje i dodatki?

Pomyślała o swoim mężu. Znowu kochali się po tylu wiekach przerwy. Pamiętała uczucie rozkoszy, gdy gęsta sperma wypełniła jej ciało. Uświadomiła sobie, że może być w ciąży. To przecież jej płodny okres. Oblizwała wargi - poczuła smak pomadki i czegoś nieokreślonego.

Natalia i pani Mann odchodziły od wystawy. Sarah czuła się między nimi jak kopciuszek. Uroda obu była olśniewająca. Wyglądały jak modelki z okładek "Vogue'a". Usiłowała przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz widziała to pismo. U dentysty, gdy Annie złamała mleczny ząb.

Były u wyjścia z Complexu. Jeśli jest w ciąży, chciałyby, żeby to był chłopiec. Urodzony przywódca - Rourke, jak jej mąż i Michael. Pełen męskich cnót, które pomogłyby przywrócić cywilizację. To nie jest świat dla kobiet.

Znajdowały się poza Complexem, w blasku dziennego światła. Natalia swobodnie rozmawiała po niemiecku z panią Mann. Sarah potakiwała niemądrze, nie rozumiejąc ani słowa. O czym mogły mówić? W pobliżu kręcili się niemieccy żołnierze. Z pewnością o przepisach kulinarnych i fatalaszkach. Sarah nie znosiła takich rozmów.

Ale jeśli jest w ciąży... Strażnik zsalutował pani Mann. Zatrzymała się, by z nim porozmawiać. Sarah zrozumiała, że ją przedstawiono i uśmiechnęła się do żołnierza. Czy gdyby była w ciąży, John porzuciłby nadzieje związane z Natalią? Czy naprawdę by tego chciała?

Nauczyła się żyć niezależnie od niego, być odrębną istotą, nie tkwić w cieniu męża. Teraz fakt narodzin kolejnego dziecka miałby na powrót przywiązać ją do Johna?

Czego musieliby sobie odmówić? Czy zdążyli się już poddać?

Ale wiedziała, że go kocha.

Rourke stanął, kiedy zobaczył, że kobiety zatrzymały się. Pozwolił, by Mann go minął.

Patrzył na najbliższą witrynę. Broń biała. Żaden z wystawionych tam noży nie był wart jego gerbera. Uśmiechnął się. Kiedy pani Mann, Sarah i Natalia przechodziły koło tej wystawy, Natalia pogardliwie kiwnęła głową. Na pewno nie zamieniłaby swojego bali-songa na jakikolwiek inny, choć liczył już sobie pięć wieków.

Natalia, Sarah...

Wpatrywał się we współczesną wersję noży szwajcarskiej armii. Była ich cała gama, różnych rozmiarów, z instrukcją obsługi.

Czy Sarah jest w ciąży? Dlaczego kochali się tej nocy? Ponieważ nadal darzył ją miłością. Tego był pewny. Tylko to trzymało go przy życiu, zanim ją odnalazł.

Był ciekaw, co Sarah myśli o nim.

Zawsze czuł się nieswojo w otoczeniu ludzi, którzy uważali go za niezwyciężonego bohatera o niewyczerpanych zasobach odwagi. Widział to w oczach Paula, Michaela, Annie. W oczach Natalii.

Nigdy nie traktował siebie jak kogoś niezwykłego. Od dzieciństwa przebywał w swoistym odosobnieniu. Z wyboru. Interpretowano to jako milczący wyraz odwagi. Koncentrował się na wybranym celu, żeby uniknąć zbędnych wyborów. Wszystko planował wcześniej, bo nie wierzył w pomysłowość innych. Polegał na sobie - w ten sposób zabezpieczał się przed niekompetencją świata.

Cenił Paula. Łączyło ich wzajemne zrozumienie. Prawdziwa męska przyjaźń.

Natalia - również niezawodny przyjaciel, ale John wyczuwał w niej zmysłowość, której nie sposób opisać. A jednak nigdy nie wykroczyli poza granice bliskich, lecz tylko przyjacielskich układów.

Sarah bardzo się od niej różniła. Mimo to lubiły się. Nawet teraz.

Patrzył na myśliwski nóż z plastikową rękojeścią. Nie stosowano już jeleniego rogu ani kości słoniowej.

Poszedł naprzód. Piękna, dumna Sarah była jego żoną. Istotę równie piękną i silną uczynił w myślach swoją kochanką. Kobiety przeszły przez bramę Complexu. Widział je już po drugiej stronie.

Natalia Anastazja Tiemierowna przyglądała się wysokiemu budynkowi rządowemu, w którym znajdowała się główna kwatera Jugendu. Starła się nie zwrócić niczyjej uwagi. Dłońmi przeciągnęła po udach, wygładzając sukienkę.

John. Sarah. Ich małżeństwo znowu zostało spełnione. Powiedziała mu, że jest z tego zadowolona. I była. Dawno już zrezygnowała z kłamstw. Jak każdy, kto kiedyś żył tylko nimi. Prawda była najważniejsza.

John kochał ją i kochał Sarah. Wobec Sarah miał obowiązki. A John wywiązywał się z obowiązków.

Zawsze będzie go kochać. Ale ta miłość nigdy nie będzie zmysłowa.

Sarah - piękna kobieta, z gatunku tych, które nie znają swej urody.

Pani Mann wyszeptala:

- Wchodzimy, zanim ktoś zwróci na nas uwagę.

- Twój angielski jest doskonały. - Natalia uśmiechnęła się do niej.

- Wolfgang mnie nauczył. W ten sposób wprawiał się w mówieniu, zanim wszedł do korpusu oficerskiego. Nie byliśmy wtedy małżeństwem. Ale był moim kochankiem. Od zawsze. - Rumieniec oblał jej blade policzki.

Oczy Sarah i Natalii spotkały się.

- Pani Mann ma rację. Lepiej wejdźmy - powiedziała Sarah.

- Tak - zgodziła się Natalia.

Jej stopy odwykły od wysokich obcasów, lecz gdy zobaczyła swoje odbicie w przydymionych szybach okien budynku, stwierdziła, że warto było się pomęczyć. Znała wartość swojej urody. Często mówiono jej, że jest piękna. I przeważnie potrafiła to wykorzystać.

Zniżając głos, tak by nawet pani Mann nie słyszała, zwróciła się do Sarah:

- Cieszę się z tego, co było między tobą i Johnem.

- Powiedział ci? - spytała Sarah bez cienia uśmiechu.

- Nie musiał. Kiedy tylko unieszkodliwimy Karamazowa, odejdę.

- To niczego nie zmieni. Nie chcę, żebyś odchodziła.

- Niczego nie należy zmieniać. Jesteś jego żoną. To wystarczy.

- Kocha cię nie mniej niż mnie. I pożąda cię bardziej niż mnie.

- Dzięki. Wiesz, że nic między nami nigdy nie zaszło. Przysięgam.

Zdobyła się na wymuszony uśmiech. Nie chciała wzbudzać podejrzeń przechodniów.

Było duszno. Wysoka temperatura i duża wilgotność - tropik. Na szczęście miała na sobie cienką sukienkę. Świeciło słońce. Lśniaca zieleń trawy przy wejściu do budynku przypominała świeżo odkurzony dywan.

- Kocha się z tobą w myślach. Znam to spojrzenie. I widzę je również w twoich oczach. To naprawdę niezwykle.

- Jest twoim mężczyzną, jakby na to nie patrzeć.

- Czyżby? - Sarah uśmiechnęła się i przyspieszyła kroku. Natalia przystanęła na chwilę, po czym ruszyła za Sarah. Obcasy wybijały równy rytm.

Gdy wejda do budynku, zacznie się. Jak zwykle.

Rourke minał strażę. Zatrzymali go okrzykiem. Odwrócił się. Przyciągnął teczkę do uda. Odezwał się po niemiecku:

- Czy coś się stało?

- Nie przypominam sobie pana.

Uśmiechnął się z wysiłkiem. Słońce raziło go, ale zrezygnował ze słonecznych okularów. W Complexie nikt ich nie nosił.

- A ja widuję was często, kapralu. Macie służbę we środy od ósmej do czwartej. Raz widziałem pana w niedzielę. Warto być spostrzegawczym.

- Chyba tak. A co jest w pańskiej teczce? Rourke roześmiał się.

- Chcecie zobaczyć plik nudnych papierów? A może skonfiskujecie je? Nie musiałbym dzisiaj pracować. Mógłbym rzucić winę na was. Zgoda?

Żołnierz stojący obok kaprala zaczął się śmiać. Kapral potrząsnął głową.

- Proszę przejść. Współczuję panu z powodu tej roboty.

- A ja nie zazdroszczę wam stania. - John odwrócił się na pięcie i poszedł naprzód.

W prawym rękawie miał ukryty sztylet, który podarował mu A.G. Russel pięć wieków temu. Ruch ramienia umieściłby go w dłoni. Dla kaprala był to szczęśliwy dzień.

Rourke zmierzał w kierunku budynku rządowego. Jego wygląd był imponujący, choć nieco surowy. Zmrużył oczy. Sarah, Natalia i pani Mann wchodziły do środka.

Akiro Kurinami nerwowo przeciągnął ręką po komorze naboju M-16. Elaine Halwerson przez chwilę patrzyła na niego, po czym wróciła do obserwacji Complexu. Z ukrycia na wzniesieniu w dżungli widać było wejście do twierdzy nazistów. Nie zastanawiając się nad tym, co mówi, spytała:

- O czym myślisz, Akiro?

- O czym myślę? Że jako japoński pilot jestem tu trochę nie na miejscu, pomagając jednej frakcji Niemców zwalczać drugą w sercu argentyńskiej dżungli.

Podobne myśli już od momentu przebudzenia kłębiły się i w jej głowie. Jeżeli skończy się walka i pozostaną przy życiu, dopiero wtedy naprawdę odczują to, co się stało. Ona już zaczynała to odczuwać.

- Miałam rodzinę. Nie męża czy dzieci, ale jednak rodzinę. I już ich nie mam.

- Taka kobieta jak ty powinna była wyjść za mąż - powiedział Japończyk, gdy odłożyła lornetkę.

- Nie jestem taka atrakcyjna, poza tym nikt mi się nie oświadczył. No - przypomniała sobie - był taki chłopak, ale robiłam akurat doktorat i myślałam, że to może poczekać. Wtedy naprawdę wierzyłam, że mamy dużo czasu.

Spojrzała w jego ciemne oczy. Był w nich smutek.

- Ja miałem żonę i dwoje dzieci. Nie zgłaszałem się na ochotnika do międzynarodowego korpusu astronautów. Dostałem przydział od mojego rządu. I myślałem, że dla mojej ojczyzny będzie zaszczytem, jeśli Japończyk któregoś dnia wyląduje na obcej planecie. Byłem lekkomyślny i przyjąłem. Mój wuj... on był w Hiroszynie, gdy spadła bomba, a teraz...

- Nie chciałam...

- Moja żona była piękną kobietą. I łagodną. Stanowiła w waszym pojęciu typ idealnej żony. Ciągle jeszcze ją kocham. Miała przyjechać do mnie, do Ameryki. Wynająłem dom w stylu japońskim, z ogródkiem. Wiem, że by się jej spodobał. Dzieci mówiły po angielsku lepiej od niej.

Nie mogła się nauczyć. - Odwrócił wzrok.

- To... - Elaine dotknęła ucha, bolało po tym, jak Natalia powtórnie je przekłuła. - A jednak ci zazdroszczę.

- Tego, że straciłem rodzinę?

- Że ja w ogóle miałeś - powiedziała cicho. - Teraz rozumiem: nierozważny, młody człowiek to po prostu maska.

- W pewnym sensie, Elaine. Ale nie ma powodów, by być ostrożnym.

Wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia. Nie odsunął się.

Rourke przeszedł przez szklane drzwi. Na wprost wejścia wisiało malowidło przedstawiające wodza w morzu płomieni. W ręku trzymał czerwono-czarną flagę nazistowską.

Sklepienie było wysokie. Z sufitu zwisały metalowe rzeźby, umieszczone na różnym poziomie. Sam sufit był lustrzany.

Pod ścianą, w pobliżu malowidła stało wysokie biurko. Gdyby ktoś spróbował przy nim usiąść, całkowicie by go przesłoniło. Dwaj umundurowani mężczyźni, pozornie bez broni (choć John nie dał się zwieść pozorom), stali za biurkiem. Rozmawiali z ubogo ubranym staniszkim. Natalia weszła pierwsza. Za nią Sarah, która zdawała się czegoś szukać w torebce. Prawą rękę Natalia chowała za udem. Pani Mann przyłączyła się do nich i zaczęły cicho rozmawiać.

Rourke uśmiechnął się. Był na tyle blisko, by słyszeć rozmowę wartowników z przebranym Mannem.

- Ja do pana Goethlera. Muszę zobaczyć się z przełożonym Jugendu.

- Goethler nie przyjmuje każdego. Musi pan starać się oficjalnymi kanałami. Dam panu numer telefonu. Proszę zadzwonić jutro.

- Ale przeszedłem taki szmat drogi. To bardzo ważne. Natalia uniosła pistolet z tłumikiem. Odezwała się po niemiecku, bez śladu obcego akcentu:

- Nie jest pan grzeczny dla starszych.

Strażnik spojrział w jej stronę. Kula trafiła go między oczy. Upadł. Natalia nieznacznie przesunęła pistolet w lewo, oddając dwa strzały. Drugi strażnik dostał w szyję i lewe oko. John był już przy biurku, gdy mężczyzna padał. Zdażył założyć słoneczne okulary.

Upuścił aktówkę i podtrzymał ciało. Pani Mann - blada jak ściana - i Sarah zaciągnęły je za biurko.

Wolfgang Mann rozwinął paczkę. Wyjął podobny do walthera, służbowy pistolet. Zapasowe magazynki wsunął do kieszeni. Papier wepchnął pod biurko.

Sarah trzymała trappera kaliber 0,45. Natalia ładowała magazynki PPK/S.

Rourke wyjął z aktówki pas z nabojami, kaburę i nóż. Sięgnął do chlebaka po zapasowe magazynki i urządzenie do szybkiego ładowania pythona. Przewiesił go przez ramię. Wreszcie wyjął dwa scoremastery i włożył je do przednich kabur pasa.

Spojrzał na Sarah. W obu rękach trzymała pistolety.

Natalia wyglądała śmiesznie z podwójną kaburą "Safari-land" na biodrach. Nie pasowała do jej eleganckiej sukienki i szpilek.

Pani Mann miała pistolet podobny do pistoletu męża.

- Którędy? - zapytał John, wyciągając z rękawa stinga i mocując go przy pasie.

- Cofniemy się tym korytarzem. Później schody lub winda do piwnicy. Na pewno tam trzymają Helenę - powiedział Mann.

John skinął głową i puścił się biegiem. Zerknął na tarczę rolexa. Zmiana warty przewidziana była za godzinę. Ale mógł nadejść ktokolwiek i odkryć zwłoki strażników.

Minął windy i zwolnił.

- Natalia, sprawdź, czy nie mają alarmu. Pospiesz się. Biegając niezgrabnie w pantofelkach i obcisłej sukience, przemknęła obok niego. Przykucnęła przy drzwiach. Spróbowała delikatnie obrócić klamkę.

- Nie jestem pewna, ale chyba nie.

Rourke kiwnął głową. Natalia odsunęła się. Wyciągnął detonika. Odsunął rygiel, zostawiając łańcuch. Przekreślił klamkę. Nie słyszał żadnego dźwięku, co jednak niczego nie dowodziło. Bezgłośnie alarmy na pewno nie stanowiły tu nowości. Przeszedł przez drzwi, uprzednio zlustrowawszy framugę w poszukiwaniu fotokomórki. Popatrzył w górę - kamera. Przesuwała się wraz z nim.

- Oto i tajemnica - warknął.

Wycelował w jej kierunku i nacisnął spust. Soczewka rozprysła się na wszystkie strony.

Biegając w kierunku schodów prowadzących do piwnicy, obejrzał się tylko raz. Przeszli już wszyscy. Drzwi zatrzasnęły się z głuchym hukiem.

Dopiero teraz, biegnąc w dół z odbezpieczonym detonikiem, usłyszał wycie alarmu.

ROZDZIAŁ XXXI

Helena Strum krzyczała.

- Nikt pani nie usłyszy. Te ściany są dźwiękoszczelne, pani Sturm.

- Nic nie wiem - wydusiła, szarpiąc pasy, którymi przymocowano jej nadgarstki i stopy do stalowego stołu operacyjnego.

Ściany, podłoga i sufit były wykonane z tego samego materiału.

Nie widziała swych nóg, przesłaniał jej wzdęty brzuch. O ukryte w nim życie obawiała się najbardziej.

- Cokolwiek Manfred panu powiedział, panie Goethler, to kłamstwo. Przysięgam. Nie zrobiłam nic złego.

Usiłowała uchylić głowę, ale ręka ją dosięgła. Kobieta krzyknęła. Łzy strumieniem spływały jej po twarzy. Czowała sól w ustach.

- Kłamiesz. - Nie...

Bito ją. Uderzenia spadały jedno po drugim. Obróciła twarz w kierunku drzwi, modląc się w duchu. Otworzyły się. Poczowała skurcz serca. Na próżno. W drzwiach ukazała się twarz wodza.

- Wyjeżdżam natychmiast, panie Goethler. Potwierdziły się moje podejrzenia. Piąta kolumna działa. Grupa uzbrojonych ludzi wtargnęła do budynku. Nie dotrą poniżej pierwszego poziomu, nie ma obawy. Ale muszę wyjechać. Widziałem przesłuchanie. Nie idzie panu najlepiej.

- Mein fuhrer, ja...

- Pozwolę sobie coś zaproponować - powiedział. Obserwowała jego ciemne oczy. Nozdrza mu drgały nad śmiesznym wąsikiem. Położył rękę na jej brzuchu. Wzdrygnęła się, czując jego dotyk. - Kopia, nieprawdaż? Bliźniaki? - zapytał. Helena bała się go sprowokować. Wolą nie odpowiadać.

- Umiemy zmusić panią do mówienia. W pokoju obok mamy pani trzech synów i możemy zrobić z nimi, co nam się podoba. Zaczniemy od najmłodszego? Jak on się nazywa? Willi? Ale jeden mógłby nie wystarczyć, żeby zaczęła pani mówić. Nasz lojalny Manfred opowiedział nam o pani roli w tej konspiracji. Znam lepszą drogę. - Przesunął rękę na jej uda. Szarpnął spódnicę, podciągając ją do góry.

- Co pan robi, mein fuhrer?! - krzyknęła.

- Niech się pan dobierze do nie narodzonych, herr Goethler - ciągnął głosem wyzbytym emocji. - Nasz chirurg przygotowuje się do penetracji macicy. - Pochylił się nad nią. Poczwała jego oddech, kwaśny i odrażający. - Jeżeli to bliźniaki, zadowolimy się być może deformacją jednego z nich. Wybór należy do pani.

Wyszczrzył w uśmiechu żółte zęby. Helena zamknęła oczy. Dłużej nie mogła na niego patrzeć.

John Rourke skrył się za rogiem i strzelał z detoników do grupy esesmanów, widocznej na końcu korytarza, poniżej klatki schodowej.

- Musimy się wycofać! - krzyknął Mann. - Jeśli wyślą żołnierzy schodami, będziemy odcięci.

- Nie. Pamiętaj, że mają Helenę Sturm.

Włożył nowe magazynki, puste schował do chlebaka. Wyciągnął pythona.

Natalia ostrzeliwała skrzydło budynku zza framugi drzwi. Seria z automatycznego pistoletu przeleciała po drzwiach, obsypując twarz Natalii chmurą białych odprysków. Odsunęła się.

Sarah wzięła pistolet z rąk pani Mann.

- Wezmę go. Strzela seriami? Odpowiedział jej pułkownik:

- Wyrzuca po dwa, trzy pociski. Ale jest tylko osiemnaście naboii.

- Ile ma pan zapasowych? - zapytała. John uśmiechnął się.

- Jedna lub dwie osoby zostaną tutaj - powiedział - i będą osłaniać pozostałych, którzy przebiegną przez korytarz. Wówczas oni będą nas osłaniać z pistoletu maszynowego.

- Ja zostanę. Bieganie w spódnicy i szpilkach to nie moja specjalność - oświadczyła Sarah.

Z framugi poleciały nowe odpryski. John spojrzał na żonę.

- Ja i Sarah zostaniemy tutaj. Wy przebiegniecie na drugą stronę. Wolfgang, ty i pani Mann pierwsi. Później Natalia. Ja i Sarah biegniemy razem. Natalia nas osłania.

- To się może udać. - Mann pozbywał się właśnie resztek przebrania. - Nie mamy już nic do ukrycia.

- Nie sędzę, by udało nam się ukryć chęć wydostania się stąd - zaśmiał się Rourke.

Pani Mann wyciągnęła z torebki magazynki. Trzy.

- To wszystko, co mam - wyszeptała.

Twarz miała bladą, oczy podkrążone. Strach, tak wyglądał strach.

- Powodzenia. - Natalia podała Sarah magazynki. Natychmiast wsunęła je do kieszeni.

Mann podał jej pistolet.

- Przy takim ustawieniu zapadki strzela seriami - tłumaczył.

- Dobrze. W dolnym położeniu.

- Zgadza się, pani Rourke.

- Ruszajcie na znak Sarah - powiedział John.

Obiema rękami trzymał pythona, gotów przerzucić go przez otwór w drzwiach.

- Gotowe - syknęła Sarah.

Natalia pobiegła, strzelając z obu pistoletów. Była boso, pantofle schowała w kieszeni sukienki.

Rourke skierował lufę pythona na największą grupę esesmanów. Sarah klęczała obok niego. Strzelała potrójnymi seriami. Teraz biegł Mann, popychając przed sobą bosą, przerażoną żonę. Strzelał.

Opróżniwszy pythona, John wyciągnął scoremastery. Strzelał z obydwu, podczas gdy Sarah ładowała swój pistolet.

Dwóch żołnierzy SS w szarych mundurach BDU, z dystynkcjami oficerów sztabowych przy kołnierzu i swastykami na rękawach, wychyliło się z ukrycia, mierząc do Natalii.

Seria Johna ścięła ich z nóg. W drgawkach osunęli się na posadzkę. Jeden z automatycznych karabinków strzelił w sufit, wyrywając zeń płytki i kawałki gipsu.

Scoremastery były puste. Rourke wepchnął je za pas, nie zamykając nawet komór nabojoych. Sarah nadal strzelała z niemieckiego pistoletu. Kolejne serie położyły trzech esesmanów. Dwóch zabitych, jeden czołgał się, wlokąc zranioną nogę.

Rourke strzelał z detoników "Combat Masters".

Świeżo załadowane rewolwery Natalii pluły ogniem. Coraz więcej niemieckich żołnierzy opuszczało ukrycie.

Sarah ładowała magazynek.

- To przedostatni, John - starała się przekrzyknąć strzały. Detoniki kalibru 0,45 były puste.

Wyrzucił magazynki i założył nowe z pasa amunicyjnego.

- Biegnij. Jestem tuż za tobą.

Wypchnął żonę na korytarz. Strzelając osłaniał ją własnym ciałem. Korytarz dudnił hukami wystrzałów. Krzyki, jęki, przekleństwa. Liczba esesmanów zmniejszyła się znacznie.

Znowu skończyły się naboje w jednym z pistoletów Johna, Natalia wyszła z ukrycia, ściągnając ogień na siebie. Jej rewolwery siały śmierć i zniszczenie.

Rourke strzelał z detonika. Jakiś żołnierz rzucił się na niego, lecz natychmiast dostał w twarz pustym pistoletem. Krew trysnęła z otwartych ust esesmana, zęby posypały się na ziemię.

John przypadł do podłogi. Przetoczył się, szukając schronienia. Broń była pusta.

- John! - usłyszał krzyk Natalii.

Poderwał się na nogi. Sarah oddawała strzały do pozostałych przy życiu żołnierzy. Nie było ich więcej niż dziesięciu.

Bali-song załśnił w ręku Natalii. Krew zalała szyję najbliższego esesmana. Nóż przebił aortę.

John rzucił się w kierunku Natalii. Wbił w podbrzusze żołnierza gerbera, zanim ten zdążył dosięgnąć kolbą jego głowy.

Puścił nóż i wydarł karabin z rąk padającego Niemca. Opuścił broń, mierząc kolbą w szczękę. Posługując się karabinem jak pałką, zbił z nóg następnego żołnierza.

Znowu zaczął strzelać. Naciskał spust, oddając potrójne serie.

Słyszał odgłos pistoletu Sarah. Zużyła ostatni magazynek. Na szczęście niektórzy z leżących esesmanów mieli broń krótką.

Rourke miał już pusty magazynek. Trzech Niemców nadal żyło. Jeden wystrzelił równocześnie z Sarah, znajdującą się między nim a mężem. Jej strzał okazał się celniejszy. Niemiec upadł, ale w tej chwili także Sarah zatoczyła się w stronę Johna.

Odgłos wystrzałów pistoletu Manna. Nóż Natalii przecinający powietrze. Krzyk.

John pochwycił żonę w ramiona, osłaniając ją sobą. Natalia przeskoczyła przez nich. Mignął mu ciemny kształt. I w tej sekundzie dobiegł go krzyk agonii.

Natalia stała nad esesmanem, którego przebiła nożem, miażdżąc mu kark bosą stopą.

Rourke zauważył krew na lewym przedramieniu Sarah. Podciągnął rękaw sukienki.

- Nigdy nie byłam.. O Boże, jak boli - wyszeptała.

- Rana powierzchowna - uspokajająco szepnęła John. Przesunął ręką po jej ramieniu sprawdzając, czy kość pozostała nienaruszona. Sięgnął do chlebaka po opatrunek.

- Ja to zrobię, John. - Natalia padła na kolana obok nich.

- Nic mi nie jest, tylko boli jak... - Sarah próbowała wstać.

- Odpocznij chwilę - poradziła Natalia. - Opatrzę to. Pani Mann ułożyła głowę Sarah na swoich kolanach. Mann obszukiwał ciała zabitych, zabierając broń i amunicję.

Rourke podniósł się i zaczął zakładać nowe magazynki, szepcząc do siebie:

- Czysta rana. Trochę poważniejsza niż draśnięcie, ale to nic. Postąpił dwa kroki naprzód. Przyklękł obok esesmana.

Jedną rękę oparł o jego ciało, drugą wyszarpnął gerbera.

Wrócił do kobiet. Natalia aplikowała Sarah lekarstwo ofiarowane im przez Munchena. Było jednocześnie środkiem gojącym i dezynfekującym.

- Zaraz skończę. - Uśmiechnęła się do niego. Bali-song leżał koło niej. Na ostrzu lśniła nie zakrzepła jeszcze krew.

Dotknął dłonią czoła żony.

- Coraz lepiej radzisz sobie w walce.

- Sam radzisz sobie nie gorzej - odrzekła z uśmiechem. Pocałował ją lekko w usta.

- Nic ci nie jest? Musimy iść dalej.

- Nie. To było tylko oszołomienie. To w końcu pierwszy raz.

- Zostanę z nią chwilę - odezwała się Natalia. Jej też chciałby coś powiedzieć.

Głos Manna wyrwał go z zamyślenia:

- Mamy pięć pistoletów maszynowych, po dwa karabinki automatyczne dla każdego i więcej amunicji niż zdołamy unieść.

- No, nie wiem. Ja mogę unieść dużo - rzekł ze śmiechem Rourke.

Wytrzeł klingę gerbera o bluzę jednego z martwych esesmanów. Schował nóż, odbezpieczył karabinki i przewiesił je przez ramię.

- Uniesiesz jeden? - zwrócił się do Sarah.

- Tak, ale nie wiem, czy jutro zrobię to równie ochoczo. Mann, mamrocząc coś pod nosem, przyklęknął obok Sarah i wrzucił magazynki do jej torebki.

John z Natalią pomogli rannej wstać. Natalia odbezpieczyła karabinki. Podniosła jeden pistolet i trzymając go pod pachą, metodycznie i z wprawą ładowała resztę broni.

Ruszyli korytarzem. John dopiero teraz dostrzegł dziwny strój Rosjanki. Nożem rozcięła sukienkę do pasa. Nic już nie krępowało jej ruchów. Pani Mann trzymała w zaciśniętych dłoniach pistolet maszynowy. Jej mąż niósł dwa na ramieniu i jeden w ręku.

Rourke, wysuwając się na czoło, wyprzedził Wolfganga Manna. "Niewiele czasu trzeba, żeby esesmani znów zapełnili korytarz" - pomyślał John. Ale byli przynajmniej lepiej wyekwipowani. Widać było, że Sarah odczuwa ból, ale mocno trzymała pistolet gotowy do strzału. Torebkę miała przewieszoną przez ramię.

Z planu, który wcześniej narysował Mann, wynikało, że drzwi przed nimi prowadzą na klatkę schodową.

- Pójdę pierwszy - powiedział Mann. - Jeżeli ktoś tam na nas czeka, może zdołam go tym przekonać. - Wskazał na karabin.

- Może... - zgodził się John, nie był jednak przekonany.

Obejrzał się do tyłu. Na korytarzu było pusto. Panowała cisza. Ponieważ minęli zakręt, nie widział ciał zabitych. Przerzucił jeden karabinek do przodu i zajął miejsce przy drzwiach, trzymając broń w pogotowiu. Mann sięgnął do klamki. Przekręcił ją. Drzwi otworzyły się do wewnątrz. Odczekali chwilę. Mann, przechodząc na klatkę, przesunął lufę karabinu z lewej na prawą stronę.

- Droga wolna, przyjaciele. Pani Mann ruszyła pierwsza.

- Poczekaj, kochanie. Pozwól, by doktor szedł za mną.

Rourke dołączył do niego. Klatka schodowa była identyczna jak ta, która wiodła z pierwszego piętra. Ale z tej schody prowadziły tylko w dół. Sprawiało to dziwne wrażenie.

Mann już schodził. John podążał za nim. Spojrzał w dół. Wiedział, że gdzieś tam czekają na nich siły bezpieczeństwa.

- Nic nie wiem! - krzyczała Helena Sturm.

Goethler pochylał się nad nią. W owłosionej ręce trzymał parę dużych lekarskich kleszczy z

lśniacej, nierdzewnej stali.

- Zrobię to osobiście, jeśli w tej chwili nie powie pani wszystkiego, co chcemy wiedzieć.

Wiemy, że piąta kolumna istnieje. Wiedzieliśmy już od jakiegoś czasu. Z naszych informacji...

- Manfred - w jej głosie brzmiała udręka - własny syn...

- Pani Mann także należy do spisku. Nie wiemy jedynie, w jakim stopniu jest zaangażowana.

Proszę to tylko potwierdzić, a zostawimy w spokoju panią i jej nie narodzone dzieci. Resztę opowie nam pani Mann. Od pani chcę tylko usłyszeć, że ona należy do spisku, a jej mąż jest jego przywódcą.

- Nie!

- W takim razie... - Goethler potrząsnął kleszczami. Poczwała zimną stal na wargach sromu.

Krzyknęła.

- Zmusza mnie pani, żebym zrobił coś, czego oboje będziemy żałować.

- Jeżeli zabije pan te dzieci, przynajmniej nie będą musiały żyć w społeczeństwie, którym rządzą

tacy jak pan.

Skurcz. Chłód stali wdzierającej się w ciało.

ROZDZIAŁ XXXII

John Rourke usłyszał głosy na podeście klatki schodowej. Trzech strażników przechodziło przez drzwi prowadzące na główny korytarz drugiej piwnicy.

Przesadził poręcz, łądując między nimi. Prawą pięścią uderzył jednego esesmana w nasadę nosa, łamiąc kość, która przeszła przez kość sitową prosto do mózgu. Mężczyzna umierał na stojąco.

W błyskawicznym obrocie chwycił za gardło drugiego strażnika, miażdżąc jabłko Adama. Prawym kolaniem wymierzył mu cios w krocze. Wykonując jeszcze jeden obrót, trafił tą samą nogą trzeciego esesmana.

Kolejny obrót. Popchnął bezwładnie ciało trzymanego za gardło Niemca na trzeciego strażnika, przewracając go na podłogę. Gdy padał, wymierzył mu precyzyjne kopnięcie pod mostek. Głowa przeciwnika uderzyła o betonową posadzkę.

Natalia zbiegła po schodach z niemieckim pistoletem w ręku.

Z karabinkiem gotowym do strzału Rourke szarpnął uchylone drzwi. Zawadziły o nogę jednego z leżących. Nikogo. Ruszył naprzód. Natalia dotrzymywała mu kroku. Tuż za nimi znajdowali się: Sarah, pani Mann i jej mąż. Sarah szła odchyłona nieco do tyłu, obserwując klatkę schodową. Korytarz prowadził w dół.

- Pokój przesłuchań powinien być na końcu korytarza. Jest również drugi pokój, gdzie zadają pytania, znacznie wygodniejszy. Za nim następny. Teoretycznie ma on przeznaczenie medyczne. Rodzaj ambulatorium - mrucał Mann. - Ale od jakiegoś czasu krążą słuchy, że Goethler i jego ludzie z Jugendu dokonują tam potwornych eksperymentów.

Rourke obliznął wyschnięte wargi. Zdjął słoneczne okulary. Przymrużył oczy, przyzwyczajając je do sztucznego światła.

- Jeśli mają jej dzieci, powinny być w pierwszym pokoju. - Zwrócił się szeptem do Natalii: - Wejdziemy razem. Będę ochraniać chłopców.

- A ja zajmę się ich stróżami. Potem szybko do drugiego pokoju.

- Zgoda.

- Sarah nas osłania. Zostanie z chłopcami, gdy my przejdziemy do następnego pokoju.

- Dobrze.

Patrzył, jak Natalia wraca korytarzem. Nogi w samych pończochach były nieprawdopodobnie długie i piękne.

Nagle coś go tknęło. Przyspieszył kroku. Zaczął biec. Chyba szósty zmysł Annie był zaraźliwy, a może to kriogeniczny sen wyzwolił go w nim.

Natalia była już obok niego. Drzwi coraz bliżej. Nie czas zastanawiać się, czy zamknięte. Przerzucił drugi karabin do przodu. Dał ognia, z obu jednocześnie, odcinając zamek od drzwi. Otworzył je kopnięciem.

W prawym rogu stało trzech mężczyzn i wysoki chłopak o dziewczęcej twarzy, palący papierosa.

Mężczyzn położył serią z karabinów. Chłopak wrzasnął, upuszczając papierosa. Złapał niemiecki

karabin maszynowy. Rourke wyciągnął pythona. Naciskając spust, przesunął się j w prawo. Chłopiec zgiął się i upadł.

John obejrzał się, słysząc strzały za sobą. Natalia otworzyła j ogień do trzech mężczyzn, którzy właśnie weszli. Pomógł jej unieszkodliwić trzeciego.

Trzech chłopców, powiązanych drutem, z zakneblowanymi ustami, leżało nago.

- Bestie - wycharczał Rourke.

Zmierzali w stronę wewnętrznego pokoju. Drzwi miały dużą, okrągłą klamkę. Złapał ją lewą ręką. Poczul lodowate zimno - dotknięcie śmierci.

Kopnął drzwi, wyciągając spod pachy scoremastera.

Na metalowym stole operacyjnym leżała kobieta. Jej brzuch wydawał się ogromny. Ubranie miała pocięte. Z odsłoniętego krocza sączyła się krew. Kobieta krzyczała.

Pochylał się nad nią mężczyzna z kleszczami. Wysoki chłopiec, podobny do tego za drzwiami, rzucał jej w twarz zapalone zapalki. Jego ręka wplątana była we włosy kobiety. Wyrwał je garściami.

- Skurwysyny! - krzyknęła Natalia.

Ciało mężczyzny zachwiało się. Natalia do końca opróżniła magazynek. Rourke strzelił do niego raz.

Obrócił się. Chłopiec - członek Jugendu - krzyczał wysokim, kobiecym głosem. Nad szyją Heleny Sturm trzymał skalpel. John trafił go dwa razy w ramię, prawie je odrywając od tułowia. Nóż upadł na zakrwawiony stół.

Natalia strzelała bez opamiętania. Ciało chłopca poleciało na ścianę. Ześliznęło się po niej, zostawiając czerwone smugi na błyszczącej stali.

Helena Sturm zwróciła twarz w kierunku zakrwawionej ściany.

- Manfred!

ROZDZIAŁ XXXIII

Władimir Karamazow poczuł na twarzy ciepłe muśnięcie argentyńskiego słońca. Właśnie zachodziło. Pułkownik przed chwilą wysiadł z helikoptera. Czapkę trzymał w ręku. Otaczający go oficerowie równie chętnie pozbyliby się nakryć głowy. Wolał im tego nie sugerować, założył więc czapkę.

Wydłużył krok. Krakowski i Antonowicz zbliżali się do niego. Oceniał, że spotkanie wypadnie dokładnie w połowie rozległej łąki, służącej jako lądowisko dla śmigłowców. Odrzutowce lądowały na zachodzie, po drugiej stronie gór.

Krakowski i Antonowicz zatrzymali się kilka stóp przed nim. Zasalutowali jednocześnie. Władimir Karamazow odsalutował.

- Koledzy! - rzekł, podnosząc głos, by mogli go usłyszeć mimo brzęczenia wirnika helikoptera. - Przed nami otwiera się droga do spektakularnego zwycięstwa. O świcie nasze siły będą gotowe do zmasowanego ataku na twierdzę nazistów: piechota, helikoptery, odrzutowce. Sądzę, że to naziści wymyślili Blitzkrieg. Tak też się stanie.

- Wszystko gotowe, towarzyszu pułkowniku - zaczął Antonowicz. - Dopilnowałem, by dane zwiadowcze, fotografie i poprawione mapy dotarły do dowódców liniowych. Właśnie programuje się helikoptery według danych topograficznych twierdzy i jej otoczenia.

Krakowski zaczął relację. Karamazow nie lubił młodszego ze swoich majorów.

- Towarzyszu pułkowniku, odrzutowce powierzone mojej pieczy tankują. Są także programowane według danych uzyskanych od towarzysza majora Antonowicza. Moje załogi przygotowują helikoptery do walki. Siły naziemne zajmują przeznaczone im stanowiska. Wszystko czeka na pańskie rozkazy.

Karamazow przyjrzał się młodemu majorowi, który pisał poezje.

- Obaj wywiążaliście się doskonale ze swoich zadań. Nie omieszkam zaznaczyć tego w raporcie dla Komitetu Centralnego. Przy okazji, dostałem awans. Zostałem mianowany marszałkiem.

- Gratuluję, towarzyszu marszałku - wybełkotał Krakowski. Antonowicz zasalutował.

- Gratulacje, towarzyszu marszałku.

Karamazow pozwolił sobie na uśmiech. Antonowicz nieśmiało wyciągnął doń rękę. Karamazow ją przyjął. Krakowski poszedł w ślady Antonowicza. Świeżo upieczony marszałek podał mu lewą rękę. Stali tak przez chwilę ze złączonymi dłońmi, stykając się ramionami. Tworzyli nieregularną figurę w kształcie litery X. Popatrzył na swoich starszych oficerów, którzy teraz mieli szansę zostać pułkownikami.

- Zwycięstwo! I cała Ziemia będzie moja - powiedział. W myślach zaś dodał: "Choć zawsze jest jeszcze druga strona medalu".

Akiro Kurinami i szeregowy Gessler, jeden z ludzi Manna, schodzili z zamaskowanego punktu obserwacyjnego. Droga była piaszczysta i stroma. Wykarczowano tu kawałek dżungli, by ułatwić ruchy wojsk. Kurinami nie zazdrościł żołnierzom, którzy musieli wdrapywać się na górę w pełnym

ryszunku. Przełożył M-16 do lewej ręki i przesunął dłonią po włosach. Nie mógł porozmawiać z Gesslerem. Nie znał niemieckiego, a szeregowy nie mówił po angielsku. Nie próbował zwracać się do niego po japońsku. Prawdopodobieństwo, że Gessler znał ten język, było równie nikłe, jak to, żeby posługiwał się starożytnym aramejskim. Porozumiewali się gestami. Właśnie w tej chwili Gessler wymachiwał rękami.

Kurinami zatrzymał się, cofając się nieznacznie. Także on usłyszał jakiś szelest. Przesunął karabin, przygotowując się do strzału. Kciukiem znalazł przycisk i ustawił go na ogień ciągły.

Z dżungli wybiegł umundurowany mężczyzna. Gdy znalazł się na zakręcie drogi, Kurinami otworzył ogień.

Nagle wstrzymał oddech. Rozpoznał twarz nad niemieckim mundurem. Był to młodszy oficer pułkownika Manna.

Gessler stanął na baczność, oddając salut.

Hauptsturmführer Hartman odpowiedział na pozdrowienie i odezwał się poprawną angielszczyzną, dziwnie akcentując słowa:

- Poruczniku Kurinami, wszystko gotowe.

- Kapitanie, wraz z Elaine Halwerson i żołnierzami pułkownika Manna obserwowałem Complex. Zauważyliśmy znaczne przemieszczenia wojsk w kierunku budynku, który według naszego rozeznania jest nowym budynkiem rządowym. Ale nie mieliśmy żadnych wiadomości od pułkownika Manna.

- Wobec tego - Hartman powoli zdejmował rękawiczki - proponuję trzymać się pierwotnej wersji planu standartenführera i doktora. Większość moich sił już zmierza w tym kierunku. Niestety, przynoszę też niepomyślnie wieści. Nasłuch sygnałów z Afryki wskazuje, że hauptsturmführer Sturm postąpił wbrew rozkazom. Poniósł porażkę w starciu z Rosjanami i, stwierdziwszy po powrocie, że standartenführer udał się do Argentyny, zaatakował jego siły pozostawione w obozie, a następnie flotę "Projektu Eden".

- Cholera - wyjąkał Kurinami.

- Sturm jest dobrym oficerem, ale niestety, jest też lojalnym nazistą. Jednak nasza rozmowa niczego nie zmieni. Pójdziemy. - Hauptsturmführer uniósł brwi i lekko się uśmiechnął.

Kurinami zabezpieczył broń.

Wspinali się teraz pod górę. Idąc obok Hartmana, nie mógł powstrzymać się od myślenia o poległych z "Edenu". Przeżyć pięćset lat we śnie i obudzić się z zamiarem odbudowania świata po to, by zostać bezmyślnie zgładzonym.

- Jakie to głupie - westchnął.

Droga była długa i pięła się ostro w górę. A on chciał już odpocząć.

Madison otuliła się szalem. Było jej zimno. Nie tylko ze względu na niską temperaturę. Bała się. Silny wiatr podwiewał jej spódnicę, czuła na nogach lodowate podmuchy.

Widziała z daleka ciężarówkę Rourke'a i dwóch strażników. Nie chciała na razie o tym myśleć. Przypomniała sobie, co czuła, gdy Michael został ranny podczas strzelaniny, a ona wpadła w ręce nieobliczalnego Rosjanina. Życzyła wtedy śmierci sobie i nie narodzonemu jeszcze dziecku. Była przekonana, że Michael zginął. A znaczył dla niej więcej niż ktokolwiek inny.

Potrząsnęła głową, odrzucając włosy. Próbowwała się uśmiechnąć.

Michael i Paul powiedzieli jej, co ma robić. Miała jednak własny pomysł. "Oby skuteczny" - pomyślała.

Strażnik w białym kombinezonie i zielonym płaszczu stał oparty o samochód. Odwrócił się w jej

stronę i zawołał:

- O co chodzi, panienko? Zakazano wam wstępu do ciężarówki.

- Och, proszę. Muszę stamtąd coś zabrać.

- Cóż to takiego? Możemy pani to podać.

Podeszła bliżej, zwolniła kroku. Starła się sprawić wrażenie niepewnej i zaleknionej - bardziej niż była w rzeczywistości.

- Rzecz osobista. I w dodatku bardzo mała.

Nie wiedziała jeszcze, co to powinno być. Ale od Annie nauczyła się bardzo szybko, że kobiety zawsze mają jakieś rzeczy osobiste, a mężczyźni są ich zawsze bardzo ciekawi.

- Przepraszam, ale jeśli nie może mi pani powiedzieć, będzie pani musiała omówić to z kapitanem Doddem, dobrze?

Madison zatrzymała się blisko niego, uśmiechając się z zakłopotaniem.

- Naprawdę bardzo tego potrzebuję i powiem panu, jeżeli to konieczne. Ale tylko panu, dobrze?

Nauczyła się pochlebiać mężczyznom. Oni to uwielbiają.

Strażnik popatrzył przez chwilę na drugiego wartownika, po czym skinął głową. Podeszła do niego ze spuszczonym wzrokiem. Mężczyzna był bardzo wysoki.

- Czy mogę powiedzieć na ucho? Tak mi wstyd. Strażnik pochylił się lekko. Madison wspięła się na palce, opierając lewą rękę na jego ramieniu. Do twarzy przystawiła mu derringera.

- Co, do...

- Zastrzelę pana. Pistolet jest odbezpieczony i ma duży kaliber. Niech pan rzuci broń i powie koledze, żeby zrobił to samo.

- Cholera! - Zmrużył oczy. Patrzyła na niego bez drgnienia.. - Rzuć broń, Harry - zawołał.

Usłyszała, że wykonują jej polecenie. Teraz powie im, żeby położyli się na ziemi i odjedzie. Miała zapasowe kluczyki. Potem Paul odbierze swój pistolet, ona i Michael będą mieli karabiny. Odzyskają resztę sprzętu i ruszą na pomoc Annie.

Przypomniała sobie zasady dobrego wychowania wyniesione z domu. Celując z derringera w oko mężczyzny, powiedziała grzecznie:

- Bardzo wam obu dziękuję. Odpowiedzi nie było.

Drżała z zimna i ze wstydu. Siedziała unieruchomiona w fotelu helikoptera. Nie mogła poprawić ubrania. Nie wiedziała, jak długo była sama. W pewnym sensie pragnęła powrotu Blackburna. On mógł ją uwolnić. Jeżeli wkrótce nie wróci, na pewno umrze przywiązana do siedzenia, odarta z ubrania i godności. Umrze z głodu i wyczerpania. Chyba, że nowy świat chowa dla niej w zanadrzu inne horrory. Żeby ją zgwałcić, Forrest Blackburn musiałby ją przedtem uwolnić. Przynajmniej tak przypuszczała.

A wtedy będzie miała szansę. Cień szansy.

Chociaż planowała zmianę nazwiska, to przecież w duszy pozostanie Annie Rourke. A Rourke'owie nie mieli zwyczaju się poddawać. Zaciśnęła powieki. Musi skoncentrować się na czymkolwiek. Wówczas przestanie odczuwać głód i zimno.

Przywołała obraz pełnej dobroci twarzy Paula. Wywołało to uśmiech na jej wargach. Któregoś dnia rzadkie już włosy znikną, zostanie tylko parę kosmyków. Będzie miała niezłą zabawę, drocząc się z nim i masując łysinę.

Zastanowiła się, jak będzie wyglądać ich pierwsza wspólna noc. Kiedyś, gdy rozmawiali w ciemności i nie mogła dostrzec jego twarzy, wyznał, że nigdy jeszcze nie miał kobiety. Chciała, żeby

był jej pierwszym mężczyzną.

Gwałtownie otworzyła oczy. Ujrzała Forresta Blackburna, który właśnie otwierał drzwi helikoptera.

- Tęskniłaś za mną, Annie?

- Idź do diabła - warknęła, gdy wyjął jej knebel z ust.

- Już nie pójdę. Odnalazłem zapasy. Polecimy po nie. Zajmie nam to jakieś dwie minuty. - Położył rękę na jej nagim udzie. - A później odwiedzimy mateczkę Rosję. Zanim tam dolecimy, Annie, musisz się zdecydować. Albo będziesz ze mną, albo umrzesz, a zapewniam cię, nie będzie to słodka śmierć.

Chciała mu powiedzieć: "No, dalej, zabij!", ale coś ją powstrzymało. Odezwała się w niej krew Rourke'ów i ich rodzinna cecha - cierpliwość. Pomyślała o Natalii. Ona umiałaby się znaleźć w tej sytuacji. Jak zawsze, zresztą.

Annie posiadała niezwykły dar, coś na kształt jasnowidzenia. Jak ten sen, gdy Michael był ranny.

Zamknęła oczy. Starła się zobaczyć Natalię, porozumieć się z nią. Nie czuła już ręki Blackburna. Słyszała teraz szum śmigła. Wydawało jej się, że widzi Natalię ubraną w ładną, czarną sukienkę, obsypaną białym pyłem i rozdartą. "Natalia - pomyślała. - Natalia..."

Natalia Anastazja Tiemierowna szła przodem. Odczuwała niezadowolenie ze swoich wrodzonych zdolności.

Za Natalią kroczyła pani Mann, niosąc w objęciach jedną z bliźniaczek, obok Hugo niosący drugą. Dziewczynki dopiero przyszły na świat, były zdrowe, chociaż nieduże, nawet jak na noworodki. Sarah czuwała nad pozostałą dwójką młodych Sturmów - Bertoldem i Willim. Postrzelone ramię miała podwiązane prowizorycznym temblakiem. John Rourke i Wolfgang Mann nieśli nosze, wykonane z aluminiowych prętów o dużej wytrzymałości, między którymi znajdował się przezroczysty materac z poduszką. Leżała na nich Helena Sturm. Urodziła dwoje dzieci.

A Natalia? Podczas gdy inne kobiety rodziły i opiekowały się dziećmi, ona nosiła pistolet. Nadal była boso. Szybko posuwała się naprzód. Uwalana tynkiem, rozdarta sukienka nie krępowała jej ruchów.

Musiała przyznać, że trzymany w rękach niemiecki karabinek to przyzwoita broń, chociaż jej się nie podobał. Miał zbyt mały magazynek. Poza tym nie lubiła broni, która zależnie od wyboru strzelała seriami lub pojedynczo. Znacznie lepsze pojęcie miała o broni niż o dzieciach.

Obejrzała się. Noworodki owinięto w ręczniki zabrane z miejsca tortur. Tam się urodziły. Były małe i takie kruche.

Widziała, jak John przyjmuje poród. Ból w oczach Heleny Sturm, a po chwili radość. Zazdrościła innym kobietom ich siły i bezbronności.

Szła dalej. Nad jej głową przebiegały rury, z których unosiła się para. Mimo to powietrze było zimne.

Z tyłu dobiegł ją głos Manna:

- Panno Tiemierowna, proszę skrócić w prawo.

Weszła w prawą odnogę tunelu. Z nagich żarówek umieszczonych między rurami wydobywało się przyćmione światło.

Zanim dotarli do tuneli, tropili ich żołnierze. Wolfgang Mann doprowadził ich do końca drugiej piwnicy. Natalia wraz z Johnem dźwigała nosze. Wydawało się, że znaleźli się w ślepych zaułku. Przed nimi wyrosła betonowa ściana. Mann wsunął bagnet w szparę między cementowymi blokami.

Płaszczyzna przesunęła się, odsłaniając wejście do tunelu. Weszli. Mann z pomocą Johna i Natalii dosunął fragment ściany na miejsce.

W tej części tunelu latarki okazały się niezbędne. Mann wyjaśnił, że wszystkie rządowe budowy nadzorowane są przez wojsko. Swego czasu sam kazał wybudować to sekretne przejście.

Od jakiegoś czasu droga wiodła pod górę. Chłopcy byli już zmęczeni. Trudy więzienia i ucieczki dawały znać o sobie. Przeszli jeszcze jedno tajemne przejście. W następnym tunelu zbiegały się instalacje wodne, elektryczne i komunikacyjne. Mann ostrzegł, że tu można napotkać żołnierzy.

Pończochy Natalii były w strzępach. Po raz pierwszy od wielu lat cieszyła się, że nie ma już zwierząt. Normalnie w kanałach roiło się od szczurów. Tu panowały niepodzielnie ciemności i wilgoć.

Znowu zatrzymała ich ściana.

- To ostatnie tajne przejście! - zawołał Wolfgang Mann. Słyszała, jak John uspokaja Helene Sturm. Jego niemiecki

był doskonały. Wsłuchiwała się w równomierny stukot butów Rourke'a. Obok niego szedł Mann z bagnetem, który jeszcze niedawno przyklejony był plastrem do jego nogi. Zapalił latarkę, oświetlając złącza cementowych bloków.

- Tak, to chyba tutaj - mruknął pod nosem.

Włożył w ścianę ostrze bagnetu. Bloki drgnęły. Płyta wyglądała jak wycięty kawałek szachownicy. Razem z Johnem napanarli na nią. Usunęła się stosunkowo łatwo.

- Idziemy - wyszeptał Rourke.

Podbiegł do noszy. Mann poszedł w jego ślady.

Natalia przestąpiła próg. Znajdowała się w jaskini. U jej wylotu, w odległości około stu stóp, widziała szare światło. Przecięła przestrzeń lufą karabinu. Nic się nie poruszyło.

- Możecie przechodzić - szepnęła za siebie.

John znajdował się u węzłowia noszy pani Sturm. Przed podróżą zaaplikował jej dwa zastrzyki: B-complex i łagodny środek uspokajający. Drugi koniec noszy trzymał Wolfgang Mann. Jego przystojna twarz stanowiła dziwny kontrast z poplamionym i znoszonym ubraniem. Postawili nosze. Pani Mann i Hugo przeszli z noworodkami. Na szczęście zachowywały się cicho. Rourke, Natalia i Mann zasunęli właz.

Nie wiadomo dlaczego Natalia pomyślała o Annie, że wyrosła na wspaniałą kobietę.

- U wyjścia z jaskini jest ścieżka. Za nią drzewa. Między nimi znajduje się grotta, w której będziemy bezpieczni - rozległ się głos Manna.

Natalia przytaknęła. Oczy przywykły do szarego światła. "Chyba zachodzi słońce" - pomyślała.

Annie.

Nagle przypomniała sobie swą młodość. Pierwsze zadanie otrzymała w Ameryce Południowej. Razem z Władymirem. Współpracowali z ludźmi, którzy sympatyzując z komunizmem, jednocześnie handlowali kokainą. Miała wątpliwości, czy to etyczne. Władymir uznał to za konieczność. Zdarzyło jej się wtedy popełnić błąd. Znalazła się wśród nich sama, zdana na ich łaskę. Trafił się między nimi jeden, który wcale nie ukrywał, że ma na nią ochotę. Wybrał moment, kiedy nie było w pobliżu nikogo i usiłował ją zgwałcić. Niewykluczone, że groziło jej także morderstwo. Gdyby jej towarzysze znaleźli zwłoki, napastnik obarczyłby zbrodnią tamtejszą policję.

Pamiętała jego oddech na swojej twarzy. Obiecał, że jeśli będzie uległa, nie przysporzy jej zbędnych cierpień. Opierała się...

Znalazła jedyne logiczne wyjście. Zgodne z zasadami, z jakimi zapoznano ją na szkoleniu. Pozwoliła, by jego podniecenie osiągnęło szczyt. Pozornie uległa, wbiła mu nóż w plecy, zanim zdążył w nią wejść.

Prawie naga, w poszarpanym ubraniu, zastrzeliła z karabinu maszynowego jego trzech kumpli i uciekła skradzioną ciężarówką.

Dlaczego przypomniało jej się to po tylu latach, właśnie teraz?

Znowu Annie.

Dotarł do niej głos Johna, niewiele głośniejszy od szeptu:

- Wolf, gdy już dotrzemy do tej jaskini, ty, ja i Natalia pójdziemy uwolnić Berna. Teraz albo nigdy.

Miał rację. Naziści nie spodziewali się powtórnego ataku. Myśli Natalii uparcie powracały do Annie Rourke. Nagle zrobiło jej się zimno.

ROZDZIAŁ XXXIV

Więzienie zajmowało połowę neogotyckiej budowli w samym sercu Complexu. Już z daleka można było zobaczyć jej dwie bliźniacze wieżyczki. Wzniesiono ten budynek przed pięcioma wiekami. Był to pierwszy rządowy gmach.

John Rourke, siedząc obok Manna, ładował magazynki. Wyszli przed jaskinię ukrytą na skraju dżungli. Obaj mieli na sobie ciemnoszare mundury BDU SS. Mann dopilnował, by dostarczono je na czas wraz z innymi zapasami. "Tak, Wolf jest nadzwyczaj zapobiegliwy" - pomyślał John. Oceniali właśnie swoje obecne położenie, czekając na Natalię, która się przebierała. Mann szkicował na piasku plan sytuacyjny więzienia.

- Tak więc, jedyne wejście prowadzi przez główny trakt. Bramy w murach usytuowane są naprzeciwko siebie, od frontu i od tyłu - upewniał się John.

- Zgadza się, a my musimy wejść frontową, ponieważ brama po drugiej stronie nie jest używana. Do budynku musimy się przedostać lewą stroną traktu. Nie wolno dać się zwieść niewinnemu wyglądowi wieżyczek. Liczą sobie pięćset lat, to prawda, ale ich wnętrze jest całkowicie nowoczesne. Ściany mają cylindryczne. Na czternastym piętrze znajdują się cele więźniów politycznych. Prawdopodobnie Bern jest tam teraz jedynym lokatorem, chyba że dokonano nowych aresztowań, o których nie wiem. Podoba mi się twój plan ucieczki.

- To jedyny sposób - przytaknął John. - Mam nadzieję, że ten samochód skradziono niedawno.

- Tak. Strażnicy w bramie nie będą mieli pojęcia, że jest skradziony.

- Ale rozpoznają ciebie i zorientują się, że ja i Natalia nie należymy do SS.

- Wtedy brama będzie już otwarta - rzekł z uśmiechem Mann. - No, i w końcu mamy broń. Pamiętaj: to, czy ja przeżyję, nie ma absolutnie znaczenia. Ważne jest, żebyście z major Tiemierowną dotarli do Berna, uwolnili go i doprowadzili do Centrum Łączności po drugiej stronie. Na parterze są wartownicy. Strome schody prowadzą na wyższy poziom, gdzie znajduje się studio radiowe i telewizyjne oraz urządzenia nagłaśniające. Czy major Tiemierowną poradzi sobie ze sprzętem, jeżeli zajdzie taka konieczność?

- Z pewnością. Jest specjalistką od systemów elektronicznych. Problem polega na tym, żeby dostać się tam, zanim ode-tną dopływ prądu. A gdzie przebywa wódcz?

- Po prawej stronie traktu mieści się jego kwatery. I mieszkanie. Te wieże naprawdę gwarantują mu bezpieczeństwo.

Rourke chciał coś powiedzieć, ale powstrzymało go nadejście Natalii.

Jej włosy zakrywała czapka BDU. Miała identyczny mundur jak oni, z tym że zapinał się na lewą stronę. Niemiecki pistolet maszynowy w kaburze u pasa i wojskowa torba przewieszona przez ramię dopełniały tego niezbyt twarzowego stroju.

- Gotowa? - zapytał.

- Tak. - Natalia roześmiała się.

Pojazd miał napęd elektryczny. Był niewiele większy od golfowego melexa. Wolfgang Mann

prowadził, obok niego siedział John, Natalia z tyłu. Ciepłe powietrze uprzyjemniało podróż odkrytym pojazdem.

Przed wejściem do Complexu czterokrotnie zwiększyła się liczba strażników, od czasu gdy przechodzili tędy, by uwolnić Helenę Sturm.

Dwóch wartowników podeszło do nich. Rourke siedział na jednym z detoników, trzymając na nim rękę. Wyciągnięcie pistoletu było kwestią sekund.

Najbliżej stojący strażnik autorytatywnym głosem zażądał okazania dokumentów. Wolfgang Mann podał mu ich cały plik. Mężczyzna odezwał się szeptem:

- Wszystko gotowe, herr standartenfuhrer. Otrzymaliśmy sygnał.
- Bardzo dobrze, Hartman - również szeptem odpowiedział Mann.

Hartman podniósł głos:

- Papiery w porządku. Przepuścić.

Mann zwolnił hamulec. Ruszyli. Nie odwracając głowy, zwrócił się do Johna i Natalii:

- Mamy szczęście. Moi ludzie zdążyli rozlokować się w wyznaczonych miejscach. Hartmana przeniesiono do mojej jednostki dwa lata temu z ochrony SS. Kiedy nadałem radiowy sygnał ataku, osobiście wykonał pierwszą fazę planu. Jak widać, udało mu się przejąć baraki strażników, ulokowane przy głównym wejściu. Gdyby mu się nie udało...

Rourke wyjął detonika.

- Dobry pistolet - powiedział - ale nie siedzi się na nim zbyt wygodnie.

Nie chciał liczyć na łut szczęścia. Nie zawsze zdarza się szczęśliwy traf.

Ludzie Manna ograniczyli się do przejęcia głównego wejścia. Zgodnie z planem powinni tam pozostać, udając pełniących straż esesmanów, chyba że do wodza dotrą wieści o planowanym uwolnieniu Dietera Berna i zarządzona zostanie jego natychmiastowa egzekucja.

”Przy tego typu niebezpiecznych akcjach to równie dobry plan jak każdy inny” - pomyślał John.

Pojazd znowu zwalniał. Miał teraz detonika za plecami. Spojrzał na leżącą na podłodze wozu dużą, płócienną torbę. Znajdował się w niej chlebak, drugi detonik ”Combat Master”, dwa scoremastery i gerber. Nóż ”Sting IA” miał schowany pod mundurem, jak również ważniejsze instrumenty chirurgiczne. Kleszcze do arterii, skalpel, małe szczypce do wyciągnięcia kapsułki z elektrodą.

Wiedział, co zawiera torba Natalii. Rewolwery, zapasowe magazynki i komplet wytrychów, którymi Rosjanka posłużyła się do zdjęcia obręczy z szyi Bema po zakończeniu operacji.

Na siedzeniu leżała szara torba Manna, przyniesiona do jaskini razem z mundurami i zapasami. Był tam sprzęt sprowadzony na specjalne życzenie Johna, mający umożliwić im przejście usianego pułapkami pokoju. Poprosił o dostarczenie tego sprzętu jeszcze przed wyjazdem do Argentyny.

Zatrzymali się przed bramami zamykającymi drogę na gościniec. Tego nie było w planie.

- Zdaje się, że mamy kłopoty - wymamrotał Mann. ”Nic nowego” - pomyślał John.

- Nie staranujemy bramy tym pojazdem. Poza tym, strażnicy rozpoznaliby mnie, gdybym się tylko zbliżył.

- Chodźcie ze mną - szepnął Rourke.

Wyciągnął zza pleców detonik. Zakaszlał trzy razy. Z tyłu odpowiedziało mu kaszlniecie Natalii.

Podeszli strażnicy. Najbliżej stojący porucznik SS chciał się odezwać. Nagle otworzył usta i zaczął uciekać. Rourke strzelił przez szybę prosto w jego głowę. Pojedynczymi strzałami kładł kolejnych strażników. Natalia nie oszczędzała amunicji, dla każdego przeznaczyła serię.

John zeskoczył teraz na ziemię, wpychając za pas detonika. Krzyknął do Manna:

- Lepiej by było, żebyś miał rację mówiąc, że ogrodzenie nie jest pod prądem.

Chwyciwszy pakunki, zaczął biec. Od bramy dzieliło go dziesięć jardów. Wyciągnął niemiecki pistolet maszynowy. Zacisnął na nim obie ręce. Przyłożył jego lufę do szyi najbliższego esesmana. Potrójna seria prawie odcięła Niemcowi głowę. Upadł.

John Rourke był już w bramie. Z pobliskiego budynku wybiegało coraz więcej żołnierzy. Przypomniawszy sobie, że Natalia nie lubiła broni na ogień ciągły. On też nie. Marnował całą serię na jednego człowieka, a taką ilością pocisków mógłby położyć kilku.

Wystrzelił po raz trzeci. Wiedział, że może nacisnąć spust tylko trzy razy.

Nadbiegł Mann z Natalią. Ostrzeliwali się z broni maszynowej.

John wepchnął swój pistolet do kabury na biodrze. Zatrzymał się na ułamek sekundy przed kutą, stalową bramą. Wziął rozbieg i podskoczył, chwytając się szpikulców na szczycie.

Prawa noga znalazła oparcie. Wywindował się na górę. Błyskawiczny obrót i już znajdował się po drugiej stronie. Opadł na chodnik w przysiadzie. Ugięte nogi zamortyzowały ciężar i siłę upadku. Pistolet maszynowy natychmiast znalazł się w jego ręce.

Z wieży po lewej stronie wychodzili teraz strażnicy. Tam właśnie musiał udać się Rourke. Strzelił trzy razy.

Wymienił magazynki. Kolejna seria - kolejne trupy.

Natalia przesadziła ogrodzenie. Strzelała, będąc jeszcze w powietrzu. Przeturlała się, opadła na kolana, ciągle strzelając. Mann, przechodząc przez bramę, zaczepił rękawem o metalową konstrukcję. Szamocząc się krzyknął:

- Idźcie!

- Niedoczekanie! - mruknął John, kładąc pokotem nadbiegających strażników.

Natalia była już w drodze do wieży. W obu rękach trzymała pistolety maszynowe. Nie miała tyle siły, by precyzyjnie strzelać w ten sposób. Starła się kierować ogień na pędzących żołnierzy.

John ładował broń.

Mann zeskoczył, ciężko uderzając o ziemię. Rourke obejrzał się. Wolfgang biegł z trudem, powłócząc lewą nogą.

- Niestety, zwichnięta lub złamana - krzyknął.

- Świetnie! Wunderbar! - odkrzyknął Rourke.

Biegł, odwracając się co chwilę, by strzelać w kierunku bramy, którą strażnicy z zaciekłym uporem starali się otworzyć.

Zdażył zabić sześciu, zanim skończyły się naboje w magazynku.

Pobiegł naprzód, nie oglądając się już za siebie. Kule świstały mu pod stopami, odbijając się rykoszetem od ścian wieży.

Rzucił się do drzwi. Natalia klęczała, strzelając do żołnierzy na pierwszym piętrze. Obok niej leżał drugi pistolet. John podniósł go i załadował. Wrzucił też świeży magazynek do swojego.

Mann dołączył wreszcie do nich. Wszyscy troje prowadzili nieustanny ogień.

John zaczął biec. Natalia ruszyła za nim. Mann pozostał nieco w tyle. Kulejąc podążył za obojgiem.

Już tylko trzech strażników blokowało dostęp do windy. Poradzili sobie z nimi łatwo.

Przy windzie Rourke powiedział:

- Musimy zaryzykować. - Spojrzał na zwichniętą nogę Manna.

- Zgoda. - Rosjanka nacisnęła guzik. Drzwi windy rozsunęły się. Mann wszedł pierwszy.

- Będę cię osłaniać - krzyknęła Natalia. John wpadł do windy. Jedną ręką rozpiął pas, który opadł na podłogę, drugą naciskał przycisk piętra. Natalia wśliznęła się między nich.

- Gdyby wyłączyli prąd...

- Wówczas Dieter Bern i tak by nie żył.

Rourke wyciągnął z leżącej na podłodze torby pythona i pas do magazynków. Założył kaburę na detoniki.

Natalia zmagala się ze swoją bronią. Ściągnęła czapkę. Czarne włosy rozsypały się na ramiona.

John także ściągnął czapkę i rzucił ją na podłogę. Uśmiechnął się na myśl, że ktoś mógłby ich obserwować.

Mann klęcząc kończył ładować pistolet.

- Gotowe - powiedział.

John skinął głową i oblizal wargi.

Winda stanęła. Wszedł pierwszy. Dwa detoniki w jego rękach - dwóch strażników na końcu korytarza. Strzelił z biodra. Maszynowy pistolet jednego ze strażników pruć tynk na suficie. Biała chmura opadła na posadzkę.

Krzyknął do Natalii:

- Zablokuj windy!

- Jasne! - Odgłos serii. - Zrobione!

Podbiegł do drzwi na końcu korytarza. Za szklaną płytką znajdował się przełącznik. Rozbił szybkie nogą, natychmiast wciskając przycisk. Drzwi rozsunęły się.

Jak dotychczas, wszystkie informacje Manna potwierdzają się” - pomyślał. Stał w drzwiach. Na końcu dobrze oświetlonego pokoju stała leżanka. Na niej rysował się drobny kształt mężczyzny. Od obroży na szyi do ściany biegł łańcuch. Dieter Bern. A w odległości dwóch stóp od miejsca, w którym znajdował się Rourke, była pierwsza fotokomórka, która mogła uwolnić nasycone kurrarą igielki.

”Aby zmniejszyć szansę uwolnienia więźnia, umieszczono tam instalację wysyłającą identyczne sygnały, jak te w obręczy. Ich zakłócenie da efekt przypominający rezultat działania pocisków rozpryskowych, używanych przed wojną supermocarstw. Tysiące małych igiełek, rozłokowanych w strategicznych punktach pomieszczenia, zostaną wystrzelone i, lecąc z ogromną prędkością, będą w stanie przebić nawet sześćo-milimetrowy pancerz ochronny.”

Rourke przypomniał sobie te słowa Manna, wypowiedziane tamtej nocy na granicy obozu.

Widział fotokomórki na ścianach, podłodze i suficie. Tak jak przypuszczał, tworzyły sieć nie do przebycia.

- Natalia, bierzemy się do roboty! - krzyknął. Wolfgang Mann położył się w drzwiach wejściowych.

W rękę trzymał pistolet maszynowy, cztery inne leżały obok.

- Dać ci coś na nogę? Mogę zaaplikować środek znieczulający. Na nic innego nie ma czasu.

- Ból wyostrza zmysły. Nie będę ich przytępiał. Postać na kanapce poruszyła się.

- Czy on cię zna? - John zwrócił się do Manna.

- Wiele lat temu był moim profesorem.

- Odezwij się do niego. Niech się nie rusza, pomoc nadchodzi.

Rourke odwrócił się i minawszy Manna, wyszedł na korytarz. Ciekaw był, ile czasu zajmie

rozwścieczonym, ale obciążonym pełnym ekwipunkiem, esesmanom pokonanie czternastu pięter.

Uciekł od tej myśli - czas był zawsze czynnikiem krytycznym.

Szybko podszedł do wklęsłej ściany. Natalia już tam czekała. Rozmieszczała niemieckie ładunki wybuchowe.

- Chyba gotowe. Mann wyjaśnił mi ich skład chemiczny. Mają około sześćdziesiąt procent więcej mocy niż amerykańskie C-4. Powinniśmy się gdzieś schować.

Odwróciła się i ruszyła biegiem, rozwijając drut. Za nią szedł John. Skręcili w główny korytarz i zatrzymali się za rogiem, nie opodal unieruchomionych wind. Natalia zetknęła końcówki. Rourke złapał ją za ramiona, gdy wybuch wstrząsnął korytarzem.

Wyjrzał zza rogu. Chmura kurzu i gryzącego dymu.

Puścili się biegiem w kierunku wysadzonej ściany. Wyrwa miała wielkość dwudziestu pięciu stóp kwadratowych.

Rourke wyjrzał na zewnątrz. W dole zgromadzili się żołnierze. Ale nawet snajper nie mógłby trafić zamachowców, strzelając prostopadle na wysokość czternastu pięter.

Natalia wyjęła z torby Manna sznur i zaczęła go rozwijać. Potem wyciągnęła coś, co wyglądało jak duży pistolet CO2. Z lufy wystawała mała kotwiczka.

Przysunęła się do Johna i wyjrzała przez dziurę. Z dołu strzelano, nie wyrządzając im szkody. Spojrzała w górę. Wycelowała pistolet w parapet otaczający wieżę - dwadzieścia | stóp nad nimi.

- Merde! - zaklął Rourke.

- Hmm... - mruknęła uśmiechając się.

Ujęła pistolet w obie ręce i wystrzeliła. Pocisk z kotwiczką wyleciał w górę, pociągając za sobą przymocowany doń sznur.

John pociągnął za sznur. Był napięty. Kotwiczka utkwiała w parapecie.

Natalia obwiązała się sznurem w pasie. John podsadził ją na krawędź wyrwy.

- Uważaj na siebie.

Roześmiała się i pocałowała go mocno w usta. Wyrzuciła sznur i wsparła się nogami o ścianę. Ześliznęła się. Ponowiła próbę. Podciągnęła się do góry, szeroko rozstawiając stopy. Sięgnęła do torby.

Na dole przetaczano ciężkie uzbrojenie.

Przesunęła się nieco w bok, badając ścianę. Przymocowywała plastikowe pakiety do ściany. Wcześniej Mann pokazał jej zdjęcia wieży w budowie. Wiedziała więc dokładnie, gdzie zakładać ładunki. Przyłączyła druty.

- Gotowe! - zawołała.

Rourke trzymał sznur. Gdy Natalia znalazła się na wysokości dziury, wciągnął ją do środka. Odpięła od pasa druty.

- Odsuń się.

Zetknęła przewody. Ściany budynku zadrżały. Podłoga zakołysała się pod stopami.

Wyjrzał. Nowa wyrwa o średnicy pięciu stóp. Miał nadzieję, że na wylot.

Pod wieżą wszczął się tumult. Cegły i tynk spadały na głowy żołnierzy. Rourke uśmiechnął się.

Ogień z głównego korytarza. Niewątpliwie Mann rozprawia się z siłami bezpieczeństwa SS.

- Gotowy? Spojrzał na Natalię. - Tak.

Stanęli w otworze powstałym w efekcie pierwszego wybuchu. Natalia objęła go za szyję. Szybko pocałował ją i chwycił rękami sznur. Natalia za jego plecami objęła linę nogami. Odbijając się od

ściany, posuwali się w bok. Nogi Johna amortyzowały ciężar obojga, gdy opadali na mur. Jeszcze trzy stopy dzieliły ich od otworu w celi Dietera Bema.

Rourke widział już łóżko. Bolały go ramiona. W dole dojrzał ciężkie działo. Nie mógł jednak rozpoznać, jakiego rodzaju.

Jeszcze jedna stopa. Przerzucił nogę przez wyrwę. Siedział teraz okrakiem. Natalia wśliznęła się do środka. Napięcie liny zelżało. Zeskoczył na podłogę.

W celi leżały odłamki gruzu. "Ryzykowaliśmy życiem Bema, ale udało się" - pomyślał John.

Podbiegł do człowieka na łóżku. Postawił torbę ze sprzętem medycznym i zapasową amunicją. Natalia uważnie oglądała obręcz. Dotknęła jej ostrożnie.

- Nigdy nie widziałam takiego zamka, John. Nie wiem, czy dam radę.

- Przygotuj się - syknął.

Podał jej osypane talkiem chirurgiczne rękawiczki. Pomogła mu je włożyć.

Klamra spinająca arterię - liczył na to, że zdoła się bez niej obejść, bo jeżeli zablokują arterię na zbyt długo, spowoduje to śmierć Bema.

Arteria szyjna znajdowała się około półtora cala pod skórą. Po pięciu sekundach jej blokady następowała utrata przytomności, po dalszych siedmiu - zgon.

Natalia antyseptycznym płynem zmywała bliznę po poprzednim nacięciu.

- Gdy poproszę o klamrę, podaj ją najszybciej, jak możesz - powiedział, biorąc do ręki wysterylizowany skalpel.

Bern zapytał po niemiecku:

- Jak...

Rourke tylko kiwnął głową. Natalia wbiła igłę. Za chwilę Bem straci przytomność.

Spojrzał w jej oczy. Niewiarygodny błękit, w którym wyczytał miłość i pewność. Nawet jeśli Sarah jest w ciąży, nie opuści Natalii. Na swój sposób poświęciła mu życie. I kochał ją, jak żadną inną.

Dotknął skalpelem skóry. Rozpoczął nacięcie dokładnie tam, gdzie zaczynała się blizna.

- Gąbka - syknął.

Podowała mu sterylne opakowanie. Wytarł krew.

Wydawało mu się, że widzi kapsułkę w tkance łącznej obok arterii. Nie mógł przewidzieć, czy jej poruszenie nie wywoła eksplozji. Bema zabiłoby to, a jemu urwało palce.

Odsunął szczypcami płat skóry. Na pozór nie różniło się to od usunięcia kuli. A jednak...

Zacisnął szczypce na kapsułce, powoli zaczął ją wyciągać.

- Cholera!

Szczypce zaklinowały się w stalowym kołnierzu na szyi Bema. Natalia przytrzymała obręcz.

- W porządku. Chyba wychodzi - powiedziała.

Rourke obrócił szczypce. Ciało Bema zadrżało. Nie mogli zastosować prawidłowej narkozy - nie mieliby potem czasu go dobudzić. Szarpnął. Kapsułka znalazła się na zewnątrz. John gwałtownie skoczył do okna, wyrzucając przez nie kapsułkę. Słyszał strzały w drzwiach. Rozpoznał karabin Manna. Przypadkowe trafienie mogło uruchomić niebezpieczny mechanizm.

Opadł na kolana koło Bema. Natalia podała mu gąbkę. Osuszył ranę z krwi. Naciągnął skórę na miejsce. Wziął od Natalii klamrę. Spiał nią rozciętą skórę. Nie było czasu na zakładanie szwów. Natalia dezynfekowała ranę preparatem Munchena. Odrzucił klamrę. Podczas gdy Natalia bandażowała ranę, John zdejmował już rękawiczki.

- Pozwól mi skończyć - powiedział.

Dokończył opatrunek. Natalia w lewej ręce trzymała sondę, w prawej wytrych. Dobrała się do zamka obroży. Nie mogli jej zdjąć w inny sposób.

- To nie jest zwykły zamek, John. Nie sadzę...

- Musisz - powiedział cicho.

- Nie mamy wyboru, prawda? - Wzięła głęboki oddech. Jeszcze raz wysondowała zamek. - Poczekaj chwilę. Chyba tak. Już wiem.

Wystrzały. Głos Manna:

- Dłużej ich nie utrzymam. Spieszcie się! Natalia przekręciła wytrych.

- Mogłoby to zająć wiele godzin, ale chyba dam sobie radę. Wyciągnęła wytrych. Jeden obrót sondy i zamek otworzył się z trzaskiem.

- Brawo dla Chicago School! - krzyknęła i roześmiała się.

Rourke pochylił się nad nieprzytomnym Bernem. Ujął twarz Natalii w obie dłonie.

- Bardzo cię kocham. Pamiętaj o tym zawsze. Nie wiem, co będzie dalej, ale nie wolno ci o tym zapomnieć. A teraz pomóż mi.

Natalia odłożyła wytrychy. John bardzo ostrożnie zdjął obręcz, obawiając się jakiejś pułapki, o której nie wiedział nawet Mann.

Udało się.

Wyjął z torby Manna brezentowe nosidło i założył je na plecy. Ogarnęło go dziwne uczucie - deja vu - jak wtedy, gdy wyciągał Paula z płonącego helikoptera. Kiedyż to było?

Podniósł z posłania mężczyznę. Natalia podtrzymała go przez chwilę. Zarzucił Bema na plecy. Zapięli pasy zabezpieczające. John z trudem utrzymywał równowagę.

- Pospiesz się - ponagliła Natalia.

Biegła w kierunku wyrwy z torbą Manna na ramieniu. Złapała linę. Miała właśnie przejść przez dziurę, gdy nagle cofnęła się.

Ogień ciężkiego kalibru z dołu - Rourke wyjrzał na zewnątrz. Bezodrzutowe działo.

- Natalia! - krzyknął.

Ale ona już wspinała się po murze. Znow strzały. Zaledwie kilka stóp od Natalii oderwał się kawał ściany i runął w dół. John odsunął się. Bern mu ciążył. Gdy wyjrzał ponownie, szukając Natalii, Rosjanka była tuż przy parapecie.

Strzały. Kolejny odłamek muru. Natalii już nie było w zasięgu wzroku. Lina zwisała luźno. Rourke wyciągnął rękę po sznur i uskoczył. Następny fragment muru przeleciał koło niego. Znowu sięgnął po sznur. Tym razem złapał go. Zaczepił linę o pierścienie przedniej części nosidła. Wdrapał się na krawędź wyrwy. Zgiął się, pochylając się możliwie nisko ze względu na Berna.

Szarpnął sznur. Odbił się od ściany i poczuł, że jest podciągany do góry. W torbie Manna, którą zabrała ze sobą Natalia, znajdowała się wciągarka. Odgłos liny nawijanej na bęben i huk działa złąły się w jedno. Oczy zasypywały mu okruchy tynku i kawałki cegieł. Osłaniał Bema własnym ciałem.

Czuł szarpnięcie wciągarki. Ale byli już blisko parapetu. Natalia podała mu obie ręce, pomagając wejść do środka. Przekroczył występ i padł na kolana.

- Nic ci nie jest?

- Chyba nie.

Odetchnął głęboko. Natalia uwalniała Bema.

- Zostań - powiedział.

Ruchem ramion zrzucił paski nosidła. Bem był tu bezpieczny. Nie sądził, by działa niosło tak wysoko. Znajdowali się na dachu wieży, na samym szczycie Complexu. Osłaniały ich parapety.

Złapał linę i po murze zaczął spuszczać się w dół. Jego rękawiczki były w strzępach.

Poziom celi Berna. John odepchnął się w tył, tym razem przesuając się w prawo. Usłyszał strzały. Ale był coraz bliżej celi, w której znajdował się teraz Mann. Wreszcie zaczepił nogą o krawędź otworu i wpadł do środka. Trzymając jedną ręką linę, zaczął strzelać do esesmanów zagradzających wejście do celi i zarazem jedyne z niej wyjście. Niemcy padali jeden po drugim. Przesuwał się wzdłuż ściany - był pod obstrzałem. Puścił linę i załadował nowy magazynek. Wokół osypywał się tynk. Rourke wyjął drugi pistolet.

- Wolfl - krzyknął. - Biegnij!

Jednocześnie zatknął puste scoremastery za pas, wyciągając detoniki "Combat Masters".

Mann biegł korytarzem, powłócząc chorą nogą. Nieprzerwanie strzelał. Rourke schylił się i zebrał garść łusek. Mann minął go. Rzucił się na zwisający w otworze sznur.

- Łap podwójny. Od wciągarki - krzyknął John za nim. Mann zniknął w wyrwie. Rourke, ciągle strzelając, złapał pojedynczy sznur i wypadł na zewnątrz. Strzały. Odłamki.

Wciągarka zaczęła pracować. Mann wznosił się do góry. John przesunął się do drugiego otworu. Mann zbliżał się do szczytu wieży. Podwójny sznur kołysał się za nim.

John wrzucił garść pustych łusek do celi Bema. Poleciały w kierunku siatki fotokomórki. Usłyszał huk eksplozji i krzyki esesmanów.

Podwójna lina była znów na dole. Złapał ją. Nieomal wyrwało mu ramiona ze stawów, gdy wciągarka pociągnęła sznur do góry.

Jeden z esesmanów przełożył przez otwór karabin maszynowy.

John wyjął pythona. Przetawiał go na ogień ciągły. Dwa pociski trafiły żołnierza w twarz. Martwy, wypadł z wieży.

Dotarł teraz do parapetu. Przetoczył się, lądując na dachu.

- John?

Popatrzył na Natalię. Uśmiechnął się.

- Jak na razie, nieźle nam idzie, co?

Załadował magazynki do obu scoremasterów. Później detoniki "Combat Masters". Wymienił naboje w pythonie. Nappełnił bębenek przy pomocy przystawki ładującej. Wyrzucił cztery puste łuski, pełne chowając do kieszeni.

- Co teraz? - zapytała Natalia

Na to pytanie odpowiedział Mann. Trzymał w ręku nadajnik i przekrzykując ryk bezodrzutowego działa, wrzeszczał po niemiecku:

- Tu Wolf! Atak! Powtarzam: atak! Przyślijcie Kondora! Atakujcie!

Z wieży na dach prowadziło jedno wejście. Rourke wiedział, czego oczekiwać. Złapał Berna, który powoli odzyskiwał świadomość i przeniósł go do małego, klimatyzowanego pomieszczenia, znajdującego się obok narzędziowni. Było to najlepsze schronienie, jakie mógł mu zapewnić.

Natalia pomagała iść Wolfgangowi Mannowi. Z jego nogą było coraz gorzej.

John trzymał w dłoni pythona. Czekał na to, co musiało teraz nastąpić.

- Jesteśmy gotowi - powiedział Mann do Kurinamiego.

Akiro skinął głową. Przesunął się w tył. Krzeselko podwieszane do helikoptera zachybotało się. Elaine Halwerson krzyczała *coś*, stojąc poza zasięgiem łopatek wirnika. Brzmiało to, jak: "Bądź

ostrożny”.

Miał dokładnie taki zamiar. Powiedział do mikrofonu:

- Pułkownik Mann, Kondor odlatuje.

Szarpnął ster. Obroty łopatek wzrosły. Mini-helikopter poderwał się raptownie. Unosił się nad zieloną równiną, zostawiając za sobą zgrupowane tam siły Manna. W zasadzie były już w marszu. Śmigłowiec Kurinamiego zmierzał w kierunku głównego wejścia do Complexu. Czekał go najtrudniejszy lot w życiu. Przystudiował plany Complexu, gdy lecieli do Argentyny. Znał na pamięć wysokość każdego budynku i odległości między zabudowaniami.

Był już prawie u celu. Pod nim ludzie w mundurach BDU SS walczyli między sobą. Wrogów oznaczały opaski ze swastykami na rękawach.

Strzelano do niego z ziemi. Silny wiatr prawie kaleczył mu twarz. Jeżeli zwolni, będzie miał większe szansę przedostać się przez bramę. Ale i większe szansę, by zostać zestrzelonym.

Pocisk odbił się rykoszetem od obitych płótnem drzwi ładowni. Japończyk podjął decyzję. Przesunął do końca dźwignię przepustnicy. Poczul się jak wielbłąd przechodzący przez ucho igielne. Zdał sobie sprawę, że łopatkki wirnika nie były oddalone od ściany więcej niż o stopę, kiedy przeciskał się przez wrota. Wziął głęboki oddech. Wyraźnie widział bez-odrzutowe działa strzelające w kierunku lewej wieży i walkę toczącą się na jej szczycie.

Wystrzelawszy wszystkie naboje z pythona, Rourke rozbił nim głowę jednego z esesmanów. Nóż Natalii ze świstem przecinał powietrze. Krzyki dawały znać, że właśnie zagłębił się w czyjeś ciało. Wolfgang Mann strzelał z pistoletu maszynowego.

Rourke trafił na rękojęści scoremasterów. Python wypadł mu z rąk. Wystrzela z obu jednocześnie. Padło dwóch esesmanów.

Natalia przeczołgała się obok niego. Chwyciła karabinek automatyczny. Wyrzucając bali-songa, precyzyjnie trafiła w cel. Wchodzący na dach Niemiec padł martwy.

Kłęcząca teraz, strzelając z karabinka, który w jej rękach okazywał się niezawodną bronią.

Scoremastery Johna były puste. Jednym z nich Rourke uderzył w czoło esesmana zachodzącego Natalię od tyłu, po czym włożył oba za pas, wyciągając detoniki ”Combat Masters”.

Spojrzał w górę i zobaczył mini-helikopter Kurinamiego. Podbiegł do Natalii, która stała teraz przy włazie na dach, skąd strzelała wzdłuż drabiny prowadzącej na sam dół. Odebrał jej jeden karabinek. Razem strzelali w dół szybu.

Usłyszeli wybuch na dziedzińcu. Esesmani uciekali w popłochu.

Rourke kopnięciem zatrzasnął właz. Rzucił na ziemię pusty karabinek.

Natalia wyciągnęła z ciała zabitego esesmana bali-songa. Otarła zakrwawioną klingę o jego sfatygowany mundur. Schowała ostrze i zaczęła ładować magazynki rewolwerów.

John podniósł pythona. Nabiał go. Pusty ładownik wrzucił do chlebaka.

Nad nimi kołował Kurinami. Za chwilę wylądował.

Rourke pobiegł wzdłuż parapetu. Natalia z karabinkiem w ręku pilnowała włazu.

Przykłęknęła koło Dietera Berna. Po operacji John wstrzyknął mu witaminę B-complex i łagodny środek pobudzający. Stan Berna nie był zadowalający. Wyglądał na wpół uśpionego. John nie mógł zastosować silniejszego leku pobudzającego. Groziło to uśmierceniem Dietera Bema. Trzymał jego głowę na kolanach, przemawiając doń uspokajająco.

- Musimy zabrać go do helikoptera.

Popatrzył w górę. Kondor lądował.

Siedząc za Kurinamim, Rourke kończył mocować pasy. Półprzytomny Bern majaczył. John uniósł mu powieki. Oczy miał mętne. Dotknął ramienia Kurinamiego. Japończyk kiwnął głową. John odskoczył i opadł w przysiadzie. Maszyna zaczęła się wznosić.

Natalia stała przy włazie, trzymając dwa karabinki. Obok niej leżał Mann z pistoletem maszynowym w każdej ręce.

Helikopter kołował. Rourke wyciągnął rękę i chwycił się płozy. Gdy śmigłowiec nabierał wysokości, John miał wrażenie, że za chwilę siła ciężenia wyrwie mu rękę.

Teraz pod nimi była już tylko ulica. Ciąg siły nośnej ranił mu twarz i targał włosy. Naszywki munduru kaleczyły jego szyję i policzki.

Przed nimi pojawił się budynek Centrum Łączności. Kondor podchodził do lądowania. John zeskoczył na płaski dach. Przetoczył się kawalek. Wstał z wysiłkiem. Ze scoremasterami w dłoniach usuwał się z drogi lądującego helikoptera.

Śmigłowiec miękko usiadł na dachu.

John spojrzał w dół. Na ulicach trwała walka. Do mężczyzn z białymi opaskami przyłączyli się cywile.

Podbiegł do helikoptera. Kurinami rozpinał pasy zabezpieczające Berna.

- Zaczyna odzyskiwać przytomność, John.

- Mam nadzieję, że będzie mógł mówić - odkrzyknął Rourke. Krzepki Japończyk chwycił Berna za ramiona.

- Jest gotów!

Rourke pokiwał głową. Pobiegnął w kierunku sztucznego światła kopuły Complexu, wznoszącej się kilkaset stóp powyżej. Niesamowite cienie błędziły po powierzchni dachu, a metaliczne powłoki detoników połyskiwały krwawo, przybierając momentami barwę przyćmionej miedzi.

Dotarł do drzwi. Otworzył je silnym, podwójnym kopnięciem. Szkło rozprysło się na wszystkie strony. Sięgnął do uchwyty awaryjnego otwierania. Drzwi stanęły otworem.

Centrum Łączności.

ROZDZIAŁ XXXV

Paul Rubenstein wybrał metodę bezpośredniej konfrontacji. Z browningiem w ręku udał się do Dodda, który otrzymał już wiadomość o kradzieży ciężarówki.

Przystawił lufę do głowy dowódcy "Edenu". Potem należało ją już tylko utrzymać w tym miejscu, póki Dodd nie wyda niezbędnych rozkazów.

Na ciężarówkę zapakowano zapasy żywności z drugiej ciężarówki Rourke'a, sprzęt z zajmowanych przez nich namiotów i to, co najważniejsze - broń.

Paul znajdował się w odległości ośmiu stóp od samochodu. W tyle leżał Michael. Za kierownicą siedziała Madison. Słysząc było warkot motoru.

Należało przejść te osiem stóp, nie odrywając lufy od skroni Dodda.

Paul Rubenstein postąpił krok naprzód. Dodd sięgnął po pistolet. Paul zachwiał się. Nie zdążył złapać równowagi. Niewiele brakowało, by upadł. Wszystko stracone! Osuwał się na ziemię.

- Proszę się nie ruszać, kapitanie Dodd, albo pana zastrzelę. Munchen.

- Niech się pan nie wtrąca, doktorze - warknął Dodd. - Potrzebujemy tej ciężarówki, tej broni i nawet tych ludzi, jeśli Niemcy znowu zaatakują.

Paul przymknął oczy. Chmura kurzu uniosła się, kiedy Munchen puścił serię z pistoletu maszynowego.

- Następną seria będzie dla pana, kapitanie. Jako najstarszy rangą oficer reprezentuję interes mego dowódcy. Ale nie tylko. Przemawiam też w imię rozsądku. Nie dano tym ludziom helikoptera, w porządku, militarna konieczność. Ale istnieją również obowiązki moralne. I dlatego muszą spróbować uratować Annie Rourke. Proszę pomóc wstać panu Rubensteinowi, kapitanie. I proszę mnie więcej nie prowokować.

Przez moment widać było oczy Dodda w świetle najbliższej lampy. Po chwili pochylił się nad Pauliem. Rubenstein powoli wstawał. Prawą rękę zajętą miał pistoletem, lewą chwycił Dodda za ramię.

Skierowali się do samochodu. Kapitan podtrzymywał Paula.

Madison pomogła mu wsiąść.

Zajmując miejsce przy kierownicy, Paul odezwał się:

- Trzymaj Dodda na muszce. Jeżeli się poruszy, zabij sukina syna.

- Dobrze, Paul. - Wysunęła przez okno lufę M-16. Zwolnił hamulec. Wrzucił bieg. Krzyknął w kierunku okna po stronie Madison:

- Niech pana Bóg błogosławi! Obyście znaleźli to, czego szukacie.

Doktor Munchen stanął na baczność i lekko skłonił głowę.

- I wzajemnie, herr Rubenstein. Oby ten Bóg dopomógł i panu w waszych poszukiwaniach. Żałuję, że nie mogę zrobić więcej, by wam pomóc.

- Wiem. - Paul skinął głową.

Skręcił kierownicą ostro w lewo, docisnął pedał gazu. Z kręgu światła wjeżdżał w mroki nocy.

Annie...

Annie Rourke podjęła decyzję. Obserwowała Forresta Blackburna wrzucającego pakunki na podkład śmigłowca. W odpowiednim czasie da mu do zrozumienia, że zdecydowała się zdać na jego wolę. I postara się, żeby nie wypadło to zbyt ostentacyjnie. Łzy w oczach zawsze pomagają przy takich okazjach. Będzie musiał odpiąć pasy. Chwila wahania, potem uległość.

W skrzynkach ze sprzętem zauważyła parę rzeczy, które mogły okazać się przydatne. Dwa M-16. Pas z jakiejś tkaniny, a w nim pistolet. Widziała, jak sprawdzał go, a potem czyścił z substancji ochronnej. Był identyczny jak ten w szafce z bronią taty - Beretta 92 SB-F, wojskowa "dziewiątka", wyprodukowana tuż przed Nocą Wojny.

Ale najbardziej zainteresował ją przedmiot w pochwie po drugiej stronie pasa - bagnet M-16.

Nóż. Mogłaby go zabić, gdy tylko otoczy ją ramionami, gdy tylko jej dotknie...

Natalia.

Czy tak właśnie zrobiłaby Natalia? Czy kiedyś już to robiła?

ROZDZIAŁ XXXVI

Rourke rozbił szklane drzwi na podeście schodów. Rozległo się wycie alarmu. Wysokie tony raziły słuch. Lewą ręką pociągnął dźwignię awaryjnego otwierania. Pchnął drzwi i przeszedł. Zdążył uskoczyć. Kule karabinów automatycznych potrzaskały resztki szkła w drzwiach.

Ostrożnie wychylił się. Oddał jednoczesne strzały z dwóch scoremasterów. Dwaj esesmani padli. Za nimi, za zaułkiem korytarza, piętro niżej mieściło się Centrum Łączności. Musieli tam dotrzeć.

Kurinami był przy drzwiach. Uwolnił się na chwilę od ciężaru Dietera Berna. W rękę trzymał niemiecki pistolet maszynowy.

- Co robimy? - zapytał.

John wymieniał magazynki w scoremasterach. Głową wskazał hali. Kurinami uśmiechnął się.

- Obawiałem się, że tak będzie. Cóż, idziemy.

Skoczył naprzód, John tuż za nim. Ich broń bluzgała potokami ognia. Z gardła Kurinamiego wyrwał się okrzyk:

- Banzai!

Esesmani zaścielali swoimi ciałami podłogę. Kule odbijały się rykoszetem od ścian. Rourke poczuł, jak coś ześliznęło mu się po żebrach. Zamienił puste scoremastery na detoniki "Combat Masters". Walczyli z resztkami straży SS.

Kurinami wyrzucił w przód ręce. W obu miał bagnety. Wcześniej John widział je u niego za pasem. Ostrza zakreślały łuki - w górę, w bok, od lewej do prawej. Każdemu ruchowi wtórował krzyk esesmana.

Wystrzelawszy wszystkie naboje, John chwycił rękojeść gerbera. Jeden z Niemców podniósł karabinek automatyczny. Pchnięcie noża. Klinga gerbera przygwoździła esesmana do ściany.

Rourke wyjął pythona. Niewielka grupa esesmanów nie stanowiła już zagrożenia.

- Poradzę sobie. Idź po Berna.

- Jesteś ranny, John! Rourke dotknął żeber.

- Jakiś ty spostrzegawczy. Idź już.

Podniósł karabinek automatyczny. Ruszył na poszukiwanie zapasowych magazynków. Znalazł cztery. Załadował jeden i przestawił broń na ogień ciągły. Puścił się biegiem przez korytarz. Przed zakrętem przystanął.

Przewiesił karabinek przez ramię i przeładował pistolety. Obejrzał się: Kurinami niósł Berna, trzymając pod pachą pistolet. Znalazłszy się koło Johna, szepnął:

- Słuchaj, wiesz, o co chodziło z tym "Banzai"?

- O co? - zapytał John.

- Zawsze chciałem to wypróbować. To tak, jakby ktoś z Texasu krzyczał: "Pamiętajcie o Alamo!"

- Rozumiem. Idziemy.

John wychylił się zza załomu korytarza i natychmiast rzucił się w tył. Pociski uderzyły w ścianę, tuż przy jego głowie.

- Co teraz? - zapytał Kurinami.

Rourke chciał odpowiedzieć: "Nie wiem", ale przerwała mu głośnie kanonada. Znacznie silniejsza niż poprzednio. Coś się tu nie zgadzało. Wyrzwał raz jeszcze.

- To Hartman. W porządku. - Był już w biegu. Krzyczał do Kurinami: - Szybko! Pospiesz się!

Ludzie kapitana Hartmana, przebrani za esesmanów, walczyli teraz z prawdziwymi siłami bezpieczeństwa SS i byli w tym starciu górami. Rourke strzelał w plecy wycofujących się esesmanów. Niektórzy odwracali się, próbując się bronić. Strzelano z bliskiej odległości. Świąd spalonej skóry mieszał się z gryzącym zapachem chemicznych zapalników niemieckiej broni.

John zbliżył się do walczących. Nie miał już naboju. Hartman rozprawiał się z ostatnimi esesmanami. Oddał do ich dowódcy dwie serie z pistoletu maszynowego. Przeskoczył przez ciało i zatrzymał się obok Johna. Zasalutował.

- Herr doktor, mam przyjemność oznajmić, że droga jest wolna. Bez przeszkód dotrzemy do newralgicznego obszaru Centrum Łączności. Jest tam wódz w otoczeniu tuzina wiernych esesmanów. Musimy udać się tam natychmiast. - Hartman zwrócił się do swoich ludzi: - Wy dwaj, uwolnijcie japońskiego oficera od jego ciężaru. - Zwracając się ponownie do Johna, pochylił głowę w lekkim ukłonie i trzasnął obcasami. - Herr doktor, proszę za mną.

- Co z Natalią? - pytał Rourke, idąc obok niego i omijając ciała zabitych - i standartenfuhrerem?

- W zasadzie powinniśmy już mówić o nim "pułkownik", nie sądzi pan, doktorze? Wszystko w porządku. Czekają w pobliżu nadajnika z resztą mojego oddziału. Pan jest ranny?

- Kula otarła się o żebra. Jutro będę sztywny, ale dzisiaj jest w porządku. Chociaż nie pogardziłbym prowizorycznym opatrunkiem.

Hartman powiedział po niemiecku:

- Opatrzcie jego ranę. Szybko.

Rourke zatrzymał się przy barierce i spojrzał w dół. Natalia pomachała mu ręką. Również Wolfgang Mann kiwnął mu głową. On i jego ludzie obstawili korytarz wiodący do Centrum Łączności. Dołączali do nich żołnierze Hartmana.

John podciągnął lewą stronę bluzy. Dotknął żeber. Rana była płytka, ale silnie krwawiła. Wzdrygnął się i zmrużył oczy, gdy spryskiwano mu ranę zimnym preparatem. Obwiązano go bandażem. Wstrzymał oddech. Spojrzał na niemieckiego żołnierza.

- Dziękuję - powiedział. Niemiec stanął na baczność.

- Doktorze!

Rourke ruszył w dół, rozglądając się wokół. Mogli przeprowadzić atak frontalny. Mieli wystarczającą liczbę ludzi.

Ale byłoby to zbyt kosztowne. Zanim znalazł się pod nogami, Mann poderwał się na nogi. Biegł kulejąc.

- Za mną! - krzyknął do swoich ludzi.

Sunął na czele, obok niego Hartman z pistoletem maszynowym. W studiu nagraniowym pękały szyby.

Można było teraz usłyszeć głos wodza. Brzmiał w nim strach. Mówił o konieczności zlikwidowania piątej kolumny, o wierności ideom nazizmu, dzięki którym Niemcy zaszli tak daleko. O powinności obrony wodza i dogmatów.

John schodził po schodach. W dłoni miał scoremastera. Natalia czekała na dole. W prawej ręce trzymała rewolwer. Kiedy zszedł, oparł się o nią i poszli dalej razem. Wyprzedzał ich Mann,

podtrzymywany przez dwóch ludzi, Hartman i jego oddział.

Wystrzały. Krzyki. Wchodząc przez ostrzeliwane ze wszystkich stron wejście, John i Natalia usłyszeli znajomy głos:

- Mówi pułkownik Wolfgang Mann. Wódz nie żyje. Przed wami stoi człowiek, któremu wszyscy ufamy, pan profesor Dieter Bern.

Głos profesora dawał właściwe wyobrażenie o człowieku, do którego należał - stary, zmęczony i słaby. A choć słowa przezeń wypowiedane były jeszcze starsze - "demokracja", "wolność", "równość", "tolerancja" - nie zmniejszało to ich mocy i wagi.

John Rourke siedział na skórzanym, obrotowym krześle, z nogami na tablicy kontrolnej i filiżanką kawy w zasięgu ręki. Dieter Bern już dawno skończył przemówienie. Zaledwie garstka esesmanów stawiała jeszcze opór - nie można było mówić o walce.

Wolfgang Mann odrzucił pomoc medyczną i starał się połączyć z siłami pozostawionymi w Ameryce Północnej. Głośnik zachrobotał. Rourke wyprostował się.

- Tu hauptsturmführer Helmut Manfred Sturm. Mówię do pana, standartenführer Mann, i wszystkich innych zdrajców: Wierne mi oddziały, które wy szły z potyczki z Rosjanami, przypuszczają w tej chwili szturm na bazę "Projektu Eden". Znamy ich liczebność i wiemy, że nie są w stanie nam się oprzeć. A później, herr standartenführer, powrócimy do Complexu i wskrzesimy jedyny słuszny ustrój - narodowy socjalizm.

John spojrział na Wolfganga Manna. W oczach pułkownika malował się nieklamany ból, bynajmniej nie spowodowany urazem nogi.

- Mąż Heleny Sturm! Mein Gott! John odebrał mu mikrofon.

- Kapitanie, mówi John Rourke. Nie zna mnie pan. Ale ja znam pańską żonę, Helenę. Jestem lekarzem. Odebrałem poród dwóch pańskich córeczek. Pana żona i dzieci znajdowały się o krok od śmierci z rąk SS, na bezpośredni rozkaz nieżyjącego już wodza. Syn pana, Manfred, zdradził własną matkę. Złożył na nią donos w Jugendzie. Kiedy pułkownik Mann i ja staraliśmy się wyrwać pańską żonę z rąk nazistów, Manfred asystował przy jej torturach. Czekał, aż zostanie dokonana deformacja waszych nie narodzonych dzieci. Pozostałych pańskich synów zostawiono na później. Ich też nie ominęłyby tortury. Teraz pana żona, bliźniaczki i trzej synowie są bezpieczni. Manfred nie żyje. Chciał zabić matkę. Trzymał skalpel przy jej tętnicy. Musieliśmy go zastrzelić.

Z głośnika nie dochodził żaden dźwięk. Jedynie suche trzaski. Później paniczne, nieludzkie krzyki. I pojedynczy strzał.

John oddał mikrofon Mannowi. Milczał. Odwrócił się od tablicy kontrolnej. Natalia ruszyła za nim. Przeszli obok stygnących ciał esesmanów i roztrzaskanego szkła. Trzymali się za ręce.

W foyer, za studiem nagrań, stała niewysoka, biała kolumna. Na niej - identyczne jak przed Complexem, ale wykonane z innego materiału - popiersie Hitlera.

Rourke, nie puszczając ręki Natalii, wyciągnął pythona. Magnum 0,357 idealnie nadawało się do tego celu.

Ostrożnie wymierzył. Zniżając głos, powiedział do Natalii:

- Nie sądzę, żeby ktokolwiek jeszcze pragnął go wielbić.

Nacisnął spust. Twarz Adolfa Hitlera rozsypała się w proch.

[1] Nieprzetłumaczalna gra słów. Po angielsku "hind" oznacza zarówno łanię, jak i zadek.